www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 42 (1136)
11-17.10.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

MINISTER CZARNEK UJARZMIA UCZELNIE

JAK ŚLĄZAK ŚLĄZAKA OSZUKAŁ

WIELKA BRYTANIA SEGREGUJE STUDENTÓW

BELGIJSKA KRÓLOWA, CHOPIN I SZPIEG

MARIUSZ KAMIŃSKI
FANATYK BEZPRAWIA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
42 >
9 771509 311102

eprasa.pl 7de9e900b2

Fundacja ponownie nie otrzymała dofinansowania na prowadzenie telefonu.
Ministerstwo Zdrowia unieważniło konkurs, bez podania przyczyny.

Telefon 116 111 potrzebuje Twojej pomocy!
Wejdź na: wspierajtelefon.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Jerzy Domański

Niby-polityka

Jeśli coś nam w Polsce realnie się powiększa, oczywiście oprócz cen, to matrix, w którym żyjemy. Gdyby oglądać to, co się dzieje, jak film, można by pomyśleć, że fantazja poniosła reżysera, że pokazane wydarzenia są mało realne. Niestety, nie jesteśmy w sali kinowej. Żyjemy tu i teraz. I co mamy? Patrząc od góry. Niby-, bo bezobjawowy, prezydent Duda. Niby-, bo wadliwie obsadzony przez i pod dojną zmianę, Trybunał Konstytucyjny. Niby-, bo bezwolny w ręku Kaczyńskiego, premier Morawiecki. Niby-marszałek Sejmu Witek, która mimo wielu wpadek do historii przejdzie jako kosmitka, która o Katyniu czytała w podręcznikach sprzed 1939 r. Niby-marszałek Senatu Grodzki, którego kompromitują żenujące braki znajomości historii rodzinnego Szczecina i aktorstwo z epoki filmu niemego. Dorzućmy do tego niby-opozycję. Platformę, która nie chce przyjąć do wiadomości, że w tym składzie i bez innego programu niż chęć powrotu do władzy nic z tego nie będzie. Ma potencjał, są wyborcy, ale na taką ofertę zagłosują tylko z rozpaczy. Co oczywiście nie wystarczy, by wywrócić dojną zmianę. A tym bardziej, by naprawić to, co już w państwie popsuto. I rozliczyć przestępców.

Z opozycją lewicową jest lepiej niż z PO. Coraz silniejsza, aktywniejsza i odważniejsza na dole, nie ma jeszcze reprezentacji politycznej na górze. Ale skoro są ciekawe pomysły i oddolne inicjatywy, to rośnie fundament, na którym da się zbudować solidny gmach. Z mądrą, demokratyczną reprezentacją w parlamencie. Przyjdzie na to pora po komedii z połączeniem SLD i Wiosny.

Do tej matriksowej bańki, która wciąga kolejne instytucje i grupy społeczne, dopisuję niby-poparcie Polaków dla naszej obecności w Unii Europejskiej. Wbrew sondażom, które pokazują, że stosunek Polaków do Unii jest ciągle entuzjastyczny, mam spore wątpliwości. Czy naprawdę taka melodia gra w ich duszach? Zasady i wartości, na których została zbudowana stara Unia, czyli prawo i demokracja, przyjęły się u nas tak słabo jak te najstarsze, typu kochaj bliźniego swego jak siebie samego czy gość w dom, Bóg w dom. Dla większości są to tylko słowa. Co mamy w praktyce? Wstyd pisać.

Jeśli coś przez te lata naprawdę w Polsce się zakorzeniło, to postawa opisana przez byłego premiera Pawlaka jako wyciskanie brukselki. Brać i nie kwitować. Czyli klasyczny ruch w jedną stronę. Jak nie będzie co brać, to nastąpi rozwód. Raczej nie aksamitny. Na wielkiego wroga, wokół którego dojna zmiana będzie potrafiła zmobilizować wielu ludzi, Unia nadaje się znakomicie. A obrońcy Unii? Bez złudzeń. Widzimy ich skuteczność przy innych sprawach. Paplaniną przynależności do Unii nie da się utrzymać.

CYTATY TYGODNIA

KS. PROF. MICHAŁ HELLER, kosmolog
Dzisiaj Leibniz mógłby powiedzieć, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, który istnieje w najlepszym z możliwych wieloświatów.
„Tygodnik Powszechny"

ARKADIUSZ WEREMCZUK, projektant mody
Rzeczy to dla mnie balast. Kiedy się go pozbywam, czuję się wolny.
„Wysokie Obcasy"

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7de9e900b2

W NUMERZE

KRAJ

8 Fanatyk bezprawia
Mariusz Kamiński, usłużny czy groźny?

12 Porażek nie widzę żadnych
Nauka na czarnkową modłę

14 Czy powstaną uniwersytety narodu polskiego?
– rozmowa z dr hab. Joanną Hańderek

17 Fundusz (nie)sprawiedliwości
Kto dotacji nie dostanie

20 Mafia Babiša i Jourovej doi Polaków!
Gra Turowem się opłaca

24 Nie ma edukacji seksualnej. Jest porno i seks w necie
– rozmowa z Barbarą Baran

28 Oszustwo po (o)polsku
Bo Ślązak zaufał Ślązakowi

ZAGRANICA

32 Toksyczna miłość
Polskie zapatrzenie w Amerykę

36 Oksford dla wybranych
Studenci po brexicie

40 Potęga bez militarnych aktywów
Jak kanclerka rozbrajała Bundeswehrę

44 Papiery Pandory
Ilu znanych i bogatych omija prawo

46 Życie na popiołach
La Palma pyta, co dalej

KSIĄŻKI

48 Socjalizm tak, Solidarność nie
Ewa Nowakowska o micie komunizmu w Polsce

HISTORIA

50 Chopin i polityka
Belgijska królowa na konkursie pianistycznym

KULTURA

54 Qulturalia

55 Opowieści z raju
Abdulrazak Gurnah, głos naszych czasów

66 Imaginarium – sztuka Tomasza Sętowskiego

TECHNOLOGIE

56 Robot klasy olimpijskiej
Elektroniczny sędzia się nie myli

OBSERWACJE

58 Ceramika lepiona przeszłością
– rozmowa z Katarzyną Ziomek vel Pepe

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Niby-polityka

23 Jan Widacki
Duszy polskiej stan nienadzwyczajny

27 Andrzej Romanowski
Wizyta w Górkach Wielkich

35 Roman Kurkiewicz
Mam gdzieś wolność słowa Ziemkiewicza

39 Tomasz Jastrun
Pająk

53 Wojciech Kuczok
Rzeźnia

24
KRAJ

NIE MA EDUKACJI SEKSUALNEJ. JEST PORNO I SEKS W NECIE
– rozmowa z Barbarą Baran

40
ZAGRANICA

POTĘGA BEZ MILITARNYCH AKTYWÓW
Jak kanclerka rozbrajała Bundeswehrę

58
OBSERWACJE

CERAMIKA LEPIONA PRZESZŁOŚCIĄ
– rozmowa z Katarzyną Ziomek vel Pepe

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 7de9e900b2

Prekursorzy rasistowskiej rasy panów

Fragment książki Gregora Ziemera „Jak wychować nazistę" (PRZEGLĄD nr 38) nawiązuje do programu tworzenia dominującej, aryjskiej rasy i formowania nowego człowieka w hitlerowskich Niemczech. Jednym ze sposobów eliminacji ze społeczeństw osobników „słabych i z defektami" była sterylizacja kobiet, również tych zaliczających się do wrogów państwa.

Jak wychować nazistę

Sterylizacja nie była wymysłem III Rzeszy, ojcem eugeniki, tj. nauki mającej na celu poprawę populacji za pomocą planowanej hodowli, w celu ulepszenia human race, był bowiem brytyjski naukowiec sir Francis Galton. W latach 20. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, kontynuując tezy Galtona, podnosiły się głosy niepokoju z powodu zmniejszającej się populacji Anglosasów czystej krwi oraz rozrostu „ras upośledzonych". Oto, co na temat praktycznego zwalczania inferior race pisze Nelson A. Denis w książce „War Against All Puerto Ricans. Revolution and Terror in America's Colony", Nation Books, New York 2015. „Ratowaniu rasy inteligentnych Anglosasów przysłużył się Sąd Najwyższy US, zezwalając w 1927 r., aby w stanie Wirginia dokonywano sterylizacji nieodpowiednich kobiet. Dziesięć lat później Prawem publicznym 136 zalegalizowano sterylizację w Puerto Rico nawet z powodów »niemedycznych«. Prezydent Calvin Coolidge napisał: »Portorykańczycy są biedni i zdezorientowani, bez nadziei na przyszłość, ignoranci, załamani przez biedę, chorzy, nierozumiejący, co stanowi wolny i demokratyczny rząd«. W Puerto Rico jedna trzecia wszystkich kobiet na wyspie została wysterylizowana bez ich wiedzy". Hitlerowcy nie wymyślili rasizmu. Uczyli się od najwspanialszej demokracji świata.

Wiesław A. Zdaniewski

Z warsztatu Michała Głowińskiego

W niedawno wydanej książce „Tęgie głowy" Michał Głowiński pomija, jak od dawna ma w zwyczaju, fakty dla swoich twierdzeń niewygodne. Pisząc o habilitacji Jana Józefa Lipskiego, zapomniał dodać, że ten znany badacz twórczości Kasprowicza otrzymał tytuł doktora habilitowanego decyzją Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej w maju 1981 r. (szczegółową i uczciwą dokumentację tej sprawy daje Łukasz Garbal w książce „Jan Józef Lipski w Instytucie Badań Literackich", str. 217-218). Tak samo, pisząc o rzekomej dintojrze na Irenie Maciejewskiej w 1968 r. po jej wystąpieniu z PZPR, pominął fakt, że nie tylko nadal prowadziła ona zajęcia dydaktyczne, ale również habilitowała się w 1976 r. i uzyskała stanowisko docenta.

Andrzej Lam

Celem ministra jest pacyfikacja nauczycieli

Celem ministra jest pacyfikacja nauczycieli

Kiedy słucha się wypowiedzi ludzi, którzy są dziś twarzami edukacji, Czarnka, Rzymkowskiego, to rzeczywiście chodzi nie o przekonanie do czegokolwiek pracowników szkół, ale tylko i wyłącznie o budowanie fałszywej narracji wobec szerokich rzesz wyborców: „Patrzcie, co za wredasy ci nauczyciele, my im przychylamy nieba, a im wciąż za mało!".

Jan

ZDJĘCIE TYGODNIA

Błogosławienie zwierząt domowych przed Światowym Dniem Zwierząt, Quezón City, Filipiny, 3 października 2021 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7de9e900b2

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Ponad 1,7 mln osób w Polsce ukończyło 80 lat.

Zbigniew Rokita za reportaż „Kajś" o losach Górnego Śląska dostał Nagrodę Literacką Nike.

Janusz Gajos otrzymał Honorową Nagrodę Kowadło, przyznaną przez Stowarzyszenie Kuźnica za niezapomniane kreacje oraz odważny i rozważny obywatelski głos w przestrzeni publicznej.

Marek Frąckowiak został nowym prezesem Izby Wydawców Prasy, której nasza Fundacja Oratio Recta jest członkiem. Połączy tę funkcję ze stanowiskiem dyrektora generalnego.

Książka Mariusza Szczygła „Nie ma" wygrała głosowanie na Nike 25-lecia.

Pesa Bydgoszcz pokazała pierwszą polską lokomotywę manewrową z napędem wodorowym. Po chińskiej jest to druga taka konstrukcja na świecie. Zaczęły się testy lokomotywy na torach próbnych.

Anna Tybor z Zakopanego jako pierwsza kobieta na świecie zjechała na nartach bez dodatkowego tlenu z mającego 8163 m Manaslu.

W Polsce powstaje 35% całej unijnej produkcji AGD. Pokrywamy 50% popytu w Unii na pralki i 90% popytu na suszarki do ubrań.

5,8% wyniosła inflacja we wrześniu. W porównaniu z ubiegłym rokiem cena paliw wzrosła o 28,6%.

Na 5 mln ton szacuje się skalę marnotrawstwa żywności w Polsce (raport Instytutu Ochrony Środowiska). Za 60% odpowiadają gospodarstwa domowe.

Caritas musi zwrócić pieniądze wyłudzone z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Łącznie z odsetkami to 19 mln zł za lipne projekty, fikcyjne szkolenia i fałszowanie dokumentów. Procesy trwały 11 lat. Oskarżeni księża działali za wiedzą przełożonych.

Prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, kosztuje tę uczelnię coraz więcej. Podwyżka goni podwyżkę. Razem ma już 43 tys. zł miesięcznie. Do pensji dorabia w wielu radach nadzorczych. Zarobkowo jest wzorem dla setek pracowników naukowych uczelni.

Rada Miejska w Radomiu nadała placowi przed jednym z kościołów imię bp. Edwarda Materskiego. Nie przeszkadzała radnym jego tolerancja wobec księdza molestującego niepełnosprawne dzieci z ośrodka w Opactwie.

20% polskich nastolatków zagląda na strony o samobójstwach i samookaleczeniach (raport EU Kids Online).

Łódź jest według TomTom Traffic Index najbardziej zatłoczonym miastem w Polsce (czas podróży był wydłużony średnio o 42%), **za nią są Kraków** (36%), **Wrocław** (35%), **Poznań i Warszawa** (po 31%).

PRZEBŁYSKI

Hołd zębny „Trotyla"

Troska „Trotyla", czyli Cezarego Gmyza, o Macierewicza jest tak wielka, że obejmuje nawet stan jego uzębienia. W cotygodniowym pitu-pitu w „Do Rzeczy" padł „Trotyl" na kolana przed Antonim i złożył mu hołd zębny. A było tak: Antoni z bólem zęba pojechał na ostry dyżur stomatologiczny. Nie zgubił się, bo służbową furą wozi go żandarmeria. Skromnie stanął w kolejce. Czekał dwie godziny. Bez efektu. Wsiadł więc do autka i fru.

Dla „Trotyla" czekanie Antoniego w kolejce to dowód jego niezwykłej skromności. Bo przecież mógł na lekarza się wydrzeć. Postraszyć giwerą. Oskarżyć o związki z Putinem. A tu nic! Po prostu odjechał.

Zawiedziony Budzisz?

Zwolennicy dojnej zmiany mogą już wyjść z piwnic. Alarm tygodnika „Sieci" i okładka z tytułem „Czy Rosja uderzy już we wrześniu?" okazały się prostacką fałszywką. Przypadek? Tekst Marka Budzisza wykpiła nawet „Gazeta Polska": „pan mojego zaufania nie-Budzisz!". Autor uznał „agresję Rosji na Polskę za WYKLUCZONĄ".
Ale żeby nie wyjść na miękiszona, za możliwą uznał napaść na Ukrainę. Typuje ostrożnie. Bez podawania terminu.
W organie Macierewicza wierzą tylko w te wojenki, które sami wywołują. A jest tego w bród, bo wrogów ci u nich dostatek. Za redakcją „Sieci" też nie przepadają.

Nowak o tatusiu Dudy

Najsławniejsza kurator w Polsce, choć niewielu znamy smakoszy takiej akurat sławy. Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, ma wielki pociąg do… komentowania wszystkiego. Nawet postępków najważniejszego tatusia, Jana Dudy, ojca prezydenta. Nowak nie godzi się na rejteradę i tchórzostwo Dudy starszego i radnych małopolskiego sejmiku, którzy od wartości wolą kasę. Nowak jaka jest, każdy widzi. Ale trudno z nią się spierać, gdy mówi, że język jest okrutnie zakłamywany, a znaczenie wielu słów wypaczone. Pełna zgoda. Wiemy, co z językiem zrobiła dojna zmiana.

Ach, ten Brzoska

Polakom Rafał Brzoska dał się poznać bliżej, gdy jego InPost zakpił z konkurencji, dołączając do listów aluminiową blaszkę. Klienci po przesyłkę pocztową musieli chodzić do barów i sklepów z rybami. Ale kasa z tego płynęła do Brzoski wartko. Zaległości wobec załogi na śmieciówkach rosły jeszcze szybciej. Aż do upadku firmy i procesów.

Podatki Brzoski wobec państwa nie spędzały mu snu z powiek. Po powrocie do biznesu zarabiał w Polsce, ale małe podatki płacił na Cyprze. Z raportu Pandora Papers wiemy, że należąca do Brzoski cypryjska spółka Granatana dostała od InPostu pożyczkę. Skromne 15,5 mln euro. A już po miesiącu polski Brzoska umorzył pożyczkę Brzosce cypryjskiemu. Z jednej głębokiej kieszeni do drugiej. Spodnie oczywiście Brzoskowe. A takich numerów było multum.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 7de9e900b2

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak wielu Polaków wierzy w kłamstwa premiera?

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

To, że jest premierem, dodaje mu powagi, tymczasem zwłaszcza o finansach publicznych czy inflacji opowiada typowe bajki. Tyle że my od dzieciństwa lubimy bajki, bo lubimy być troszkę okłamywani. Podobnie jest przecież z chodzeniem na lekcje religii czy do kościoła, gdzie słuchamy o różnych cudach. W wieku dojrzałym nadal lubimy wierzyć w nieprawdziwe rzeczy, o ile tylko czujemy się od tego lepiej.

DR RADOSŁAW S. CZARNECKI,
filozof i publicysta, Społeczne Forum Wymiany Myśli

Dlatego, że opozycja nie jest żadną alternatywą dla PiS. Nie mówię tu o Koalicji Obywatelskiej, której przekaz można sprowadzić do słów Agnieszki Holland o walce „o to, żeby było tak, jak było", choć przecież to, co było, wyniosło do władzy PiS. Chodzi mi o to, że lewica nie stanowi żadnej siły i nie ma żadnego programu, który byłby czymś zupełnie innym niż reprezentowany przez PiS neoliberalizm pod flagą biało-czerwoną oraz promowany przez PO neoliberalizm pod flagami międzynarodowych korporacji. Polacy wierzą premierowi także dlatego, że zgodnie z badaniami najmocniej w Europie wierzą w teorie spiskowe, a narracja rządu mówi, że nasz kraj jest uciskany przez wszystkich: Rosję, Niemcy, Brukselę, a nawet Czechy. Trzecim powodem jest zasięg państwowej telewizji, która w przeciwieństwie do głosu opozycji ma możliwość docierania do całego społeczeństwa, czwartym zaś to, że lewica nie ma swoich mediów.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Może dlatego, że żyjemy w epoce kłamstw i przyzwyczailiśmy się do fake newsów? Może mamy niską świadomość obywatelską, która ma kluczowe znaczenie przy rozpoznawaniu kłamstw polityków? Może polityka jest nam w ogóle obojętna, co najwyżej szukamy w internecie potwierdzenia swoich poglądów? Winne są media, media społecznościowe oraz słabość opozycji, która skupiła się na rozgrywkach personalnych i dążeniu do statusu współuczestniczących we władzy, choć przecież nie ma nic do gadania. Opozycja nie wyciąga wniosków, nie potrafi prowadzić pracy organicznej i pracy u podstaw, m.in. nad świadomością obywatelską społeczeństwa, nie dociera do ludzi młodych. I wreszcie nie umie w odpowiedni sposób przedstawiać kłamstw rządu, poza tym sama jest kojarzona z kłamstwami.

PIOTR KRZESZEWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Od 1055 lat mieszkańcy terenów dzisiejszej Polski są poddawani wpływom – najpierw Rzymu, później Watykanu, a to kształtuje w mentalności „narodu" takie cechy jak posłuszeństwo, bezwolność, wiarę w to, czego nie ma, podatność na manipulacje itp. W kierunek ten wpisało się PiS, w tym osoba pobierająca honoraria premiera. Z kolei zadaniem Zalewskiej, Piontkowskiego oraz Czarnka było i jest utrwalanie wiernopoddaństwa oraz podatności na kłamstwa, czemu służy obniżanie lub deformowanie wykształcenia. „Naród" będzie kupował ściemę tak długo, aż rządowi (czytaj: prezesowi) zabraknie pieniędzy na kolejne zanęty, kupowanie godności i wolności w zamian za drobne korzyści materialne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 7de9e900b2

Robert Walenciak

FANATYK BEZPRAWIA

Prawo nie wyznacza Mariuszowi Kamińskiemu ram postępowania, jest dla niego przeszkodą

Mariusz Kamiński przejdzie do historii. To pewne. Przejdzie jako klasyczny przykład kariery polityka polskiej prawicy. Bohater opowieści o tym, jak studenci w trampkach i flanelowych koszulach marzą o lepszej i sprawiedliwej Polsce, potem wchodzą do aparatu władzy i psują im się charaktery. Jak używają tego aparatu, żeby niszczyć przeciwników. No i dobrze zarabiać. Tak kończy się rewolucja, a zaczyna pałowanie. Czy tak musiało być?

Z daleka od stanowisk

Nie brakuje sygnałów, że Kamiński powinien być trzymany z dala od życia publicznego. Jeszcze jako młody chłopak, po studiach, na początku lat 90., próbował dostać się do Urzędu Ochrony Państwa. Ale się nie dostał, oblał testy. On sam temu zaprzecza, twierdzi, że do żadnego UOP nie startował. Ale jakoś bez przekonania…

Warto pamiętać – działo się na początku lat 90., UOP był nową służbą, otwartą właśnie na takich ludzi jak Kamiński – młodych działaczy NZS, Solidarności, Ruchu Wolność i Pokój. A że był nową służbą, to i testy traktowano poważnie. Zwłaszcza że dotyczyły one predyspozycji psychicznych. Jeżeli Kamiński je oblał, to znaczy, że naprawdę nie powinien dostawać do ręki pewnych narzędzi.

I drugi sygnał, tym razem z marca 2015 r. To wtedy sąd skazał Kamińskiego, jego zastępcę Macieja Wąsika i dwóch funkcjonariuszy CBA w sprawie tzw. afery gruntowej z 2007 r. CBA próbowało wówczas dowieść, że minister rolnictwa Andrzej Lepper może odrolnić ziemię za łapówkę.

Prokuratura badała, czy CBA podczas działań nie przekroczyło prawa. Czy miało podstawy, by rozpocząć tajną operację przeciwko wicepremierowi i ministrowi rolnictwa, czy przeciwnie – funkcjonariusze znaleźli frajerów, których podpuszczali, a potem wręcz zmuszali do przestępstwa.

Prokurator doszedł zresztą do takiego wniosku i zażądał dla Kamińskiego kary roku pozbawienia wolności, z zawieszeniem na lat pięć, oraz czteroletniego zakazu pełnienia funkcji publicznych. I cóż się okazało? Sąd wyrok podwyższył. Przewodniczący trzyosobowemu składowi sędziowskiemu Wojciech Łączewski skazał Kamińskiego na trzy lata więzienia i dziesięcioletni zakaz pełnienia funkcji publicznych.

„Mariusz Kamiński twierdził, że motywacją działania była walka z korupcją, której obiektywnie w Ministerstwie Rolnictwa nie było, a na pewno nie było na to poszlak czy dowodów. Czyn zabroniony (...) został »wyprodukowany« przez aparat państwa – czytamy w uzasadnieniu. – Poddanie prowokacji osoby pozbawionej uprzednio predylekcji do popełnienia czynu zabronionego jest niedopuszczalne w demokratycznym państwie".

Sąd zaznaczył też, że sądził Kamińskiego nie za życiorys, ale za to, jak kierował CBA w tej sprawie: „Zachowywał się jak osoba stojąca ponad prawem, bo zlecał czynności, o których już w początkowym okresie funkcjonowania CBA był informowany, że przeprowadzić ich nie może. Świadomie nie stosował przepisów ustawy o CBA".

Innymi słowy – Kamiński dowiódł, że nie powinien zajmować stanowisk kierowniczych w państwie. Że prawo nie wyznacza mu ram postępowania, ale jest dla niego przeszkodą. I że nie ma zahamowań, jeśli chodzi o nasyłanie na przeciwników politycznych podległych sobie służb i konstruowanie prowokacji.

Ten wyrok nie został uchylony ani zmieniony. Zanim się uprawomocnił, prezydent Andrzej Duda ułaskawił Kamińskiego i jego podwładnych.

Kamiński namawiał prokuratora generalnego do wydania zgody na zatrzymanie Jolanty Kwaśniewskiej, mimo że nie miał ku temu żadnych przesłanek.

Szambo, które wybiło

A jak zakwalifikować niedawną konferencję prasową, na której wystąpił razem z ministrem obrony Mariuszem Błaszczakiem i komendantem Straży Granicznej? Kamiński zdecydował się na rzecz w cywilizowanym świecie niespotykaną – epatował dziennikarzy kadrem z filmu o treści zoofilskiej, pochodzącym rzekomo z karty pamięci, którą funkcjonariusz Straży Granicznej znalazł w lesie. Potem okazało się, że był to fragment starego filmu pornograficznego, rozpowszechnianego na kasecie VHS – w Polsce.

W normalnym kraju po takiej konferencji minister zostałby zdymisjonowany, nim zdążyłby wrócić do swojego gabinetu. I za pokazywanie pornografii, i za łopatologiczną próbę wmawiania Polakom, że uchodźcy to dewianci, terroryści, ludzie, którzy niosą zło. I to w sytuacji, kiedy kamery ich pokazują i widzimy wśród nich kobiety, dzieci, młodych ludzi.

Oto szambo w czystej postaci: pornograficzne zdjęcia, kłamstwa i szczucie na innych ludzi, wmawianie nam, że to najeźdźcy, terroryści, pozbawieni ludzkich cech. Jak więc wytłumaczyć, że Kamiński nadal jest

eprasa.pl 7de9e900b2

Czy Jarosław Kaczyński nie boi się, że szef MSWiA za chwilę będzie zbyt silny?

na stanowisku? Ba! żadna dymisja mu nie grozi.

O braku zahamowań u Kamińskiego świadczy również inna operacja – zakup domniemanej willi Kwaśniewskich w Kazimierzu. Żeby uruchomić kosztującą wiele milionów złotych akcję, wystarczyły mu słowa Józefa Oleksego z alkoholowej biesiady u Aleksandra Gudzowatego: „Kupili w Kazimierzu całe wzgórze. Też nie wiem na kogo, bo nie na siebie".

Kamiński na podstawie tych paru słów doszedł do wniosku, że Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy ukrywają część dochodów. W związku z tym w trybie pilnym CBA rozpoczęło wielką operację pod kryptonimami „Krystyna" i „Silver", która trwała prawie dwa lata. Pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE, więc teraz tylko w pewnym skrócie.

Główną rolę w operacji odgrywał słynny agent Tomek. Miał on, udając bogatego biznesmena, zaprzyjaźnić się z właścicielem willi, żeby później zaproponować mu jej kupno. Zakładano, że ów właściciel – prywatnie przyjaciel Kwaśniewskich, w tej willi mieli oni nawet własny pokój – przekaże im później te pieniądze, co będzie dowodem, że willa należała do nich.

Przy okazji tej operacji w latach 2007-2009 podsłuchiwano lokatorów willi i Kwaśniewskich. Jak wykazały późniejsze ustalenia, Kamiński i Wąsik złożyli do sądu 32 wnioski o podsłuchy. Kamiński przy tym oszukał sąd i prokuratora generalnego, informując, że willa pochodziła z przestępstwa, mimo że nie miał na to ani cienia dowodu. Badano także rachunki i przepływy finansowe. Co więcej, w sierpniu 2009 r. Kamiński namawiał prokuratora generalnego do wydania zgody na zatrzymanie Kwaśniewskiej, mimo że nie miał ku temu żadnych przesłanek. Prokuratorem generalnym był wówczas Andrzej Czuma, były działacz antypeerelowskiej opozycji. Ale gdy Kamiński przyszedł do niego z wnioskiem o zatrzymanie Kwaśniewskiej i gdy ten wniosek przeczytał, wyrzucił go za drzwi.

Ostatecznie operacja kupna willi się nie powiodła, a dokładnie – agent Tomek willę kupił za pieniądze CBA, ale były właściciel nie zawiózł ich Kwaśniewskim. O tym, jak ta operacja przebiegała i jaką rolę odgrywali w niej Kamiński i jego zastępca Maciej Wąsik, agent Tomek, czyli Tomasz Kaczmarek, mówił później w programie „Superwizjer". Dziennikarze przytoczyli tam stenogram z jego konfrontacji. Agent Tomek mówił do protokołu: „Miałem wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym należy do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Ja osobiście takiego przeświadczenia nigdy nie powziąłem, a moje notatki i zeznania są efektem nacisków ze strony byłych przełożonych. W tamtym okresie informowałem bezpośrednio o tym Macieja Wąsika, jednakże nakazał mi on, abym w ten sposób zeznawał i sporządzał dokumenty, aby wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym (...) mógłby w jakiś sposób nielegalny należeć do małżeństwa Kwaśniewskich. Pragnę z całą stanowczością potwierdzić, że w trakcie realizacji przeze mnie zadań służbowych nigdy takiego materiału dowodowego nie powziąłem, a były to tylko i wyłącznie insynuacje ze strony Macieja Wąsika".

Innymi słowy, Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, ówczesny szef CBA i jego zastępca, zmuszali prowadzącego sprawę funkcjonariusza do fałszowania dokumentów, tak by uderzały one w Kwaśniewskich. Możemy tylko westchnąć głęboko – bo byliśmy o krok od zatrzymania Jolanty Kwaśniewskiej i od wielkiej propagandowej awantury. A że po latach honor zostałby im zwrócony?

Klęski i sukcesy

Konstruując aferę gruntową, wymierzoną w Andrzeja Leppera, Kamiński wywrócił rząd PiS. Atakując Kwaśniewskich, także poniósł klęskę. Kompromitacją skończyła się dla niego akcja skierowana przeciwko kardiochirurgowi Mirosławowi G., którego oskarżano o łapówkarstwo i zabójstwo. „Zebrane w tej sprawie dowody mogą świadczyć o tym, że mogło też dojść do zabójstwa", mówił Kamiński na wspólnej konferencji prasowej ze Zbigniewem Ziobrą. Z tych oskarżeń niemal nic przed sądem się nie ostało. Nie mówiąc już o zabójstwie.

Jednak oprócz klęsk Kamiński przyniósł Kaczyńskiemu kilka realnych sukcesów. Na pewno są to sprawy Marka Falenty i Sławomira Nowaka.

Falenta to człowiek, który wymyślił nagrywających kelnerów. I który potem za przekazywane nagrania próbował kupić sobie bezpieczeństwo i wpływy w obozie PiS.

eprasa.pl 7de9e900b2

Skończyło się to dla niego średnio, bo za nagrywanie został skazany (właśnie na dniach miał wyjść z więzienia po odsiedzeniu wyroku). Ale swoje zrobił. Taśmy dobiły PO.

A warto pamiętać, że Falenta był agentem ABW, a potem CBA. Jak to możliwe? Otóż funkcjonariusz, który prowadził Falentę, pozyskał go jeszcze w czasach, gdy pracował w ABW. Przechodząc do CBA, przeniósł tam także swojego agenta. Dodajmy do tego, że awansował w strukturach, gdy w roku 2015 PiS zdobyło władzę. Innymi słowy, co prawda premier Tusk zwolnił Kamińskiego z funkcji szefa CBA, ale jego ludzie, zwłaszcza w niektórych delegaturach, zostali.

Innym sukcesem była sprawa Sławomira Nowaka. Otóż w lipcu 2020 r. funkcjonariusze CBA zatrzymali go w związku z podejrzeniem korupcji, kierowania zorganizowaną grupą przestępczą i prania brudnych pieniędzy. Był to wynik trwającego od 2019 r. polsko-ukraińskiego śledztwa. Nowak jako prezes Ukrawtodoru miał przyjmować korzyści majątkowe za zlecenia budowy dróg.

Jak skończy się śledztwo i ewentualny proces sądowy, tego nie wiadomo. Ale swoje PiS już przy tej sprawie ugrało. Po pierwsze, od roku można pokazywać Nowaka w TVP razem z Tuskiem i opowiadać, jakie ciążą na nim zarzuty i że sprawa jest rozwojowa. Co się do Tuska przyklei – to korzyść PiS.

Po drugie, spójrzmy na daty. Zarzuty postawiono Nowakowi po wyborach prezydenckich 2020 r. Tymczasem śledztwo w jego sprawie rozpoczęło się w roku 2019. I od tego czasu w jego ramach, chyba nikt w to nie wątpi, stosowano podsłuchy. Najpewniej wykorzystując supertajny system Pegasus, który Polska kupiła od Izraela. Pegasus jest przeznaczony do działań antyterrorystycznych. Pozwala na podsłuchiwanie telefonów i monitorowanie ich pamięci. A także na inwigilowanie urządzeń, z którymi obserwowany telefon się łączy. Tu przypomnijmy, że Nowak w czasie kampanii prezydenckiej był częstym gościem w sztabie Rafała Trzaskowskiego. Czy nie było więc tak, że w zupełnie legalny sposób CBA mogło na bieżąco monitorować działania prezydenta Warszawy?

Kamiński opiera się na ludziach, których zna od lat. Jednym z nich jest Maciej Wąsik.

Do tego zestawu dopiszmy jeszcze jeden sukces Kamińskiego. Tym razem w grze wewnątrz PiS. Kilka lat temu opisywano spór pomiędzy nim a Antonim Macierewiczem, wówczas ministrem obrony. Spór dotyczył służb specjalnych. Kamiński chciał je jednoczyć w ramach Ministerstwa Bezpieczeństwa, Macierewicz był przeciw, nie chciał mu oddawać wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. No i wygrał to starcie.

Parę miesięcy później przyszedł jednak czas rewanżu. W kwietniu 2017 r. wybuchła afera związana z Bartłomiejem Misiewiczem, który miał zostać pełnomocnikiem zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W centrali PiS przy Nowogrodzkiej zebrała się specjalna komisja, w składzie Joachim Brudziński, Mariusz Kamiński, Karol Karski i Marek Suski. I po przesłuchaniu Misiewicza orzekła, że „Bartłomiej Misiewicz nie ma kwalifikacji do pełnienia funkcji w sferze administracji publicznej, spółkach Skarbu Państwa czy innych sferach życia publicznego". Z przecieków wiadomo, że o dyskwalifikacji Misiewicza zadecydowały zarzuty, które przedstawił Kamiński, opierając się na materiałach CBA. Tych zarzutów było ok. 40, wynika więc z tego, że Misiewicz był rozpracowywany przez CBA od dłuższego czasu. Że kwity były zbierane. I gdy przyszedł właściwy moment, Kamiński mógł Misiewicza zniszczyć, uderzając jednocześnie w Macierewicza.

Chyba nie musimy pytać, czy na innych członków ekipy PiS Kamiński również zbiera materiały…

> Co prawda, premier Tusk zwolnił Kamińskiego z funkcji szefa CBA, ale jego ludzie zostali.

Usłużny czy groźny?

Jeżeli popatrzymy na PiS, na głównych rozgrywających na prawicy, łatwo zauważymy pewną prawidłowość. Zbigniew Ziobro buduje swoją pozycję w partii i państwie prokuratorskimi śledztwami (które wdraża lub umarza) plus antyeuropejskimi filipikami swoich wiceministrów. Mateusz Morawiecki wykorzystuje siłę i możliwości spółek skarbu państwa i różnych państwowych funduszy. Na tym się zna, na to ma wpływ. Natomiast Mariusz Kamiński rozpoczął marsz w górę jako szef CBA, a teraz ma pozycję zarządcy innych podległych ministrowi spraw wewnętrznych służb.

Opiera się w tym marszu na ludziach, których zna od lat. Jego etatowy zastępca, Maciej Wąsik, to kolega jeszcze ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim i z działalności w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. „Tworzyliśmy grupę ludzi wyrosłych na pewnych ideach, trzymających się razem, pijących wódkę. Bywało, że raz w tygodniu z regularnością szwajcarskiego zegarka", mówił Marcin

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM, DAMIAN BURZYKOWSKI/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 7de9e900b2

Rudnicki, przyjaciel Wąsika, brat Jakuba Rudnickiego, jednego z „bohaterów" afery reprywatyzacyjnej w Warszawie. To w mieszkaniu Jakuba co weekend odbywały się mocno zakrapiane imprezy, w których brali udział Kamiński, Wąsik i Ernest Bejda.

Te opowieści pokazują, jak tworzyło się środowisko Kamińskiego. Jak bardzo było ono hermetyczne, jak więzi osobiste górowały nad procedurami. Grupa kumpli najpierw działała w NZS, potem zakładała Ligę Republikańską – i to już był dużo większy rezerwuar kadr, a potem miała coraz bliższe kontakty z Kaczyńskim.

Najmocniej ciągnęło ich do służb specjalnych. Szli razem. Dokąd zaszli? Gdy Kamiński tworzył w 2006 r. CBA – był to wielki projekt rządzącego wówczas PiS – jego zastępcami zostali Maciej Wąsik i Ernest Bejda.

Po wyrzuceniu Kamińskiego z CBA Wąsik trafił do spółki Srebrna i był radnym miasta Warszawy. W listopadzie 2015 r. został powołany na sekretarza stanu w KPRM jako zastępca koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego. A gdy Kamiński objął MSWiA, Wąsik został tam sekretarzem stanu, zatrzymując przy tym stanowisko sekretarza Kolegium ds. Służb Specjalnych.

Bejda również po roku 2010 pracował m.in. w spółce Srebrna, startował z list PiS do Sejmu, a gdy PiS w 2015 r. zdobyło władzę, został szefem CBA. Od maja 2020 r. jest zaś w zarządzie PZU i w radach nadzorczych Alior Banku oraz TFI PZU.

Inna ważna postać z otoczenia Kamińskiego to Piotr Pogonowski. W latach 2008-2010 zajmował stanowisko dyrektora gabinetu szefa CBA. Później był współpracownikiem Srebrnej. A po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. został szefem ABW. Tam w ciągu kilkunastu miesięcy awansował z kaprala na pułkownika. W styczniu 2020 r. odszedł z ABW, a 1 marca znalazł się w zarządzie NBP. W ABW na stanowisku szefa zastąpił go Krzysztof Wacławek, który karierę w służbach zaczynał w CBA.

Z nędzy do pieniędzy! Kamiński i jego koledzy najpierw zbudowali CBA, zupełnie na wzór partyjnej służby specjalnej. Dla Kaczyńskiego. Potem, po zwycięstwie PiS, jedni do CBA wrócili, drudzy przejęli inne służby. A teraz najważniejsi poszli na wielce intratne posady do banków i spółek skarbu państwa, pozostawiając kierowanie służbami swoim wcześniejszym zastępcom.

I oto mamy mechanizm władzy PiS. Wierni żołnierze wodza nagradzani są dobrami. Już nie wioską, jak w średniowieczu, ale posadą w państwowych bankach i spółkach.

Niedawno w „Gazecie Wyborczej" Wojciech Czuchnowski opisał układ Kamińskiego. W Orlenie na ważnych i wysokopłatnych stanowiskach pracuje sześciu ludzi wywodzących się z CBA. Jeden jest doradcą prezesa Obajtka, drugi – szefem pionu bezpieczeństwa, inni objęli stanowiska wiceprezesów w spółkach córkach. W tej grupie warto zwrócić uwagę na Zbigniewa Laska, szefa pionu bezpieczeństwa Orlenu. Lasek, po odejściu z CBA w roku 2010, był jednym z założycieli firmy ochroniarskiej Grom Group. Dziś ta firma ochrania Kaczyńskiego.

Inni ludzie Kamińskiego zajmują ważne miejsca w Totalizatorze Sportowym, w KGHM, NBP, PZU. Prezes Glapiński zatrudnił w NBP na stanowisku dyrektorskim byłą żonę Kamińskiego. A jego syna wysłał jako delegata do Banku Światowego, zarabia tam 200 tys. dol. rocznie.

Kamiński zatem nie jest Robespierre'em IV RP, tylko sowicie nagradzanym pisowskim baronem.

Zresztą służbom, które chronią władzę, krzywda się nie dzieje – we wrześniu policjanci wynegocjowali 677 zł podwyżki, plus awanse i odmrożenie funduszu nagród. Widzimy więc, kto jest dzisiaj w Polsce ważny.

•

Pytanie nasuwa się teraz samo: czy Kaczyński nie boi się, że szef MSWiA za chwilę będzie zbyt silny? I praktycznie nietykalny?

Ochrona prezesa, Służba Ochrony Państwa (dawniej BOR) i Grom Group są w rękach Kamińskiego. Plus ochrona willi prezesa – czym zajmuje się policja. To służby Kamińskiego bronią władzy przed demonstrującymi kobietami i młodzieżą. To jego służby szachują opozycję. No i nadzorują innych ministrów oraz ich ludzi.

Potężne to zadania i nie mniej potężna władza. Ale, jak widać, Kaczyński ufa Kamińskiemu, a on z kolei jest wobec niego lojalny. Dlaczego ufa? Przecież zdradzili go już niemal wszyscy. Wydaje się, że to zaufanie wynika z pewnej sytuacji. Kamiński nie ma ambicji politycznych, które by zagrażały Kaczyńskiemu. Lokuje się w cieniu i ewidentnie jest mu tam dobrze. Uznaje intelektualną wyższość patrona. Szczególnie cenne jest dla niego to, że Kaczyński trzyma nad nim i jego ludźmi parasol ochronny, co pozwala im przetrwać różne wpadki.

Kamiński nie jest Robespierre'em IV RP, tylko sowicie nagradzanym pisowskim baronem.

Kamiński jest przy tym skuteczny. Zwróćmy uwagę na ton jego konferencji. On nie pokrzykuje jak Ziobro, nie budzi agresji. Oto pojawia się człowiek przygarbiony (pewnie troskami), mówiący cicho, z pewną refleksją… To stwarza pozory wiarygodności, mimo że często wygłaszane są tam horrendalne bzdury, jak choćby opowieść o znalezionej w lesie karcie pamięci.

Ale to ewidentnie Kaczyńskiemu się podoba. Układ pan i wierny sługa odpowiada więc obu stronom. Łączą ich też inne sprawy – niechęć do Polski Ludowej, nienawiść do liberalnego obozu, który wyłonił się z Solidarności, przeświadczenie, że tylko PiS ma mandat do rządzenia. No i bolszewickie przekonanie, że służby specjalne są w państwie szczególnie ważne. Odgrywają więc znane nam z historii role.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Porażek nie widzę żadnych

Minister Czarnek niestrudzenie próbuje odbić polskie uczelnie z rąk sił nieczystych i lewackich

Beata Igielska

„Obrażenia, jakich mogła dokonać korona cierniowa", czyli szczegółowy opis obrażeń zadanych Jezusowi na podstawie relikwii za skromne... 70 punktów, czytaj 70 czarnków. Tekst opublikowany w „Poznańskich Studiach Teologicznych", tom 36 (2020), s. 83-96, powstał na podstawie wzmianek w Nowym Testamencie, tudzież m.in. analizy chemicznej przeprowadzonej w... 1839 r.; całość w języku angielskim.

„Roczniki Humanistyczne" KUL, tom 68 nr 1 (2020), zeszyt specjalny w 100-lecie urodzin św. Jana Pawła II. Każdy artykuł wart 100 czarnków.

„Ojczyzna Twoja ma powtórzyć to wielkie dzieło odkupienia. Mesjanizm w zapiskach duchownych wileńskiej mistyczki miłosierdzia Heleny Majewskiej CSA" – za tekst pod tym tytułem w wydawanym przez Wyższą Szkołę Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu półroczniku naukowym „Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie", nr 8/2018: „Polska 1918. Stulecie odzyskania Niepodległości" autor, ks. Michał Damazyn, otrzymał 40 czarnków. Rarytasem jest tu tabelka porównująca kolejne stacje drogi krzyżowej do różnych wydarzeń z lat 30. i 40. Takie kwiatki wyłapuje facebookowy Instytut Teologiczny im. Pustynnego Demona.

Minister Czarnek wziął udział w inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie. Czy to zapowiedź ideologizacji medycyny?

Zbawca konserwatystów

Warto przypomnieć więc, że Przemysław Czarnek, od roku minister edukacji i nauki, jest szczególnie dumny ze zmian w punktacji czasopism. Zrobił to, bo, wyjaśniał na antenie Polskiego Radia, „nie opłacało się publikować w polskich czasopismach, nieraz bardzo zasłużonych, z atrakcyjnym tytułem, z wielką historią, z wielkim doświadczeniem".

Czarnek był ostatnio pytany o roczny bilans pracy w resorcie. „Porażek nie widzę żadnych – ocenił. – Realizuję wszystkie punkty, które założyłem sobie zaraz na początku urzędowania i które przedstawiłem kierownictwu mojego ugrupowania, przede wszystkim panu premierowi".

Szczególną dumą napawa ministra pakiet wolności akademickiej, dla którego Sejm właśnie znowelizował ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Warto odświeżyć sobie wypowiedź definiującą horyzonty myślowe, która padła w rozmowie z Tomaszem Sakiewiczem i Piotrem Lisiewiczem w „Gazecie Polskiej": „Przekonania, że małżeństwo to kobieta i mężczyzna, że ojciec to ojciec, a matka to matka, mogą być głoszone na uczelniach i nie wolno za nie nikogo pociągać do odpowiedzialności". Był to komentarz do głośnej sprawy z Uniwersytetu Śląskiego, profesor socjologii Ewy Budzyńskiej, którą komisja dyscyplinarna postanowiła ukarać naganą, gdy studenci poskarżyli się m.in. na przedstawienie definicji małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Zaprotestowali również wobec prezentacji wyników badań pokazujących skutki pozostawania dzieci w konkubinatach jednopłciowych.

Jak widać, Przemysław Czarnek jest wierny sobie jak mało kto. Od początku konsekwentnie buduje pakiet wolnościowy. „Musimy wyswobodzić konserwatystów na uczelniach", głosi z przekonaniem. Chodzi o to, „żeby nie można było pociągać do odpowiedzialności dyscyplinarnej za wyrażanie swoich przekonań światopoglądowych. Przecież konstytucja to gwarantuje". A „rektor będzie miał obowiązek udostępniać

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 7de9e900b2

infrastrukturę na różne konferencje, nie tylko lewicowe". Pakiet jeszcze w fazie projektu negatywnie oceniły m.in.: Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich czy Akademia Młodych Uczonych. Uznali, że obecnie obowiązujące przepisy wystarczająco chronią wolność słowa.

Ręcznym sterowaniem również popisał się minister, gdy dr Maciej Borkowski, pracownik naukowy Instytutu Filologii Germańskiej UAM, we wpisach na Twitterze użył określeń „pisowska zaraza", „rozwrzeszczane pińcsetplusy" (o dzieciach) i „dziadyga z Żoliborza" (o prezesie PiS). Osobiście poinformował, że Borkowski zostanie zwolniony z uczelni. Nie doszło jednak nawet do etapu postępowania przed komisją dyscyplinarną, gdyż wystarczyła rozmowa z naukowcem i jego deklaracja, że zaprzestanie działalności w mediach społecznościowych.

Dobre badania naukowe nie powstaną w polskim, ręcznie sterowanym skansenie, skoro świat ma charakter globalny.

Jakiś czas temu w Polskim Radiu Przemysław Czarnek odniósł się też do dyskusji na temat zajmowania miejsc przez kandydatów z zagranicy, m.in. na UAM w Poznaniu: „Tak jak polska nauka jest dla Polski, bo jest finansowana przez Polaków, tak polskie uczelnie są dla polskich studentów". A wydawałoby się, że dziś podstawowym zadaniem uczelni powinna być integracja społeczna, gospodarcza, technologiczna. Niezbędna, by absolwenci byli dobrze przygotowani do funkcjonowania w globalnym świecie. Studenci powinni podróżować, stykać się z rówieśnikami z innych kultur, by budować szerszą perspektywę pozwalającą zrozumieć również rodzimą kulturę i jej dziedzictwo. Dobre badania naukowe raczej nie powstaną w oderwanym od świata polskim skansenie.

Wielki oceniający

Z ciekawostek warto odnotować kolejny projekt nowelizacji prawa – uczelnie dostaną ocenę, którą wystawi... sam minister. To przejście na ręczne sterowanie, a przecież od tego, jaką kategorię dostanie dana jednostka, zależy jej prestiż, możliwość nadawania tytułów naukowych i wysokość subwencji, słowem być albo nie być. Prof. Krzysztof Leja z ruchu społecznego Obywatele Nauki od razu ostrzegł, że może dojść do uznaniowości. To Komisja Ewaluacji Nauki, powołana przez ministra, ale składająca się z niezależnych ekspertów, proponuje wartości referencyjne, a minister może je zatwierdzić bądź nie i zalecić ich korektę. Tak powinno pozostać.

„Nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe wzrosły z poziomu 9 mld zł do poziomu 30 mld zł. Z kolei studentów ubyło z 2 mln do 1 mln – to przeliczając na jednego studenta, nakłady na polską naukę wzrosły o ponad 300%. Czy zauważyliście państwo jakieś drgnięcie polskich uczelni w jakichś rankingach albo zwiększenie poziomu nauczania na polskich uczelniach?", zwrócił się w lipcu br. do uczestników zjazdu klubów „Gazety Polskiej". Bo według ministra Czarnka to właśnie szkolnictwo wyższe i nauka w Polsce w ciągu ostatniej dekady odnotowały największy wzrost pod względem przydzielonych środków.

Przemysław Czarnek jest szczególnie dumny ze zmian w punktacji czasopism.

Twórca i likwidator

Minister ma też sukces naukowy na miarę obecnej Rzeczypospolitej: biblistyka oraz familiologia dołączą do polskiej klasyfikacji dziedzin naukowych i dyscyplin. „Wskazanie na biblistykę jako niezwykle ważną część dziedziny teologii jest po to, żeby Polska mogła stać się jednym z wiodących ośrodków biblistyki w całym świecie", powiedział Przemysław Czarnek. Powołał nadto Centrum Badań nad Wolnością Religijną przy Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Za to Polską Akademię Nauk twórczy innowator chciał zlikwidować. Miał ją zastąpić Narodowy Program Kopernikański, nad którym pieczę miał sprawować premier. NPK miał się różnić od PAN jedynie brakiem autonomii i podporządkowaniem politykom. No i kolejny sukces – ultrakatolickie Ordo Iuris uruchomiło Collegium Intermarium zdominowane przez światopogląd biblijny. Przyszłe elity Międzymorza wykształcą się pod okiem międzynarodowej kadry konserwatystów. Wykładać będzie np. Ingrid Frankopan, była doradczyni Jana Pawła II i prawniczka, niegdyś związana z klubem białych nacjonalistów, zwolenniczka brexitu. Inny wykładowca – prawnik, Stephen Baskerville – we wrześniu 2018 r. brał udział w panelu na temat „ideologii płci" podczas Światowego Kongresu Rodzin – WCF, czyli międzynarodowej koalicji organizacji ultrakatolickich i *anti-choice*, w której powstanie zaangażowany był polski Instytut Ordo Iuris, sponsorami zaś są m.in. rosyjscy oligarchowie. Rektorem uczelni został Tymoteusz Zych, wiceprezes Instytutu Ordo Iuris. Sponsorem strategicznym jest spółka PZW Inwestycje, firma Pawła Witaszka i Franciszka Józefa Witaszka. Paweł Witaszek to ortodoksyjny katolik od Marka Jurka z Przymierza Prawicy, w latach 2002-2007 wiceprezes PiS, finansuje antyaborcjonistów.

Collegium Intermarium z przytupem rozpoczęło rok akademicki międzynarodową konferencją „Miejsce prawdy w czasach *cancel culture*". Wicepremier prof. Piotr Gliński w liście skierowanym do uczestników zaznaczył: „Narzędziem współczesnych cenzorów nie jest już oficjalny dekret czy brutalna siła. Ich bronią są media, dezinformacja i tzw. *cancel culture* – kultura wykluczenia. Pogłębiona refleksja nad tym zjawiskiem jest dziś ważna i bardzo potrzebna".

I to byłoby tyle w temacie innowacyjności ministra edukacji i nauki próbującego niestrudzenie odbić polskie uczelnie z rąk sił nieczystych i lewackich.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Czy powstaną uniwersytety narodu polskiego?

To, co zrobiła reforma Gowina i co teraz wyprawia minister Czarnek, jest uwstecznianiem nauki

Rozmawia Beata Igielska

DR HAB. JOANNA HAŃDEREK
– profesor nadzwyczajna UJ, publicystka, działaczka społeczna i polityczna, specjalizuje się w filozofii kultury. Autorka bloga handerekjoanna.wordpress.com. W 2018 r. wsparła protest studentów przeciw reformie nauki (tzw. Ustawa 2.0), przygotowanej przez resort Jarosława Gowina.

Po co Prawo i Sprawiedliwość chce przejąć uczelnie? Idzie po kadry, chce wychować nowego Polaka?

– Nowego Polaka PiS wychowuje w szkole podstawowej i średniej. Wystarczy przyjrzeć się liście lektur zmodyfikowanej pod kątem bogoojczyźnianym. Jeśli zaś chodzi o kulturę studencką – tu rządzący odrobili lekcję z historii. W roku 1968 na ulicę wychodzili studenci, studentki, naukowcy, naukowczynie. Oni robili rewolucję kulturową. Z uniwersytetów wyszedł cały duch nowej lewicy, idee progresywne, równościowe. Weźmy lata 80. XX w. Co chwila na uniwersytetach działo się coś, co odwracało sytuację polityczną, społeczną w Polsce. A dziś żyjemy w czasach, kiedy młodzież dyktuje nam pewne idee, popatrzmy na strajk klimatyczny. Ujarzmienie polskich uczelni jest więc zagwarantowaniem sobie spokoju, by móc dalej demontować polską rzeczywistość. Przykładem takiego manipulowania jest próba pozbawienia prawa do wykładania na Akademii Leona Koźmińskiego sędziego Igora Tulei. Deformy szkolnictwa wyższego zaczęły się za ministra Jarosława Gowina. Niska punktacja pism humanistycznych, zwłaszcza związanych z problemami kultury, czy postawienie na prawie same pisma zagraniczne to zamykanie drogi do akademickiej debaty na temat polityki i kultury naszego kraju. Humanistyka przestała się liczyć, straciła na wartości względem nauk ścisłych i to pokazuje upolitycznienie uczelni.

Dlaczego?

– To proste, jeśli nie znamy własnej kultury, historii, kodów kulturowych, znaczeń obecnych w języku, w gestach codzienności, łatwo nami manipulować. Społeczeństwo zostaje pozbawione głosu sumienia, ale również narzędzia do rozumienia świata. Jeśli go nie mamy, różne idee nachalnie przedstawiane w mediach publicznych, fałszywe informacje powtarzane bez refleksji w internecie będą łatwo absorbowane. Społeczeństwo przestanie protestować. Moim zdaniem prawnicy, prawniczki, naukowczynie, naukowcy, nauczyciele, nauczycielki, dziennikarze, dziennikarki gwarantują istnienie demokracji. Jeśli nie będzie nauki, demokrację będzie łatwiej likwidować.

Krążymy wokół faktu, że PiS dorzyna polskie uczelnie, zwłaszcza kierunki humanistyczne. Ale nie czarujmy się, ideologizacja zacznie dotykać także medycynę, biologię, biochemię, prawo. Za chwilę może się okazać, że teoria Darwina jest do niczego.

– To bardzo smutny temat. Na mojej Alma Mater z okazji rozpoczęcia roku akademickiego celebrowana jest msza święta. Na biorących w niej udział pozostali muszą czekać. To jest symboliczne zawłaszczenie świeckiej instytucji i święta, jakie stanowi inauguracja. Pokazuje też, że nawet w niezależnych jednostkach, takich jak uniwersytet, mamy oddziaływanie Kościoła. Urządzanie mszy na początku roku akademickiego czy celebrowanie uroczystości kościelnych na uniwersytetach i w szkołach prowadzi do zaburzenia relacji sfery kościelnej z naukową. Lekcje religii w szkole czy kierunki teologiczne na uniwersytetach są nie nauką, ale doktryną wiary, ideologią i nie powinny mieścić się w jednostkach edukacji. Zadaniem szkół i uczelni jest budowanie krytycznego i racjonalnego myślenia.

Mówiła pani o planie PiS na wychowanie nowego pokolenia wiernych mu wyborców. I tu się zgodzimy. Minister Czarnek wymyślił dotowane wycieczki szkolne śladami kard. Stefana Wyszyńskiego. A czy nie mamy już innych postaci ważnych dla naszej historii? Dlaczego nie śladami Marii Skłodowskiej-Curie czy Elizy Orzeszkowej? Nasza noblistka czy nasza sufrażystka nie zasługują na takie wyróżnienie? A może zepsułyby obraz cnót niewieścich?

FOT. JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 7de9e900b2

Mamy próbę podbijania uczelni przez fundamentalistów katolickich. Poruszyła mnie pani opowieść o randze mszy. W najlepsze trwa wojna ideologiczna o to, jaka ma być uczelnia.

– To w zasadzie stary problem, ale współcześnie zintensyfikowany. Kilka lat temu Ordo Iuris próbowało zorganizować Rebecce Kiessling wykłady na różnych polskich uczelniach o szkodliwości aborcji. Sama Kiessling przedstawia się jako ta, która została poczęta z gwałtu, i ma być dowodem na to, że każda ciąża jest słuszna i boska. Studentki i studenci zbuntowali się. Na UJ m.in. prowadzone przeze mnie koło naukowe filozofii marksistowskiej wspólnie z kołem studentów prawa napisało pismo do rektora z uwagą, że taka wizyta nie jest naukowa, że uniwersytet nie jest miejscem na ideologiczne dywagacje. Rektorzy nie tylko UJ przychylili się do tego głosu. Potem Ordo Iuris ścigało studentów i studentki, którzy byli przeciwko tym spotkaniom, m.in. przewodnicząca koła naukowego była straszona prokuraturą. Ja też byłam na celowniku fundamentalistycznej krytyki.

Nie doszło do sądowych batalii, ale Ordo Iuris było rozjuszone, bo zaprotestowały uczelnie z Wrocławia, Warszawy, Gdańska i z wielu innych ośrodków, co pokazało katolickim fundamentalistom, że przestrzeń uniwersytetu nie jest dla nich. Rządzący będący w mariażu z religijnymi doktrynerami zrozumieli, że coś trzeba zrobić z uniwersyteckimi prerogatywami przejrzystości, naukowych standardów i negacji ideologizacji życia naukowego. Zaproponowany przez ministra edukacji pakiet wolności dla uczelni jest próbą wyznaczenia standardów pozaakademickich. Obawiam się, że czeka nas dziwna wolność, w której „lewactwo", a więc myślenie równościowe i progresywne, będzie tępione, a prawicowe narracje czy religijna dogmatyka zostaną usankcjonowane.

Właśnie próbuje się wyrzucać „lewacką" kadrę, uczelnie są ideologizowane na Czarnkową modłę.

– W sferze publicznej podgrzewana jest kampania antyuchodźcza. W retoryce PiS mamy stały pakiet wrogów, którymi można straszyć narodowców i zalęknionych współczesną rzeczywistością ludzi: uchodźcy, LGBT, gender, ekolodzy. Jako że na co dzień zajmuję się filozofią kultury i filozofią współczesną, kwestie globalizacji, feminizmu, kryzysu klimatycznego, globalnej sprawiedliwości, studiów migracyjnych czy równości są mi bliskie i dobrze znane. To, co zrobiła reforma Gowina i co teraz wyprawia minister Czarnek, jest uwstecznianiem nauki.

Tematy współczesności na polskich uczelniach nie są mile widziane. *Gender studies* czy *migrant studies* uważane są za ideologię. Do tego dochodzi umiędzynarodowienie uczelni według Gowina, co doprowadziło do premiowania pracy naukowej w języku angielskim bez możliwości rozwijania w języku polskim podstawowych pojęć, które opisywałyby problemy współczesności. Jest to paradoks, ponieważ naukowcy zawsze funkcjonowali na arenie międzynarodowej i nas nie trzeba namawiać do publikacji, badań i międzyuczelnianej współpracy. Publikacje wyłącznie w języku angielskim zamykają usta debacie krajowej, pozostawiają nas bez rozwiniętej struktury językowej, a tym samym bez możliwości kształtowania świadomości społecznej o współczesności. Z kolei minister Czarnek cały czas mówi o Bogu i ojczyźnie, cnotach niewieścich, co tylko pogłębia kryzys nauki.

Polonista raczej nic w języku angielskim nie opublikuje.

– Gdy wpiszemy w wyszukiwarkę hasło Kazimierz Wyka czy Marta Wyka, znajdziemy artykuły o nich w języku angielskim. Jednak na dzisiejszej uczelni ci wspaniali naukowcy nie mieliby łatwego życia. Język polski powinien być rozwijany przez naukowców, by dostosowywać go do problemów współczesnego świata. Jeżeli będziemy opisywać rzeczywistość w językach obcych, nie wypracujemy pojęć, narzędzi przekazu, a wtedy może się okazać, że dla ludzi spoza uczelnianych kręgów kwestie ekologii, kryzysu klimatycznego, wielkiego wymierania oraz globalnej sprawiedliwości będą nieczytelne czy niezauważalne. Dlatego publikacje w języku polskim są ważne. Jeżeli nie ma w języku pojęć, w kulturowym odbiorze może nie być świadomości i coraz trudniej będzie o świadomego, odpowiedzialnego obywatela, obywatelkę.

Ale przecież właśnie o to chodzi. Dzięki ideologizacji uczelni rządzący załatwili dziś mniej więcej sprawy w szkolnictwie na niższych szczeblach, teraz zabrali się do szkolnictwa wyższego. Ideologizacja będzie postępowała.

– W liceach już jakiś czas temu powstały klasy patriotyczno-narodowe – dzieci chodziły w mundurach i strzelały na strzelnicy. To teraz jeszcze, na modłę cnót niewieścich, niech powstaną klasy „cnotliwa panienka" albo „idealna pani domu" i będziemy mieli XIX stulecie.

Dorzućmy do tego uczelnie, które będą mogły kształcić nauczycieli etyki.

– Na razie są to uczelnie katolickie. Już teraz, gdy dzieci nie chcą chodzić na religię, etykę prowadzi często ksiądz lub katecheta, nazywając zajęcia „religią bez Boga". To raczej nie jest etyka.

Proszę zobaczyć, co robią konserwatywni ideolodzy, np. pani kolega uniwersytecki Andrzej Nowak. Budują wizję, Senat tę wizję przepycha, a przy okazji, jak się jest przy władzy, łatwiej dobić się o granty. PiS rozumie, że musi mieć swoje kadry. Uczelnia Rydzyka jest za słaba, mimo że dobrze dofinansowana. Przejmują więc kolejno Uniwersytet Pedagogiczny, Akademię Zamojską...

– To, co działo się na Uniwersytecie Pedagogicznym, było haniebne, uderzono w naukowców i naukowczynie, zwalniano z dziwnych, ideologicznych pobudek, niszczono ludzi i kierunki. To, co zrobiono m.in. z prof. Januszem Majcherkiem, jest

Ujarzmienie uczelni jest konieczne, by dalej demontować polską rzeczywistość.

Zaproponowany przez ministra edukacji pakiet wolności dla uczelni jest próbą wyznaczenia standardów pozaakademickich.

eprasa.pl 7de9e900b2

atakiem na naukę i jej autonomię. Niszczenie kadr akademickich, ideologizacja nauki będą oznaczały uwstecznienie naszego kraju. Gdy w Unii Europejskiej mówi się o zielonej energii, polskie władze mówią o węglu, bagatelizują kwestię śladu węglowego. Upierają się także przy hodowlach zwierząt futerkowych. Dla PiS najlepiej byłoby, gdyby naukowczynie i naukowcy wreszcie zamilkli, gdyby aktywistki i aktywiści nie mieli rzeczowych argumentów na temat zanieczyszczenia środowiska, wpływu na globalne ocieplenie hodowli połaciowych.

Państwowej im. Szymona Szymonowica w Zamościu. Jej rektorem został dr hab. Paweł Skrzydlewski, autor wypowiedzi o cnotach niewieścich. Czarnek awansuje przyjaciół, którzy bardziej niż z działalności zawodowej znani są z szerzenia idei zgodnych z jego myśleniem. Skrzydlewski jest profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie, która otrzymała ostatnio wielomilionowe dotacje.

– To typowa metoda działania PiS od 2015 r.: rządzą nami „swoi ludzie", którzy na dodatek mają zdolne dzieci

To, co działo się na Uniwersytecie Pedagogicznym, było haniebne; zwalniano ludzi z dziwnych, ideologicznych pobudek, niszczono kierunki.

Dobrze rządziłoby się narodem, który znałby tylko katechizm, a niewiele wiedział o współczesnych problemach i naukowym obrazie świata. Jeśli w dalszym ciągu będą tak się rozwijały „naukowe" programy rządu, naszemu społeczeństwu zacznie uciekać perspektywa globalna. Nie będzie narzędzia pozwalającego zrozumieć, że globalizacja jest nie pustym pojęciem, którym nas straszą, tylko faktem biologicznym, kulturowym, ekonomicznym, klimatycznym.

Wróćmy do nowej Akademii Zamojskiej, powstałej na bazie Uczelni

i wszechstronnych znajomych. A wracając do uczelni, trwa dekonstrukcja ich autonomii, koniecznej do uprawiania nauki. Jeżeli nauka zacznie być „robiona" na potrzeby władzy, będziemy bezradni wobec świata, socjotechnik, manipulacji. Rządzący robią wszystko, żeby zacierać różnice między nauką a ideologią.

Z naszej rozmowy wynika, że ministrowi Czarnkowi przyświeca szalona wizja: żeby wszystkie uniwersytety były katolickie. Chce stworzyć coś na kształt uniwersytetów narodu polskiego. Nie wychodzi mu jednak siłowe nawracanie na katolicyzm. Europejskie badania na temat zeświecczenia pokazują, że Polska jest liderem.

– To prawda, statystyka jest bezwzględna: coraz mniej uczniów uczęszcza na religię. Jednak jako filozofka kultury nie mogę bagatelizować oddziaływania wzorców kulturowych na nasze życie. Niechęć do ateizmu, chrzciny, komunie, niechęć do osób ze środowisk LGBT, dystans do feminizmu, weganizmu pokazują, że na poziomie mentalności ciągle wielu z nas myśli katolickimi wartościami. Wprawdzie mamy coraz więcej świeckich ceremonii, coraz więcej osób walczy o prawa zwierząt czy o klimat, ale niepokoi nastawienie do uchodźców czy świeckości. To dowód, że wzorce kulturowe związane z myśleniem religijnym ciągle oddziałują na nas i nasze myślenie o świecie i innym człowieku. PiS umacnia etnocentryczne fobie, a drut z żyletkami rozciągnięty na granicy i śmierć uchodźców w lesie to nie tylko nasz wstyd i kryzys humanitarny, to symptomy czegoś o wiele głębszego.

Na koniec smutna refleksja. Polska jest w pierwszej dwudziestce państw świata, jeśli chodzi o PKB, a na szarym końcu, jeśli chodzi o ośrodki akademickie. Minister Czarnek świetnie tym gra: ubyło nam milion studentów, nakłady na uczelnie podniosły się, ale nie ma przełomowych odkryć, patentów.

– Nie będzie ani znaczących badań, ani patentów, jeśli zaledwie 1% PKB jest przeznaczany na naukę. Poza tym młodzi, zdolni ludzie wyjeżdżają z Polski. Dla kobiet, które chcą mieć dzieci, ciąża okazuje się stanem zagrożenia, młodym rodzicom brakuje realnego wsparcia w postaci żłobków, nie ma możliwości przyjścia na uczelnię z dzieckiem. Wzrasta prześladowanie osób ze środowisk LGBT. Do tego nie dba się o ekologię i klimat. W Polsce żyje się coraz smutniej i coraz trudniej. Owszem, dotacje na naukę powinny być większe, ale równie ważne jest zrozumienie młodych ludzi, wyrównanie szans młodych kobiet, feminizacja uczelni, walka z mobbingiem, przemocą seksualną, genderową, walka z depresją klimatyczną młodych. W naszym kraju jednak ciągle różnorodność jest czymś złym.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Fundusz (nie)sprawiedliwości

Pieniędzy dla pokrzywdzonych nie ma. Są za to miliony na fundacje prokościelne i zgodne z linią władzy

Paula Leśniewska

„Sprawiedliwe państwo to takie, które staje w obronie bezbronnych i słabych. Które niesie im skutecznie pomoc, gdy jest ona najbardziej potrzebna. Nie opuszcza ich w dramatycznych momentach, gdy padli ofiarą przestępstwa albo innego nieszczęścia, lecz ich wspiera. Pomagać sprawiedliwie to znaczy przyjąć takie reguły postępowania, które wynikają z poczucia solidarności z ofiarą przestępstwa", napisano górnolotnie na stronie internetowej Funduszu Sprawiedliwości. Rzeczoną sprawiedliwość pomysłów Zbigniewa Ziobry podważają i Naczelna Izba Kontroli, i organizacje pomagające ofiarom przestępstw, i zwykli ludzie. Bo pieniędzy dla pokrzywdzonych nie ma. Są za to miliony wydawane na fundacje prokościelne, „promowanie instytucji małżeństwa" i „badanie prześladowań chrześcijan w Polsce", czyli w praktyce przeglądanie memów z papieżem i czytanie książek. Tak dzisiaj wygląda Fundusz Sprawiedliwości. Według NIK ponad 280 mln zł wydano nieprawidłowo. – W obowiązującym obecnie stanie prawnym, w związku z brakiem legalnej definicji przeciwdziałania przestępczości i przyjętą przez ministra sprawiedliwości bardzo szeroką praktyką interpretowania tego terminu, tak naprawdę z tego funduszu można finansować wszystkie dowolne kategorie zadań – powiedział Paweł Gibuła, doradca ekonomiczny, koordynator kontroli NIK. I rzeczywiście tak się działo.

Według raportu NIK 280 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości wydano nieprawidłowo.

Banaś uderza w Ziobrę

Pokrzywdzeni przez państwo

Z Karoliną spotkałam się późnym wieczorem w jednym z warszawskich parków. Podeszła do mnie szybkim krokiem i już na wstępie rzuciła: – Przepraszam, źle wyglądam, miałam długą zmianę.

Mimo młodego wieku dużo pracuje, żeby się utrzymać. – W życiu spotkało mnie wiele złych rzeczy. Moja mama była chora na schizofrenię, zmarła, jak byłam jeszcze małą dziewczynką. Z domu dziecka adoptowała mnie babcia. Dorastałam z nią i ojcem alkoholikiem. Bardzo ciężko mi o tym mówić – oczy Karoliny są smutne, ale głos nie drży. – On często na mnie wrzeszczał, trudno było skupić się na nauce. Jak byłam w liceum, udało mi się załatwić jego eksmisję z domu. Niedługo później tata zmarł, a w tym roku straciłam też moją ukochaną babcię.

Karolina patrzy na chodnik, po chwili wyznaje, że kilka lat temu została zgwałcona i pobita. Na początku w ogóle nie chciała iść na policję. – Wstydziłam się. Przyjaciółki namówiły mnie i jednak poszłam. Przesłuchiwała mnie okropna kobieta z czerwoną twarzą alkoholiczki. Posypały się pytania: „A po co tam szłaś?", „Jak byłaś ubrana?". I stwierdzenia

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7de9e900b2

typu „Jesteś nieodpowiedzialna, młoda, głupia". Olali mnie i ona, i później prokurator. Nikt nigdy nie zaproponował mi pomocy psychologicznej, a ja po prostu schowałam cały ten wstyd głęboko w sobie. Nie powiedziałam o tym wydarzeniu nawet obecnej terapeutce. Dalej to we mnie siedzi. Smutne jest to, że gdybym nie była sierotą, w ogóle nie dostałabym pomocy, bo nie stać mnie na prywatną terapię – mówi Karolina. Jest jedną z podopiecznych Warszawskiego Centrum Pomocy Rodzinie. I chociaż teraz terapię ma, zwraca uwagę, że na co dzień system pomocy takim osobom jak ona jest słaby. – Brakuje koordynatorów, czyli ludzi, którzy przychodzą do dzieci z domu dziecka albo z rodzin zastępczych i sprawdzają, jak one sobie radzą. Z tego, co widziałam, wiele ma problemy i z edukacją, i z brakiem akceptacji przybranych rodzin. Mój kolega wyjechał kiedyś z miasta uczyć się, a jak wrócił, bo zmarł dziadek, który go adoptował, nie mógł się dostać do mieszkania – rodzina powymieniała zamki w drzwiach. Ja teraz, po śmierci babci, mam ze swoją rodziną podobnie. Obrzucają mnie wyzwiskami, grożą, chcą zabrać mieszkanie. Dlatego obecność koordynatorów jest ważna, a często ich brakuje, bo mają za dużo rodzin na głowie. Ostatnio dowiedziałam się, że w mojej dzielnicy już w ogóle koordynatora nie ma – wzdycha Karolina. O tym, że jest ofiarą przestępstwa, już nikt nie pamięta i nikogo to nie obchodzi. Dziewczyna musi sobie radzić sama.

Szacuje się, że każdego roku 30 tys. Polek zostaje zgwałconych. Tak naprawdę ta liczba jest o wiele wyższa, bo wstyd powstrzymuje jakąś ich część przed pójściem na policję. Publicznie temat nie istnieje. Ofiarom gwałtów pomagają głównie prywatne fundacje, np. Centrum Praw Kobiet. Odkąd u władzy jest PiS, na dofinansowanie rządowe nie mają co liczyć, bo, jak stwierdza założycielka CPK Urszula Nowakowska, „nie są spójni ideologicznie z władzą". A wydaje się, że to jedno z najważniejszych kryteriów przyznawania dotacji z Funduszu Sprawiedliwości.

Odkąd rządzi PiS, Centrum Praw Kobiet na dofinansowanie nie może liczyć. Bo nie jest „spójne ideologicznie z władzą"

Marek Biskupski, prezes zarządu Stowarzyszenia Razem Przeciw Przemocy, zajmującego się ofiarami przemocy w rodzinie: – Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się żadnej pomocy od obecnego rządu. Od 2015 r. „sprawiedliwość" została już tylko w nazwie. Przed rządami PiS dofinansowania państwowe na poszczególne projekty się zdarzały, natomiast od sześciu lat nic takiego nie ma miejsca. Naszego wniosku o dofinansowanie projektu dotyczącego wypoczynku letniego dla dzieci z rodzin zagrożonych wykluczeniem społecznym z powodu skrajnego

Osioł Antoś umrze bez Ciebie!

Antoś ma 5 minut. 5 minut, aby przekonać Cię, że warto podarować mu życie.
Czas start.

Popatrz mu w oczy. Dotknij w wyobraźni mokrych chrap. Posłuchaj bicia serca. To musi wystarczyć.. Antoś nie zrobi przemówienia. Nie zatańczy też, jest zbyt niezdarny. Nie zaśpiewa. No ostatecznie zakwiczy na pół wsi... Antoś jest uparty, nie umie niczego co człowiek uznałby za wartościowe.

Antoś po prostu JEST. Patrzy w obiektyw i pyta, czy pozwolisz mu zobaczyć wschód słońca.

Czy w XXI wieku jesteśmy w stanie uznać to za wystarczający powód, by ktoś żył?

Wielkie uszy, prawie do sufitu. Przerażone spojrzenie, wbity w mokrą posadzkę wzrok. Niewielki, ciemny boks, odcięty od świata. Za oknem siąpi deszcz, stuka rytmicznie o parapet. Antoś kołysze się na boki, nawet nie wie gdzie jest. Kręci się wkoło, staje, patrzy, i wraca na swoje kółko. Nie wie gdzie będzie za moment.

Nikt go o niczym nie informuje. Kto by gadał z osłem.. Gospodarz kupił go jako ozdobę gospodarstwa. Chwilę temu. Ale zmienia wystrój – zmienia więc i osła. Kupił teraz ciemnego, podobno lepiej pasuje do drewnianych ogrodzeń. Nie wiemy. Nie widzieliśmy ogrodzeń...

Antoś nie traci życia, bo gospodarz nie ma pieniędzy. Antoś się znudził. Szybciej niż ktokolwiek by przewidział. Nuda zabija. Już to pewnie nie raz słyszałeś.

Na świecie są 44 mln osłów z uszami do nieba. Szacuje się w ciągu kilku lat ich populacja spadnie o połowę, a pod niebem zrobi się pusto. Osły uśmiercane są nie tylko dla mięsa. Bezcenna jest ich skóra wykorzystywana w biznesie medycznym, w medycynie chińskiej. Na równi zabija się dla obecnej tam substancji osły silne, zdrowe, ale też starsze, chore, małe osiołki i ciężarne oślice. Wszystko co ma uszy pod niebo – umiera.

Wraz z nimi umiera nadzieja, że coś się zmienia.

Pomażesz nam ocalić Antosia? Popatrz mu w oczy. Dotknij w wyobraźni mokrych chrap. Posłuchaj bicia serca.

Słuchaj uważnie. Ono zaraz się zatrzyma, jeśli czegoś nie zrobimy.

Trzeba 4600 zł, aby wykupić i przetransportować Antosia do nas do ośrodka. Czas ucieka, trwa do piątku, 15 października.

Antoś miał 5 minut. 5 minut, aby przekonać Cię ze warto aby jego ośle uszy sięgały nieba, a serce biło do dnia, gdy samo ucichnie. Przekonał Cię?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem ANTOŚ na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **ANTOS** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

FUNDACJA CENTAURUS

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: https://centaurus.org.pl/rklem

eprasa.pl 7de9e900b2

ubóstwa w ogóle nie uwzględniono. Z tego, co widzę, teraz dofinansowanie dostają głównie parafie i organizacje prokościelne. Dla innych, neutralnych światopoglądowo, brakuje pieniędzy. Jeżeli kluczem do przydzielania publicznych pieniędzy jest światopogląd osób, które prowadzą organizacje, to zwykli ludzie cierpią – komentuje Biskupski. – Takie środki powinny być rozdzielane na podstawie bezstronnego przeglądu tego, co organizacje robią dla innych, a nie dla siebie samych. Tymczasem jak patrzę na organizacje, które niedawno dostały pieniądze, to często trudno powiedzieć, co dobrego zrobiły. My od 22 lat pomagamy ofiarom przestępstw i wykluczenia społecznego. Ale pieniądze są przyznawane organizacjom, które powstały niedawno, nikt o nich nie słyszał i w zasadzie nie wiadomo nawet, co robią.

Ofiary wypadków bez wsparcia

Z raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że Fundacja Ex-Bono, założona trzy lata temu w Opolu, otrzymała z Funduszu Sprawiedliwości ok. 10 mln zł, z czego 2 mln zł poszło na koszty administracyjne. Podczas kontroli NIK okazało się, że siedziba fundacji mieści się w prywatnym mieszkaniu, a ludzie, którzy w nim przebywają, nie znają nawet jej nazwy.

– Jeżeli istnieje fundusz, który w założeniu ma pomagać osobom pokrzywdzonym i przeciwdziałać przestępczości, to wydanie pieniędzy na cokolwiek innego jest moim zdaniem niezgodne i z przepisami, i przede wszystkim z kodeksem moralnym – mówi prezes zarządu Fundacji Moc Pomocy, Rafał Mikołajczyk. – My pomagamy osobom, które są ofiarami wypadków, np. komunikacyjnych. Staramy się zgromadzić środki na leczenie, rehabilitację, sprzęt – to nie są tanie rzeczy. Zapewnienie odpowiedniej i szybkiej pomocy medycznej mogłoby pozwolić pokrzywdzonym w wypadkach wrócić do normalnego funkcjonowania. Tymczasem osoba po wypadku jest natychmiast wypisywana ze szpitala, a na refundowaną rehabilitację może czekać miesiącami. Wiele osób odkłada każdy grosz na prywatną rehabilitację, nie jest to w żaden sposób dofinansowywane. Wsparcie, które oferuje Narodowy Fundusz Zdrowia, nie wystarcza. Nie spotkałem żadnej osoby pokrzywdzonej, która pozytywnie oceniłaby pomoc państwa podczas powrotu do zdrowia. Nasi podopieczni to osoby, które nagle uległy wypadkowi i muszą zmienić całe swoje życie, trudno poradzić sobie z tym samemu.

– Pieniędzy brakuje i na terapie, i na edukację – dodaje Marek Biskupski. – Dobrym przykładem są letnie i zimowe obozy dla dzieci. Kiedyś były przeznaczone dla dzieci zagrożonych wykluczeniem społecznym, głównie z powodu skrajnego ubóstwa. Teraz, z uwagi na to, że mamy ograniczone środki, tylko część podopiecznych, która z nami jeździ, jest zagrożona wykluczeniem społecznym. Dołączyły do nich dzieci, których rodzice po prostu nie mogą sobie pozwolić na drogie wyjazdy, ale mogą dopłacić cokolwiek.

Tymczasem raport NIK pokazuje, że prokościelna Fundacja Mamy i Taty otrzymała 1,5 mln zł dotacji. Sam spot reklamujący małżeństwo kosztował 900 tys. zł. Jeszcze większe pieniądze (2,5 mln zł) przeznaczono na „badanie prześladowań chrześcijan w Polsce", czyli monitorowanie sposobu ukazywania chrześcijan m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Newsweeku" i na portalu Onet. Analizowano pod tym kątem też memy i utwory Andrzeja Sapkowskiego, Stephena Kinga oraz Dana Browna.

As w rękawie

Ministerstwo Sprawiedliwości robi, co może, żeby nie podać informacji, na co, komu i ile pieniędzy przyznało z Funduszu Sprawiedliwości. Do tej pory NIK zbadała tylko 35 umów o łącznej wartości 136 mln zł, czyli równowartość 20% udzielonych dotacji. Co z resztą funduszu, nie wiadomo. W sierpniu Fundacja Wolności zapytała Ministerstwo Sprawiedliwości, jakie organizacje z województwa lubelskiego otrzymały dotacje, na co poszły te pieniądze i jak wysokie są to kwoty. Odpowiedź przyszła po dwóch miesiącach. Na liście znalazło się m.in. Katolickie Stowarzyszenie Pomocy Osobom Potrzebującym Agape, Stowarzyszenie Postis, Caritas Diecezji Siedleckiej i Stowarzyszenie Solidarności Globalnej. Kwot i przeznaczenia pieniędzy nie podano, bo, jak tłumaczy ministerstwo, „to sprawy prywatne".

– Nasze doświadczenia z Funduszem Sprawiedliwości są różne – tłumaczy Monika Sajkowska, prezeska zarządu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. – Dostaliśmy z tego źródła dotację, dzięki której prowadzimy działania edukacyjne z obszaru przeciwdziałania przemocy adresowane do profesjonalistów. Organizujemy m.in. ogólnopolską konferencję „Pomoc dzieciom pokrzywdzonym przestępstwem" i wydajemy kwartalnik „Dziecko Krzywdzone". Natomiast nasze wnioski o dotacje na pomoc krzywdzonym dzieciom uczestniczącym w procedurach karnych zawsze kończyły się niepowodzeniem. Prowadzimy centra pomocy dzieciom, czyli placówki świadczące kompleksową, specjalistyczną pomoc dzieciom po traumie wykorzystywania seksualnego i przemocy oraz ich opiekunom. Zapewniamy im tam pomoc psychologiczną, psychiatryczną i prawną. Najpierw odrzucono nasz wniosek, argumentując decyzję tym, że nie świadczymy pomocy wszystkim pokrzywdzonym, tylko dzieciom i młodzieży. Jakiś czas później złożyliśmy wniosek o dofinansowanie w konkursie, który dotyczył właśnie pomocy pokrzywdzonym dzieciom, i chociaż jesteśmy liderami takiej pomocy w Polsce, również nie dostaliśmy dotacji. 43 mln dostała natomiast kościelna Fundacja Profeto, która nie miała doświadczenia w pomaganiu, a wnioskowała o fundusze na zbudowanie centrum medialnego. Trudno zrozumieć taką decyzję.

Fundacja Profeto miała jednak asa w rękawie – księdza jako lidera. Tyle wystarczyło, żeby zdobyć pieniądze.

Wnioski o dotacje na pomoc krzywdzonym dzieciom uczestniczącym w procedurach karnych zawsze kończyły się niepowodzeniem.

Paula Leśniewska
p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Mafia Babiša i Jourovej doi Polaków!

Rządzący podgrzewają atmosferę wokół Turowa, a w Bogatyni i okolicach lepiej się nie przyznawać, że jest się Czechem

Marek Czarkowski

– Dzień po ogłoszeniu decyzji pani sędzi de Lapuerty pojawiła się oferta kupna węgla dla elektrowni Turów z Czech – oświadczył podczas Kongresu 590 w Warszawie prezes Polskiej Grupy Energetycznej Wojciech Dąbrowski. I dodał: – Pamiętajmy więc, że to wszystko jest gra polityczna!

Nie wiemy, na ile poważna i prawdziwa była ta propozycja. Węgiel brunatny z Czech musiałby być transportowany koleją, co ze względu na koszty czyniłoby produkcję energii w Turowie nieopłacalną. Albo należałoby wybudować przeszło 100-kilometrowy taśmociąg łączący elektrownię z najbliższą czeską kopalnią Bilina, co byłoby jeszcze bardziej absurdalne. Za to swoją wypowiedzią prezes PGE idealnie wpisał się w narrację rządu i TVP Info, że wszystko, co dzieje się wokół Turowa, to czesko-niemiecko-rosyjsko-brukselski spisek.

Prezes Wojciech Dąbrowski wpisał się w narrację rządu i TVP Info, że wszystko, co dzieje się wokół Turowa, to czesko-niemiecko-rosyjsko-brukselski spisek.

Dąbrowski to były wojewoda mazowiecki, który w 2007 r. piastował swój urząd przez rekordowe dwie niedziele. Został odwołany po opisaniu przez tygodnik „Wprost" historii ukarania go przez sąd za jazdę rowerem pod wpływem. Podobno miał we krwi 0,75 promila alkoholu.

Fotel prezesa Polskiej Grupy Energetycznej objął w lutym br. Wcześniej, od stycznia 2016 r., był prezesem zarządu spółki PGNiG Termika, a w listopadzie 2017 r. został prezesem zarządu PGE Energia Ciepła SA. Wśród pracowników ma opinię człowieka reprezentującego interesy branży gazowej. PGE, która nad Wisłą produkuje 40% energii elektrycznej, to głównie elektrownie opalane węglem brunatnym i kamiennym, takie jak Turów, Bełchatów, Dolna Odra, Opole i elektrociepłownie Kraków czy Pomorzany. Załoga obawia się szybkiego skrętu firmy w stronę gazu ziemnego i odnawialnych źródeł energii. Zdaniem pracowników zmiany są konieczne, ale nie powinny być gwałtowne. A dotychczasowe doświadczenia w reformowaniu czegokolwiek nad Wisłą dowodzą, że będzie odwrotnie.

Pracownicy kopalni i elektrowni Turów obawiają się też, czy rząd nie ugnie się przed wyrokiem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Nie chcą słyszeć, by strona polska cokolwiek płaciła Czechom. Są przekonani, że jak przegramy w TSUE, to za wszystko zapłaci Polska Grupa Energetyczna, czyli oni. A na to nie ma zgody.

Czechów nie obsługujemy

Zarząd TVP i dziennikarze programów informacyjnych TVP Info mogą być dumni. Dziś w Bogatyni i okolicach lepiej się nie przyznawać, że jest się Czechem. Większość mieszkańców jest przekonana, że kłopoty kopalni i elektrowni to robota chciwych „Pepików", którzy z pomocą Niemców i Brukseli chcą oskubać szlachetnych Polaków. Poparcie dla PiS i rządu wzrosło.

Pod koniec września, gdy zapadła decyzja, że nasz kraj ma płacić 500 tys. euro dziennie za niewykonanie decyzji w sprawie kopalni Turów, na drzwiach kilku lokali i sklepów w Bogatyni pojawiły się wywieszki z napisem: „Czechów nie obsługujemy". Co natychmiast zostało opisane przez gazety w Pradze i Warszawie.

Plotki głoszą, że gdy po naszej stronie na parkingu niedaleko granicy przypadkiem zatrzymały się dwa autokary – czeski i nasz – by uniknąć starcia między pasażerami, czeski kierowca musiał ostro dodać gazu i tyle go widziano. Moi rozmówcy z Bogatyni są pewni, że jest tylko

eprasa.pl 7de9e900b2

kwestią czasu, kiedy jakiś Czech zostanie pobity przez lokalnych patriotów. Za kopalnię, elektrownię, premiera Babiša i TSUE.

W przeszłości relacje polsko-czeskie na szczeblu lokalnym były niezłe. Południowi sąsiedzi przyjeżdżali tłumnie na zakupy, bo u nas było taniej, a mieszkańcy Bogatyni znajdowali zajęcie w Czechach. To się skończyło. Rodzącą się nienawiścią wobec sąsiadów przerażeni są nieliczni rodacy. Poglądy większości mieszkańców Bogatyni są zbliżone do „przekazów dnia", serwowanych w sprawie Turowa przez polityków PiS i media publiczne.

Dlatego mało kto słyszał, że w toczących się od 2016 r. rozmowach na temat przyszłości kopalni strona polska popełniła wiele błędów, które Praga wykorzystała. Nasi przedstawiciele resortów klimatu i środowiska oraz spraw międzynarodowych, delikatnie mówiąc, uprawiali spychotechnikę, zrzucając z siebie odpowiedzialność, i *de facto* nie byli w stanie podjąć żadnej decyzji. Spór można było dawno zażegnać, należało tylko podejść do negocjacji z Czechami poważnie. Dziś liczą się jedynie emocje.

Oto pierwsze z brzegu, wcale nie najbardziej skrajne opinie, dostępne na lokalnych forach internetowych w Bogatyni (pisownia oryginalna): „Czeska mafia Babisza i Jurovej w tym TSUE i UE chce nas wydoić. Przecież w tym rejonie pracuje pięć czeskich i cztery niemieckie kopalnie i wszystkie należą do Babisza". „Babicz zamiast budować wodociągi dla ludzi, transferował kasę unijną do własnych firm, a chcąc wybrnąć z sytuacji zwala winę na Turów. Czeska strona powinna być ukarana przez TSUE za niezapewnienie swoim obywatelom podstawowych warunków bytowania. To wstyd i chańba dla rządu Czech". „Niemcy będą produkowały pachnący prąd z putinowskiego gazu i organizują odbiorców. »Cześki« będą tańczyć, jak im w Berlinie zagrają, a może wtedy coś im ze stołu spadnie".

Trudno się dziwić autorom tych wpisów, gdy władza, zamiast tłumaczyć, że nasi południowi sąsiedzi nigdy nie domagali się zamknięcia kopalni i elektrowni, chcieli jedynie finansowej rekompensaty za wywołane przez stronę polską szkody, dolewa oliwy do ognia. I buduje narrację w stylu: nie będą Czech z Niemcem i Rusem pluli nam w twarz, nie oddamy ani guzika, a TSUE i sędzia de Lapuerta niech spadają.

Wielu obawia się, że region może podzielić los Wałbrzycha i Nowej Rudy, które w latach 90., gdy zamknięto kopalnie, stoczyły się na dno.

Jest tylko kwestią czasu, kiedy w Bogatyni jakiś Czech zostanie pobity przez lokalnych patriotów.

Mieszkańcy Bogatyni wiedzą, że pewnego dnia wydobycie węgla brunatnego przestanie być opłacalne i przyjdzie się pożegnać z odkrywką, a elektrownię przystosować do innego paliwa. Wiedzą też, że rząd i władze Polskiej Grupy Energetycznej nie mają dziś żadnej wizji przyszłości. Tyle że za ten stan winią nie ich, ale naszych południowych sąsiadów.

Węgiel jednak się opłaca

Ludzie w Bogatyni mogą mimo wszystko spać spokojnie, ich zakłady pracy nie zostaną zamknięte w najbliższej przyszłości. A gdyby rząd polski zachowywał się rozsądnie i korzystał z usług dobrych prawników, nie trzeba byłoby obawiać się kar finansowych.

Rok temu, w szczycie pandemii, sytuacja była bez porównania gorsza. Ceny węgla kamiennego, ropy naftowej i gazu ziemnego szorowały po dnie. Polskie kopalnie notowały gigantyczne straty. Na skutek lockdownu znacząco spadło zapotrzebowanie na energię elektryczną, a to oznaczało niskie ceny prądu. Nie tylko u nas, także w Azji, Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Dziś gospodarka światowa wraca do formy. Szybko rośnie zapotrzebowanie na prąd, a więc i ceny surowców energetycznych pną się w górę.

W ostatnich miesiącach na warszawskiej Towarowej Giełdzie Energii ceny prądu biją kolejne rekordy. W wrześniu był on o 90% droższy niż przed rokiem. A w stosunku do kwietnia 2020 r. zdrożał o ponad 300%. Dla wszystkich odbiorców – indywidualnych oraz tych z przemysłu i samorządów – oznacza to dużą podwyżkę rachunków w przyszłym roku. A jeśli nadchodząca zima na półkuli północnej będzie ostra, przed czym ostrzegają amerykańscy synoptycy, nikt nie będzie w stanie przewidzieć, jak bardzo prąd zdrożeje.

Od dawna wiadomo, że w surowych warunkach najlepiej sprawdzają się elektrownie węglowe. Ostatniej zimy w Szwecji, Wielkiej Brytanii i w Teksasie wyszło na jaw, że przy załamaniu się pogody instalacje OZE nie działają tak sprawnie, jak powinny. Zawiodła też dystrybucja energii elektrycznej. I o ile Szwedzi i Brytyjczycy poradzili sobie, kupując prąd od sąsiadów, o tyle dla Teksasu było to dramatyczne doświadczenie. Ten stan nie jest połączony z infrastrukturą energetyczną USA i musiał radzić sobie sam. Zdumieni Amerykanie oglądali na ekranach telewizorów, jak pacjenci w szpitalach dosłownie zamarzają w łóżkach.

Eksperci musieli przyznać, że na obecnym etapie rozwoju technologii odnawialne źródła energii nie są w stanie zagwarantować dostaw w sytuacji załamania się pogody. By ustabilizować wzrost zapotrzebowania na prąd i zabezpieczyć dostawy, potrzebne są także tradycyjne elektrownie.

Niemcy bez rozgłosu zaczęli ostatnio przywracać do użytku kilka swoich starych elektrowni węglowych i nie śpieszą się z zamykaniem elektrowni na węgiel brunatny.

W efekcie Niemcy bez rozgłosu zaczęli ostatnio przywracać do użytku kilka swoich starych elektrowni węglowych i nie śpieszą się z zamykaniem elektrowni na węgiel brunatny. W ostatnich dniach pojawiły się dwie ciekawe informacje. Pierwsza mówiła o tym, że Niemcy chcą kupować węgiel kamienny z kopalni Bogdanka na Lubelszczyźnie. Druga,

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl 7de9e900b2

że z powodu braku tego surowca w Nadrenii Północnej-Westfalii do 4 października trzeba było zamknąć elektrownię Bergkamen A.

6 października br. cena tony węgla w Rotterdamie wyniosła 274,5 dol., a zimowy sezon grzewczy jeszcze się nie zaczął. Rok temu za tonę trzeba było zapłacić 54-55 dol.

Nie zdziwię się, jeśli nowy rząd w Berlinie zechce zrewidować decyzję z roku 2011 o zamknięciu wszystkich elektrowni jądrowych. Nawet naszych bogatych zachodnich sąsiadów nie stać na opłacanie rekordowo wysokich rachunków za prąd. Zwłaszcza gdy ceny gazu ziemnego, w którym pokładali wielkie nadzieje na produkcję „czystej energii", stały się absurdalnie wysokie. Na początku roku za 1 tys. m sześc. tego surowca trzeba było zapłacić ok. 300 dol. Ostatnio już 2 tys. dol.!

Pięć państw Unii Europejskiej – Czechy, Francja, Rumunia, Hiszpania i Grecja – wystąpiło do Komisji Europejskiej o zbadanie, czy nie doszło do spekulacji cenami gazu ziemnego. Polski rząd popiera takie kroki, gdyż głównym podejrzanym spekulantem jest Gazprom. To żadna tajemnica, że magazyny gazu w Europie Zachodniej nie są tak zapełnione, jak być powinny o tej porze roku. Rosja zmniejszyła dostawy, chcąc wywrzeć nacisk na wydanie ostatecznych pozwoleń na uruchomienie gazociągu Nord Stream 2, a Brazylia wykupiła znaczną część amerykańskiego gazu przeznaczonego na eksport, więc Paryż, Madryt, Ateny i Bruksela znalazły się w trudniej sytuacji.

Polska na tym tle wygląda lepiej. We wrześniu nasze magazyny gazu ziemnego były wypełnione w 90%. Gdy dodamy do tego możliwości produkcyjne naszych elektrowni węglowych, okaże się, że nawet przy utrzymujących się tygodniami temperaturach minus 20 st. C powinniśmy sobie poradzić.

To nie koniec. W Niemczech, Szwecji i Francji ceny energii elektrycznej osiągnęły w ostatnich miesiącach historyczne maksima. Co oznacza, że eksport energii elektrycznej z Polski stał się nadzwyczaj opłacalny. A zimą będzie można na nim zarobić jeszcze więcej! Według wstępnych danych Polskich Sieci Elektroenergetycznych w ubiegłym miesiącu wyeksportowaliśmy netto 825 GWh i był to najlepszy od 15 lat wynik. Kto w tej sytuacji będzie zamykał nad Wisłą elektrownie? Przeciwnie! Rząd i władze spółek energetycznych zrobią wszystko, by te działające były w jak najlepszej kondycji. Także elektrownia Turów.

Co dalej?

Nic. Spór między Polską a Czechami będzie się toczył swoim tempem. W ostatnich tygodniach nasi negocjatorzy usztywnili stanowisko i nie mają zamiaru ustępować Pradze. Jak powiedział minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka, „położyliśmy na stole bardzo dobrą propozycję zamknięcia tego procesu". Nieoficjalnie mówi się, że mogło chodzić o 40-50 mln euro na budowę wodociągów dla mieszkańców kraju libereckiego i inne inwestycje, plus uzgodnienia dotyczące kontroli środowiska wokół kopalni.

Czesi odmówili, bo na początku tego roku chcieli 60 mln euro, poza tym zbliżały się wybory, więc rozmowy zakończyły się fiaskiem. Nasz rząd ma nadzieję, że za jakiś czas Praga wróci jednak do stołu rozmów i wtedy się dogadamy.

Możliwy jest też inny wariant. Decyzję podejmie Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Co ciekawe, może być ona bardziej korzystna dla Warszawy, niż się wydaje. Nie wiem, kto reprezentuje Polskę przed TSUE, ale musiał on w politykach PiS rozbudzić nadzieje na sukces, przypominając historię sprzed kilku lat, gdy belgijscy aktywiści chcieli wstrzymania pracy dwóch elektrowni atomowych w tym kraju, dowodząc, że wydana zgoda na przedłużenie ich działalności naruszała unijną dyrektywę środowiskową. Trybunał doszedł wtedy do wniosku, że ponieważ istnieje poważne zagrożenie przerwania dostaw energii elektrycznej w Belgii, a nie można temu zapobiec innymi środkami, należy wniosek ekologów odrzucić.

Najwyraźniej polski rząd także liczy, że przekona sędziów, iż zamknięcie Kopalni Węgla Brunatnego Turów i elektrowni wywoła katastrofalne konsekwencje. No i w czym mieszkańcy Bogatyni są gorsi od mieszkańców Brukseli?

Do wydania wyroku, co może nastąpić wiosną 2022 r., media publiczne z TVP Info na czele będą grzały temat, sławiąc premiera Morawieckiego i ministra Sasina. Gromiąc sędziów TSUE, brukselskie elity, Niemców, Rosjan i „Pepików", którzy gwałcą naszą odkrywkową suwerenność. A gdy kurz opadnie i z czasem wszystko wróci do normy, zostanie niesmak po wywieszkach „Czechów nie obsługujemy".

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Z Galicji

Jan Widacki

Duszy polskiej stan nienadzwyczajny

W czasach kryzysów okazuje się, jacy naprawdę jesteśmy. Kryzys na białoruskiej granicy, stan wyjątkowy, jego przedłużenie i tocząca się wokół tego debata są dla nas trudnym egzaminem. Jest nim w szczególności nasza postawa wobec nieszczęsnych uchodźców, oszukanych przez Łukaszenkę i wypchniętych na polską granicę. O postawach rządzących nie mówię. Obrzydliwa konferencja prasowa konstytucyjnych ministrów, z których jeden jest głupcem, drugi psychopatą, a obaj są ksenofobami, nie zasługuje nawet na omówienie. Jako obywatelowi tego państwa jest mi za tych ministrów po prostu wstyd.

Kiedy zastraszone, sponiewierane dzieci Straż Graniczna „zgodnie z procedurami" (nawiasem mówiąc, też nieprawda, bo wbrew obowiązującym procedurom) odprowadzała do lasu, pan prezydent z małżonką, też w lesie, karmili, ale nie głodne dzieci, tylko jelonki, co – jak pokazała rządowa TVP – sprawiało prezydenckiej parze widoczną przyjemność. Najwyraźniej do Pałacu Prezydenckiego, pod żyrandole, dotarła wiadomość, że kogoś w lesie trzeba nakarmić, i pani prezydentowa myślała, że zwierzynę płową. Obrzydliwość! Nawet komentować to trudno!

PiS znakomicie opanowało sztukę budzenia społecznych lęków i późniejszego nimi administrowania. Opanowało też do perfekcji sztukę budzenia najciemniejszych stron polskiej duszy, upiorów ksenofobii, nacjonalizmu, antysemityzmu. Umie przymilać się do „ciemnego ludu", którym w gruncie rzeczy gardzi (pamiętne „spieprzaj, dziadu!"), wychwalać jego wady i braki, udawać, że widzi w nim cnoty i zalety. Potrafi rozbudzać najtandetniejszą formę patriotyzmu, ograniczonego do pustej manifestacji i ryczenia niby-patriotycznych haseł, dowartościowywania swoich wad i utwierdzania przekonania o rzekomej wyższości nad innymi. Wyższości tym chętniej i głośniej manifestowanej, im kompleks niższości jest silniejszy. Wszystko to najczęściej sprowadza się do pogardy dla obcych („czarnuchów, „ciapatych", „żydów") czy innych („pedałów", „lesb"). Źródłem nieustannej frustracji narodowej zdaje się także to, że „prawdziwy Polak" gardzi Wschodem, a podświadomie czuje, że do tego Wschodu sam kulturowo i duchowo należy, więc wychodzi na to, że gardzi sam sobą. Jak tu się nie frustrować? Jak tej nagromadzonej frustracji nie wyładować? Na kim? Na słabszym, na tym, kto pod ręką.

Oczywiście Łukaszenka prowadzi z nami i całą Unią Europejską swoistą wojnę. Przywozi i podrzuca nam uchodźców. Robi to nie z szaleństwa, ale w konkretnym celu. Sankcje nałożone na jego reżim przez Zachód są dotkliwe. Zachód nie chce z nim rozmawiać i, szczerze mówiąc, nie musiał, nie bardzo miał o czym. Białoruś Zachodowi do niczego nie jest potrzebna. Łukaszenka jednak chce coś z Zachodem ugrać. Chce poluzowania sankcji. Operacja z uchodźcami w jego zamyśle ma zmusić Zachód do rozmów i dobicia targu. Poluzujcie albo najlepiej znieście sankcje, to ja przestanę wam podsyłać uchodźców. To nic nowego. Taką kartę przetargową w rozmowach z Zachodem wymyślił nie kto inny jak idol PiS Erdoğan. I dobrze na tym wyszedł. Łukaszenka chciałby uzyskać podobny efekt. Chodzi mu o sankcje nałożone przez Unię Europejską, nie przez samą Polskę. Rozwiązanie problemu granicy wymaga więc solidarnego działania całej Unii. Tymczasem my, skłóceni z całą Unią (poza Węgrami), obrażeni na USA, jesteśmy w tej hybrydowej wojnie samotni. Miotamy się, robiąc coraz więcej głupstw, coraz częściej łamiąc prawo europejskie i nasze własne. Łamiąc elementarne prawa człowieka biednych, oszukanych przez Białoruś ludzi.

Nie wiem, jak czują się funkcjonariusze Straży Granicznej odprowadzający małe dzieci do lasu. Szczerze im współczuję. Jak zawsze w takiej sytuacji bywa, niektórzy zapewne przeżywają konflikt sumienia, część będzie go później topić w wódce. Część ulegnie demoralizacji, uodporni się na widok ludzkiej krzywdy i cierpienia, a nawet nie będzie miała problemu z ich zadawaniem. Ich też mi żal. „Inni szatani byli tam czynni, O! rękę karaj, nie ślepy miecz!", śpiewano w „Chorale".

Opozycja niby protestuje, ale – może poza Lewicą – nie za mocno, bo widzi, że elektoratowi podoba się „twarda obrona polskiej granicy". Kościół milczy. Biskupi mają inne problemy, dużo ważniejsze niż budzenie chrześcijańskich postaw swoich owieczek. Środowiska akademickie i prawnicze protestują słabo i cichutko. Protestują też intelektualiści, śląc list do premiera. Pisowski intelektualista prof. Legutko widzi w tym narodową zdradę. „Z książek mądry, z głowy głupi", mawiali – jakby o nim – Rzymianie.

Ludność miejscowa jest podzielona. Jedni starają się zabłąkanym, głodnym, przemarzniętym uchodźcom pomóc, drudzy polują na nich po lasach, by wydawać ich w ręce Straży Granicznej. Być może jak kiedyś ich przodkowie polowali na ukrywających się Żydów… Nie brakuje jednak naprawdę heroicznych postaw wolontariuszy, działających spontanicznie lub w ramach organizacji pozarządowych.

Mamy zarówno współczesnych sprawiedliwych wśród narodów świata, jak i odpowiedniki niegdysiejszych szmalcowników. Taka jest dzisiaj Polska i taki nienadzwyczajny stan duszy polskiej. Ale takich Polaków wychowaliśmy. Do roku 2015, kiedy PiS sięgnęło po władzę, mieliśmy 25 lat. Czy nie zmarnowaliśmy tego czasu? Czy ktoś czuje się za to odpowiedzialny?

PS Propaganda rządowa donosi, że koczującym na granicy w Usnarzu strona białoruska dostarcza drewno na opał i żywność. Jeśli ministrowie Błaszczak z Kamińskim zdecydują się przez kilka tygodni spać na gołej ziemi w lesie, na kilkudziesięciu metrach kwadratowych, zobowiązuję się osobiście podrzucać im drewno na ognisko i racje żywnościowe. Nawet dorzucę śpiewniki patriotyczne.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Nie ma edukacji seksualnej. Jest porno i seks w necie

Dorosłym trudno zrozumieć, jak duża część życia nastolatków toczy się w internecie: tam się poznają, dojrzewają, chodzą na randki i uprawiają seks

Rozmawia Anna Stachowiak

Dzieci i młodzież czerpią wiedzę o seksie głównie z internetu, wynika z badań prowadzonych m.in. na Uniwersytecie SWPS. A jeśli internet, to i pornografia. To szkodzi czy pomaga?

– To, że młode osoby najczęściej uczą się o seksualności z internetu, powtarza się w badaniach na całym świecie. Pierwsze miejsca wymiennie zajmują internet i rówieśnicy. W internecie jest wszystko, nie tylko pornografia. Są tam i treści wartościowe – np. portale edukacyjne, takie jak SEXED.PL – ale i strony, czaty, fora, grupy, do których każdy może wrzucić wszystko i nie jest to weryfikowane. Osoba dorastająca odcięta od innych źródeł wiedzy, a szczególnie osoba przestraszona jakimś tematem, jest bardzo wrażliwa na treści. Wtedy trudniej o użycie krytycznego filtra, co jest rzetelne, a co nie. Ci dojrzewający ludzie – choć dorośli też – potrzebują nauczyć się weryfikowania treści. A to, że rozmawiają o seksualności z osobami w ich wieku, jest wartościowe, bo sprawia, że czują się mniej wyobcowani i samotni w dojrzewaniu. Wciąż jednak potrzebują wsparcia dorosłych.

Nastolatki i osoby dojrzewające to młode osoby w wieku 10+?

– Choć czasem dojrzewanie może się zacząć trochę wcześniej, to mówimy raczej o osobach od 11-12 lat w górę.

Co się dzieje w głowie takiej młodziutkiej osoby, kiedy trafia na porno?

– Pornografia nie jest nowym zjawiskiem. Istnieje wiele jej rodzajów, także takie, które można wykorzystywać w pomocy terapeutycznej, ale mówimy tu o osobach dorosłych, które świadomie wybierają konkretne treści i wiedzą, że to rodzaj fikcji. To zupełnie inna sytuacja niż kontakt nastolatka z porno. A bardzo młodzi ludzie często nawet przez przypadek, używając internetu, stykają się z treściami pornograficznymi. Istnieje też zjawisko wysyłania znajomym pornografii „dla żartu". Niewiele osób wie, że rozsyłanie takich treści bez zgody jest rodzajem przemocy seksualnej. Niestety, często są to obrazy bardzo nietypowe, drastyczne, pokazujące stereotypowe role kobiet i mężczyzn oraz przemoc.

BARBARA BARAN
– psycholożka i seksuolożka z Fundacji SEXED.PL

Z moich rozmów z nastolatkami wynika, że najczęściej chcą po prostu dowiedzieć się czegoś o seksie i nie mają kogo o to zapytać. Szukają informacji w internecie i wtedy może wyskoczyć porno. Wówczas, gdy nie mają innego źródła informacji, odnoszą wrażenie, że taki właśnie jest seks, tak wyglądają intymne relacje. Sprzyjamy tej sytuacji, gdy odcinamy im dostęp do rzetelnej edukacji seksualnej i rozmowy.

Jakie mogą być skutki?

– Gdy dziecko ma kontakt z pornografią, może mieć takie same objawy jak po wykorzystaniu seksualnym. Bo to też jest rodzaj drastycznego naruszenia granic. Co robić, jeśli moje dziecko zobaczyło porno? Porozmawiać, sprawdzić, co przeżywa, wytłumaczyć, trzymając się możliwości rozumienia dziecka, a jeśli obawiamy się dalszych skutków – skorzystać z porady osoby zajmującej się psychologią dzieci.

Trudno się dorasta w kraju, w którym masturbacja jest grzechem. Ale my, rodzice, także mamy blokady. Nie umiemy rozmawiać z dziećmi?

– U nas też w szkole była słaba edukacja seksualna, więc niby skąd mamy mieć pojęcie, jak rozmawiać z naszymi dziećmi, choć i tak my – pokolenie 30- i 40-latków – mieliśmy w latach 80. i 90. zajęcia, z których część z nas mogła się czegoś dowiedzieć. Teraz edukacja nie istnieje, a treści o seksualności przekazywane nastolatkom są poddane obróbce ideologicznej. Nastolatki są dziś w gorszej sytuacji niż my. Może kogoś przestraszę, a może zmotywuję.

FOT. MATERAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7de9e900b2

Wobec tego jak mądrze rozmawiać z dziećmi, również maluchami, żeby je wspierać? Żeby czegoś nie przegapić?

– Seksualność to cecha, z którą się rodzimy. Rozwija się z nami od samego początku, dlatego nie ma jednego wieku, kiedy nagle – bach! – zaczyna się i warto zacząć rozmawiać. Seksualność rozwija się wraz z dzieckiem i dlatego dobrze jest myśleć o tym oraz pamiętać przez cały rozwój dziecka. Używam słowa seksualność specjalnie, bo edukacji seksualnej zarzuca się często, że chodzi w niej tylko o seks. To nieprawda. Ludzka seksualność to nie tylko seks, a już na pewno nie tylko penetracja. Opisuje, co to znaczy mieć płeć, ciało, które ma miejsca bardziej wrażliwe, co to znaczy dojrzewać, rosnąć, mieć jakąś rolę w rodzinie, być w bliskich relacjach, kochać, dbać o siebie i innych. To wszystko wiąże się z seksualnością – i małe dziecko od początku tego się uczy i to przeżywa.

Ale rodziców straszy się „nauką masturbacji dla czterolatków".

– Masturbacja dziecięca jest powszechna i naturalna. Dzieci dotykają swoich genitaliów z różnych powodów: najczęściej jest to ciekawość, bo przecież poznaje się świat i własne ciało. Dotykanie genitaliów jest dla dziecka też po prostu przyjemne. Nie przebiega wtedy pełna reakcja seksualna jak u osoby dorosłej podczas masturbacji, bo choć genitalia dziecka już są bardziej wrażliwe niż reszta ciała, to nie są jeszcze wytwarzane wszystkie hormony płciowe jak u osoby dorosłej. Nasze dziecko więc nie uprawia seksu, tylko poznaje swoje ciało i miejsca, które dają przyjemne doznania.

Jakiego języka używać? Mówić penis czy ptaszek? Cipka czy muszelka?

– To pytanie często się pojawia, bo rodzice czują się zdezorientowani. Mamy pewien zasób słów, które są medyczne, neutralne, powszechnie zrozumiałe, jeśli rodzice chcą ich używać i swobodnie z tym się czują, wspaniale. To ważne, żeby dziecko znało poprawne nazwy. Ale jeśli komuś nie przechodzi przez gardło słowo penis czy łechtaczka, to nie ma sensu się zmuszać. Można używać zdrobnień. W edukacji seksualnej prowadzonej przez rodziców w domu ważne jest zachowanie autentyczności i nieuciekanie od rozmowy, bo dziecko wyczuwa stres rodzica i jego dyskomfort, który potem może kojarzyć z tą sferą. Doradzałabym rodzicom używanie takich słów, z którymi czują się swobodnie, ale niech nie pomijają tych tematów.

Przekazywane nastolatkom treści na temat seksualności są poddane obróbce ideologicznej.

Jaki jest średni wiek inicjacji seksualnej w Polsce? I jak Polska wypada na tle innych krajów?

– Ze statystyk wiemy, że średni wiek, kiedy polskie nastolatki decydują się na aktywność seksualną, to mniej więcej 18-19 lat. Znam wiele osób, które zaczynają dużo później, są i takie, które zaczynają być aktywne wcześniej. Te statystyki są orientacyjne, bo hasło „inicjacja" miewa różne znaczenia. Gdy pytamy ludzi, co w swoim życiu pamiętają jako pierwszy raz, okazuje się, że nazywają tak różne intymne sytuacje. Można usłyszeć z ust polityków, że edukacja seksualna miałaby doprowadzać do bardzo wczesnych inicjacji, ale to nieprawda. Możemy zaobserwować, co działo się w innych krajach po wprowadzeniu kompleksowej edukacji seksualnej. Na przykładzie chociażby USA i Wielkiej Brytanii wiemy, że spadła liczba bardzo wczesnych inicjacji. W Wielkiej Brytanii dzięki szerokiemu programowi prozdrowotnemu, którego elementem była powszechna edukacja seksualna, udało się osiągnąć największy w historii tego kraju spadek liczby ciąż u osób poniżej 18. roku życia. Badania pokazują poza tym, że w grupach, które mają takie zajęcia, rzadziej dochodzi do przemocy seksualnej. Młode osoby dowiadują się, jak działa seksualność, jak nie przekraczać granic swoich i innych, jak bezpiecznie budować relacje.

Ludzka seksualność nie sprowadza się do seksu. Opisuje, co to znaczy mieć ciało, płeć.

Jeśli do matki – albo ojca, choć zakładam, że to rzadsze – przychodzi dziecko w wieku 15 lat i mówi: mamo, chciał(a)bym zacząć uprawiać seks, co zrobić? Odradzać? Zabrać do ginekologa? Do psychologa?

– Rodzicowi, który ma taki kontakt z dzieckiem, przede wszystkim bym pogratulowała, bo takie sytuacje praktycznie się nie zdarzają. Jeśli dziecko na tyle ufa rodzicom i z nimi rozmawia, to fantastycznie. Częściej jednak słyszę, że to się nie zdarza, bo dziecko chce tej rozmowy, ale rodzic unika tematu albo karze. Byłoby dobrze, gdyby rodzice zdali sobie sprawę, że mają mały wpływ na to, kiedy dokładnie wydarzy się pierwszy raz w życiu ich dziecka. Nastolatek nie przyjdzie zapytać, czy już może. Każda osoba sama podejmuje taką decyzję. Gdy rodzicom trudno się z tym pogodzić, pytam o ich pierwsze razy – czy pytali mamę i tatę? To nierealne. Rodzice mają jednak ogromny wpływ na podstawy takiej młodej osoby do podejmowania jej własnych decyzji. Rozwijamy seksualność dziecka, gdy je świadomie wychowujemy, rozmawiamy np. o tym, jakie związki są dobre. Po czym poznać, że związek jest bezpieczny? Co jest przemocą seksualną, jak ją rozpoznać? A najwięcej dziecko uczy się, obserwując relacje dorosłych.

Co z tym ginekologiem?

– Wizyty ginekologiczne są bardzo ważne, nie tylko w kontekście seksu. Od rodziców czasem słyszę, że jeśli pozwolą dziecku pójść do ginekologa, to zacznie uprawiać seks. Tak nie jest. Przez taką obawę ograniczają dziecku możliwość korzystania z opieki medycznej, a to bardzo niebezpieczne. Według zaleceń medycznych pierwsze badania ginekologiczne powinny się odbywać już około 13. roku życia. Chodzi tu o zadbanie o zdrowie młodej osoby.

Można np. zaszczepić dziecko przeciw HPV.

– O tym, że jest szczepionka przeciw HPV, wie niestety garstka ludzi. A to jest właśnie wiek, kiedy dobrze pomyśleć o zaszczepieniu

eprasa.pl 7de9e900b2

dziecka, bo najskuteczniejsza jest w przypadku osób, które jeszcze nie zaczęły aktywności seksualnej. My też możemy przy okazji się zaszczepić, dorosłe osoby również chroni ona przed onkogennymi rodzajami HPV. I choć o HPV mówi się głównie w kontekście ochrony przed rakiem szyjki macicy, to dobrym pomysłem jest szczepienie osób wszystkich płci.

Mówiła pani o historiach, które się nie zdarzają. A jakie słyszy pani często?

– Najbardziej uderzające są historie przemocy i homofobii w rodzinach. Jakby dorośli żyli iluzją, że jeśli zabronią komuś np. być lesbijską, to ona przestanie być homoseksualna. Podobnie jak historie rodzin, w których nastolatka ewidentnie ma infekcję intymną, która wcale nie musiała powstać przez seks, ale dorośli wstydzą się, że ktoś może pomyśleć, że ich dziecko uprawia seks, i z tego powodu nie idą do lekarza. To jest rodzaj przemocy polegającej na zaniedbaniu, bo ta dziewczyna, jeśli ma mniej niż 18 lat, potrzebuje na wizytę zgody rodzica lub opiekuna prawnego. Taka sytuacja zagraża zdrowiu dziecka. Dodatkowo tacy rodzice uczą córkę, że opinia innych ludzi jest ważniejsza niż jej zdrowie.

Nie róbmy z seksualności skandalu czy zagrożenia. To element życia nas wszystkich i nic dziwnego, że dzieci i nastolatki się nią interesują, zwłaszcza gdy żyjemy w świecie, w którym jest dużo seksualizacji. Nastolatki żyją w rozdwojeniu: z jednej strony słyszą informacje o cnotach niewieścich, nie mają edukacji seksualnej w szkole, są zawstydzane i pozbawiane źródła informacji, a z drugiej – wychodzą ze szkoły i widzą wokół siebie reklamy przesycone rozerotyzowanymi obrazami. Dostają przekaz: nie wolno tym się interesować, ale jednocześnie: bycie fajnym to bycie seksownym. Jak 15-latki mają połączyć sprzeczne przekazy? Jeśli unikamy rozmów o tym, to zwiększamy samotność i zagubienie nastolatków. Młodzi ludzie sami muszą sobie to poskładać i znaleźć swoją drogę. Przy naszym wsparciu stawanie się osobą dorosłą byłoby dla nich łatwiejsze.

Media społecznościowe przychodzą z odsieczą czy wręcz przeciwnie?

– Media społecznościowe to stały element rzeczywistości nastolatków. Trudno nam, dorosłym, zrozumieć, jak duża część życia młodych osób odbywa się w internecie – tam się poznają, dojrzewają, chodzą na randki i czasem uprawiają seks. Dorośli też trochę to robią, ale zazwyczaj w znacznie mniejszym zakresie. To niesie różne zagrożenia, ale ma i zalety. My, zamiast skupiać się na straszeniu i zakazywaniu, możemy uczyć, jak korzystać z internetu bezpiecznie. Media społecznościowe mogą być bezpieczną przestrzenią dla osób, które takiego miejsca nie mają w realu – np. osób LGBT+ dorastających w małych miejscowościach, w których dominuje homofobia, albo osób z niepełnosprawnościami żyjących tam, gdzie publiczne przestrzenie są niedostępne. Podczas pandemii również wielu dorosłych używa internetu do utrzymywania bliskich relacji z innymi.

Nie róbmy z seksualności skandalu czy zagrożenia. To element życia, nic dziwnego, że dzieci i nastolatki się nią interesują.

A seksting? To chwilowy trend czy coś, co zostanie z nami na długo? Jest czego się obawiać?

– Seksting to aktywność seksualna, która polega na wymienianiu się zdjęciami, filmikami, wiadomościami tekstowymi. Pewnie zostanie z nami na długo, bo seks za pośrednictwem obrazów, dźwięków i tekstu nie jest niczym nowym. Dawne malowanie dla kogoś aktów, wysyłanie erotycznych listów teraz przyśpiesza dzięki rozwojowi technologii. Tak samo jak w przypadku każdej innej aktywności seksualnej podstawą jest tu zgoda każdej strony na taką interakcję. Jeśli wysyłamy zdjęcie swojego penisa osobie, która nie życzy sobie tego – jest to przemoc seksualna. Czyli przed wysłaniem pytamy o zgodę. Seksting uprawiają osoby dorosłe, ale i nastoletnie. Dlatego jeśli rozmawiamy o seksie z nastolatkiem, pogadajmy również o tym. Karanie, zabranie 17-latkowi telefonu nie zatrzyma jego zainteresowania seksualnością, bo jest on istotą seksualną i będzie dalej się rozwijać, a dodatkowo pewnie jest bardziej biegły w korzystaniu z internetu niż rodzice. Efektem będzie raczej to, że staranniej będzie chronił przed rodzicami swoje prywatne sprawy, czyli zwiększy się dystans między nim a rodzicami. Dlatego zachęcam rodziców i opiekunów w pierwszej reakcji do wzięcia głębokiego oddechu i po prostu porozmawiania z nastolatkiem.

Anna Stachowiak

eprasa.pl 7de9e900b2

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wizyta w Górkach Wielkich

W przeciwieństwie do wielu moich znajomych lubię i cenię pisarstwo Zofii Kossak. Oczywiście jej ortodoksyjny katolicyzm nie tylko stoi w sprzeczności z bliskimi mi ideami ekumenizmu, lecz przede wszystkim prowadzi do zafałszowań historycznych, o czym jej wczesna powieść „Złota wolność" świadczy aż nadto dobitnie. A jednak monumentalna trylogia o średniowiecznych krucjatach („Krzyżowcy", „Król trędowaty", „Bez oręża") ukazuje jakąś prawdę tamtego czasu, przedstawia złożoność motywacji, wychodzi z polskiego ogródka w stronę uniwersalnych problemów ówczesnej Europy. Jakkolwiek więc bym się zżymał na to pisarstwo, budzi ono w sumie moje uznanie i ciekawość. Oraz zjednuje szacunek – tak jak heroiczna karta Zofii Kossak w czasie niemieckiej okupacji.

Przekroczyłem zatem ze wzruszeniem próg muzeum pisarki w Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim. Byłem sam z przewodniczką – tego dnia nikt Zofią Kossak się nie interesował. Udzielane informacje nie były dla mnie nowe, lecz w tym miejscu, w gabinecie autorki „Krzyżowców", nabierały nowych znaczeń. Czy jednak do tych znaczeń nie zakradł się cień politycznej poprawności? Przewodniczka słusznie podkreślała podpis Zofii Kossak pod „Listem 34" w 1964 r. lub jej odmowę przyjęcia Nagrody Państwowej I stopnia w roku 1966. Choć można też się zastanawiać, czy rzeczywiście za te działania spotkały pisarkę pewne, zresztą chwilowe, szykany. Tymczasem jednak przemilczano fakty ogólne, zasadnicze i nadrzędne – może w przekonaniu, że są oczywiste. Nie, nie były oczywiste – przynajmniej dla ludzi młodych, niepamiętających Polski Ludowej, którzy też mogli w muzeum się pojawić. Bo przecież przedwojenne i powojenne książki Zofii Kossak były w PRL wydawane wielokrotnie, w masowych nakładach. Pisarka, powracająca w 1957 r. z emigracji, właśnie ze względu na swój życiorys i ostentacyjny katolicyzm była dla władz nabytkiem nie do przecenienia. Dobrze pamiętam wiadomość o jej śmierci – ukazała się na pierwszych stronach gazet. Inna rzecz, że akurat wtedy, w atmosferze pomarcowej, Zofia Kossak, która w czasie okupacji ratowała Żydów, stanowiła dla władz jeszcze jeden, dodatkowy atut.

Ruszyłem w obchód muzeum. Tu eksponaty żyły swoim życiem i niczego nie przemilczały. Na przykład tego, że wyjazd z kraju w 1945 r. umożliwił Zofii Kossak człowiek numer dwa stalinowskiej Polski, Jakub Berman. O tym jednak wiedziałem, natomiast nowością były dla mnie kulisy odmowy przez Kossak przyjęcia Nagrody Państwowej. Przewodniczka wspomniała już, że pisarka początkowo z nagrody się ucieszyła, tu jednak okazało się coś więcej. Bo choć gotowość przyjęcia nagrody od „komunistów" byłaby dziś sama w sobie podejrzana, to o ileż bardziej podejrzana, ba! godna napiętnowania, powinna być deklaracja lojalności. Tymczasem… tak, Zofia Kossak zaprotestowała w roku Milenium przeciw nagonce na Kościół, zarazem jednak – pisała – władze PRL są dla niej „własne i prawowite".

Dlaczego użyła aż takich słów? Byłby to przejaw koniunkturalizmu, egoistycznej być może troski, by jej książki były nadal wydawane bez przeszkód? Czyli chciała decydentom czymś osłodzić swoją odmowę? Motywacji takich nie da się wykluczyć, ale na tej samej zasadzie można uznać, że pisarka naprawdę tak myślała. Czyli legitymizowała PRL! – wykrzykną ze zgrozą „późno urodzeni". Tymczasem w latach, gdy powstał ten list, nikt w kraju w takich kategoriach nie rozumował. Myślano odwrotnie: oto po okropnościach wojny otrzymaliśmy – co bynajmniej nie było przesądzone – polskie państwo. A po terrorze stalinizmu ofiarowano nam wreszcie spokój, „małą stabilizację". PRL – rozumowano – jest może odległa od naszych marzeń, lecz przecież dokonała awansu społecznego, do którego Polska międzywojenna (fakt, że istniejąca krótko) nie była zdolna. A wolność? W II RP mieliśmy tysiące więźniów politycznych, w czasach Władysława Gomułki, zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu jego rządów, ich liczba spadła praktycznie do zera. A własność prywatna? Mają ją chłopi, mają rzemieślnicy – obie te warstwy zyskały nawet polityczną reprezentację w postaci „stronnictw sojuszniczych": ZSL i SD. A kultura? Socrealizm odszedł w niebyt, kulturę można teraz rozwijać względnie swobodnie, również kulturę katolicką. Zaś więzy z kapitalistycznym Zachodem zostały w pewnym stopniu odbudowane. Nie twierdzę, że ja tak twierdzę – twierdzę, że wtedy tak twierdzono. Przynajmniej na ogół. Może więc rzeczywiście Zofia Kossak, niegdysiejsza akowska konspiratorka, niedawna londyńska emigrantka, a przez całe życie gorliwa katoliczka i antykomunistka, uznała, że PRL to jest jej państwo?

> Polityczna poprawność naszych czasów jest tak cieniutka, tak powierzchowna. Gotowa stopnieć w jednej maleńkiej chwili.

Zakończyłem zwiedzanie, wróciłem do przewodniczki. „Jak wiele o postawie Zofii Kossak mówią te dwa słowa o władzach PRL: »własne i prawowite«", powiedziałem. Zawahała się. „Tak, bo ona była wielką patriotką", odpowiedziała po sekundzie. Nie dociskałem już, nie wykrzyknąłem: „Zofia Kossak była patriotką PRL!". Wystarczyła świadomość, że polityczna poprawność naszych czasów jest tak cieniutka, tak powierzchowna. Gotowa stopnieć w jednej maleńkiej chwili.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Oszustwo po (o)polsku

Ślązak ma zaufanie do Ślązaka – nie pyta, pomaga. Jak może to zrujnować życie, przekonał się obywatel Niemiec, Ślązak oczywiście

Beata Dżon-Ozimek

Opole, miasto przebojowe, stolica polskiej piosenki; miasto niedawnych „przebojowych" ministrów, Patryka Jakiego czy Janusza Kowalskiego. „Przebojowi" oszuści, nieuczciwa pośredniczka finansowa, spec od nieruchomości i niezbyt staranni notariusze zadbali o to, by Janusz Biskup, obywatel Niemiec, miał jak najgorsze skojarzenia z Opolem. Ten Ślązak trafił na wyjątkowo parszywych ziomków i słono za to płaci od 10 lat, także zdrowiem.

– Do 2011 r. byliśmy szczęśliwym małżeństwem, wiedliśmy uporządkowane życie – mówią Yvonne i Janusz Biskupowie, obchodzący właśnie 36. rocznicę ślubu.

Janusz Biskup, żeby pomóc znajomemu, wykupił od lichwiarza jego dom. Został wielokrotnie oszukany.

W 2004 r. sąsiad remontował Biskupom mieszkanie, przedstawił im kolegę z dzieciństwa, Jerzego; ten szybko ich oczarował, stał się niemal domownikiem, wyjeżdżali na wspólne urlopy. Przedstawiał się jako makler, pokazywał Biskupom nawet swoje niemieckie biuro. Pochodził ze Śląska, miał trudne dzieciństwo, o czym poruszająco opowiadał. Biskupowie traktowali go jak przyjaciela.

Janusz Biskup: – Pomagałem znajomym, rodzinie, dobrze mi się wiodło. Nikt mnie nigdy nie oszukał, ja także nikogo, myślałem, że tak świat wygląda. Do głowy by mi nie przyszło…

A Jerzy już miał pewne finansowe „dokonania", obracał setkami tysięcy złotych, niektórzy dzięki niemu zarobili, inni stracili dorobek życia. Byli to niemal sami Ślązacy, w dość zamkniętym środowisku. – W 2011 r. Jerzy zrozpaczony zadzwonił, czy moglibyśmy pomóc jemu i jego rodzinie. Pożyczył pieniądze od znanego, jak się okazało, lichwiarza, który chętnie pożycza, ale jeszcze chętniej zabiera zastaw. Ten groził, że zabierze im dom za odsetki. Proponował, żeby znaleźli kogoś, kto dom kupi i go spłaci. Miałem dobrze płatną pracę, zdolność kredytową w Polsce nawet na milion złotych – tłumaczy Janusz Biskup. Skany aktu notarialnego pokazują, że Jerzy i lichwiarz zawarli np. w 2009 r. umowę pożyczki na kwotę 928,5 tys. zł z oprocentowaniem 40 tys. tygodniowo (*sic*!), inna opiewała na 400 tys. z odsetkami 60 tys. miesięcznie. Za niespłacone pożyczki Jerzy już oddał lichwiarzowi m.in. mieszkanie, dom, pole, później przekształcone w atrakcyjne działki budowlane. Dom, w którym rodzina Jerzego mieszkała, lichwiarz przepisał na siebie za 400 tys. zł długu, teraz chciał jeszcze 600 tys. zł ze sprzedaży.

Pośredniczka kredytowa

Jerzy poprosił wcześniej Biskupa o wzięcie kredytu gotówkowego, już miał spore kłopoty. I tu pojawia się Olga S., ujmująca pośredniczka finansowa z Opola, kobieta „od spraw trudnych". Dziś jej biuro nie istnieje, numery telefonów są niedostępne. – Wydawała się taką uczciwą, kompetentną panią, która może wszystko załatwić. Znała rodzinę P., mówiła, że są w dramatycznej sytuacji, pomagała im wcześniej brać pożyczkę. Zachęcała mnie do wzięcia kredytów dla nich, zapewniała o ich uczciwości, wypełniała za mnie blankiety, „zanosiła zapytania" do banków, jak mówiła. Ufałem jej, była przyjacielska, szybko zaproponowała przejście na ty – wspomina Janusz Biskup. Rodzina P. zapewniała, że mają dochody miesięczne ok. 13 tys. – renta wujka z Niemiec, emerytury i wypłaty. Ale kto by między Ślązakami prosił o kwity do wglądu.

Pani Olga załatwiła w różnych bankach kredyty na Biskupa na 20 i 30 tys. zł, potem jeszcze 40 tys. Przyzwyczajała ludzi do tego, że tylko z nią otrzymają kredyt, że tylko ona wyprowadzi ich z finansowej matni. – Dawałem pieniądze Jerzemu, zawsze w obecności pani S., od razu dostawała swoją prowizję bez pokwitowania, na moich oczach – przyznaje Biskup. Mówiono o 10%. Kiedyś ta pani zrobiła pod bankiem awanturę, bo jej dolę Jerzy chciał dać jej później. Z perspektywy czasu Biskup widzi, że pośredniczka załatwiała sprawy tuż przed zamknięciem biura, pośpiesznie, prosiła o podpisy *in blanco*. Później, podczas jednej z rozpraw sądowych z powództwa Janusza Biskupa, okazało się, że „pani od spraw trudnych" bez jego wiedzy wystąpiła o kredyt w wysokości ponad 1 mln zł.

Drożejący dom

– Ten wujek, który już zmarł w wieku ponad 90 lat, wtedy, w 2011 r., płakał, żeby im pomóc, trzymał mnie za ręce, bał się, palono im pod domem znicze, niszczono elewację, rzucano farbami. Mnie się serce krajało, obiecałem, że ile będę mógł, tyle pomogę. Matka Jerzego też płakała – mówi Biskup.

Rodzina P. obawiała się o życie; były SMS-y z groźbami, Jerzy straszył samobójstwem, matka gotowa była na każde kłamstwo; pieniędzy domagali się wierzyciele, także z rodziny. Biskupowie zdecydowali, że odkupią dom, a rodzina miała spłacać kredyt. Czy nic go nie zaniepokoiło? – Spłacali te kredyty gotówkowe. Potem okazało się, że tylko do momentu,

eprasa.pl 7de9e900b2

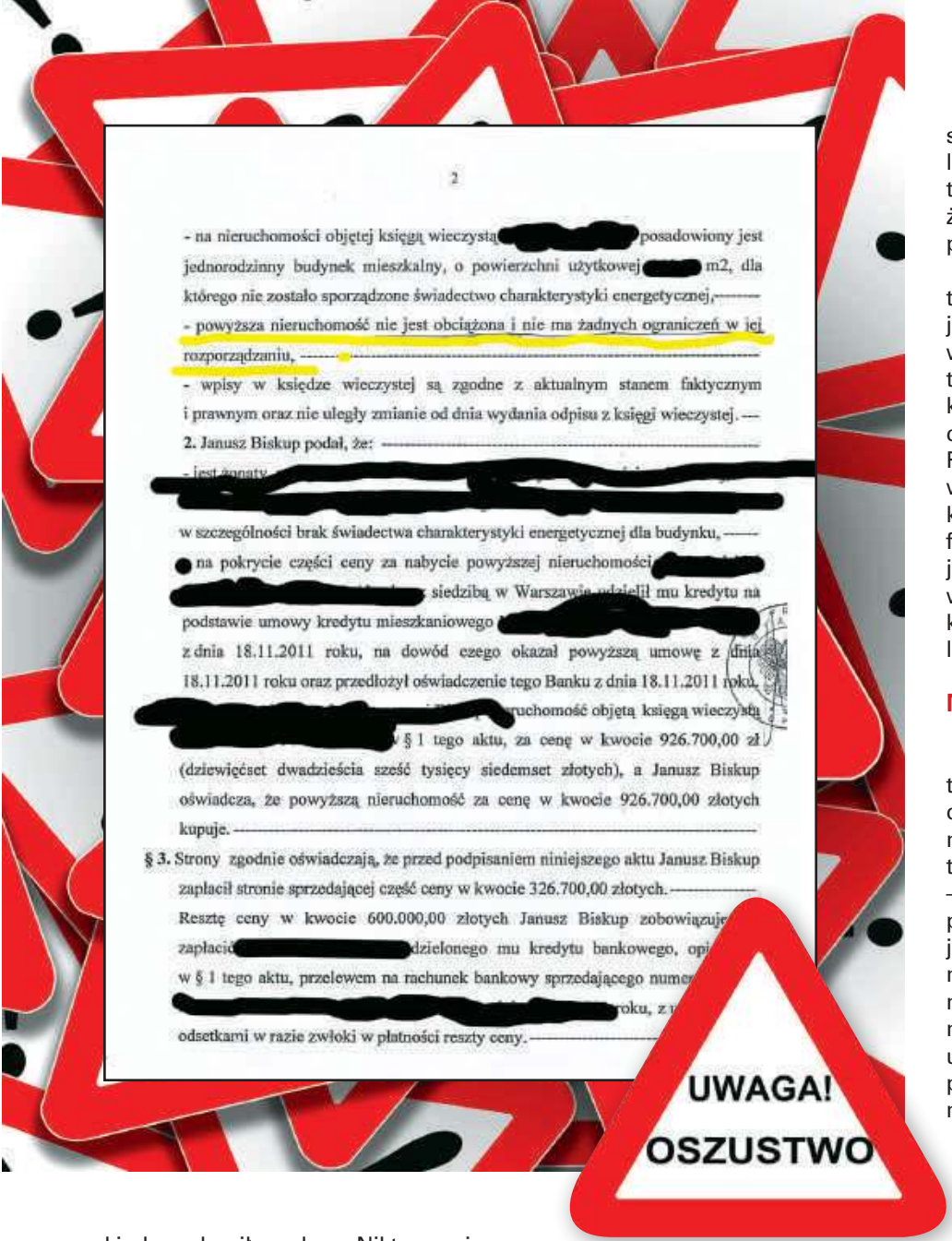

kiedy wykupiłem dom. Nikt nas nie ostrzegł, że tych kredytów mieli jakąś straszną ilość.

Biskup nie śledził przygotowań do sprzedaży domu, miał swoją pracę i życie w Niemczech. Jerzy załatwiał wszystko z lichwiarzem, umówili się na 600 tys., formalnościami zajmowała się oczywiście Olga S. Prezes jednego z banków bez problemu udzielił Biskupowi kredytu na tę kwotę, ale w dzień podpisania umowy inny pracownik zażądał od Biskupa oświadczenia o uiszczeniu jednej trzeciej wartości nieruchomości. A była ona warta, o dziwo, 926,7 tys. zł. Wyszło na jaw, że Jerzy włożył wiele wysiłku w poszukiwanie rzeczoznawcy, który wyceni dom jak najwyżej. Tę zaskakującą wycenę wykonał rzeczoznawca spoza Opola, żaden miejscowy nie zaryzykował tak kosmicznej ceny. Rzeczoznawcę poleciła Olga S. – Nie wiedziałem, że Jerzy stara się o najwyższą wycenę domu, ani że bank w Polsce może dać dwie trzecie kredytu, a resztę muszę wpłacić w gotówce, w Niemczech wygląda to inaczej. Pracownik banku stwierdził, że jeśli się nie zgodzę na te warunki, nici z kredytu. Chciałem tym ludziom pomóc, specjalnie przyjechaliśmy z żoną. Poradził mi kontakt z lichwiarzem, tym, od którego miałem kupić dom; miał mi napisać oświadczenie, że mi te pieniądze na mój wkład przekazał – tylko na potrzeby banku, gdyby była jakaś kontrola – opowiada Biskup. Lichwiarz czekał u notariusza. Bez słowa wyciągnął umowę o udzieleniu pożyczki, 345,3 tys. zł, co potwierdzili notarialnie. – Nie było żadnych pieniędzy, to była fikcja na potrzeby banku – zaznacza Biskup.

Wreszcie podpisali umowę kredytu. Czuć było napięcie, czekali Jerzy, jego rodzina, lichwiarz, bank. Nie do wyobrażenia było, by Janusz Biskup tego dnia nie kupił domu – za wszelką cenę. Do dziś się zastanawia, dlaczego nie odłożyli z żoną decyzji. Potem okazało się, że lichwiarz dowiadywał się od pracownika banku, który finalizował kredyt z umową fikcyjnej pożyczki, na jakim etapie jest sprawa. Niedługo później ten właśnie pracownik miał ogromne kłopoty finansowe. Za jakiś czas znaleziono go martwego.

Notariusz

18 listopada 2011 r. był długim, trudnym dniem dla Biskupów. Kiedy dotarli z umową do znanej kancelarii notarialnej w Opolu, na wejściu notariusz ich zrugał, że są tak późno. – Mówił, że trzeba się śpieszyć, bo pracownice chcą iść do domu, biuro jest czynne do godz. 17. Stwarzał atmosferę zamieszania, poczucia winy, nie pozwolił się wytłumaczyć – wspominają małżonkowie. Zwróciło ich uwagę, że notariusz był z lichwiarzem po imieniu; kiedy weszli, zawołał do niego, że „nareszcie są". Lichwiarz załatwiał w tej kancelarii różne umowy, także te z Jerzym. – Doskonale się znali i ja dałem się na to nabrać. To jest grzech mojego życia, trauma. Moim błędem było to, że poddałem się tej presji – wyrzuca sobie pan Janusz.

– Zadawałam pytania, notariusz nie odpowiadał, „bo dziewczyny chcą iść do domu". Tak szybko czytał treść umowy, że nie kojarzyliśmy, co czyta. Potem dał nam do podpisania dokument o poddaniu się egzekucji na te fikcyjne 345,3 tys. zł, które mieliśmy spłacić do 31 grudnia 2011 r. Zapytałam, dlaczego mamy to zwrócić, skoro nie dostaliśmy żadnych pieniędzy. Wtedy lichwiarz mruknął, że to jest dżentelmeńska umowa, i szybko wyszedł – wspomina pani Yvonne. Ona też ma pretensje do siebie, że nie miała odwagi dopytać, upewnić się. Akt notarialny był gotowy o godz. 17.16. Nie wiedzieli jeszcze wszystkiego o zakupionym domu, który w 2015 r.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7de9e900b2

biegła sądowa rzeczoznawczyni wyceniła na realne 505,4 tys. zł.

Dżentelmeński przekręt

Biskupowie kupili dom o zawyżonej wartości 926,7 tys. zł za kredyt 600 tys. zł oraz fikcyjną pożyczkę 345,3 tys. zł. Rodzina Jerzego notarialnie zobowiązała się do spłat na ich rzecz, podpisali weksle. Wkrótce stało się jasne, że pan Janusz nie ma co liczyć na wpłaty od Jerzego i jego rodziny; długi ich przerosły, on poszedł do więzienia. – Przysłali mi raz na spłatę domu 700 i 250 euro i przekazali drobne kwoty w złotówkach, a raty w sumie wynosiły 12 tys. zł miesięcznie. O „pożyczce" zapomniałem, wziąłem na serio to, że to dżentelmeńska umowa tylko dla banku, której pozorność potwierdzi każdy adwokat. A lichwiarz na początku 2012 r. sprzedał „mój dług" firmie Nettle SA. Nie wiedziałem o niczym, byłem zameldowany w Niemczech, pisma urzędowe czy sądowe nie są wysyłane za granicę, więc Jerzy mi doradził, bym skorzystał z polskiego adresu korespondencyjnego u jego rodziny. Tyle że to mieszkanie też przejął lichwiarz i kontrolował korespondencję do mnie. Dopiero w czerwcu 2013 r. dotarło do mnie wezwanie z Nettle do natychmiastowego kontaktu w sprawie 345 tys., które teraz im byłem winien, a pisali do mnie już w 2012 r., kiedy zapadła decyzja o egzekucji – opowiada Biskup. Dziś nie ma złudzeń, że Jerzy świetnie wiedział o wszystkim i czekał, aż ten „dług" zostanie ściągnięty z Janusza Biskupa. Wielokrotnie pytał Jerzego, czy jest coś winien lichwiarzowi, ale ten zaprzeczał. Zaproponował mu za to kontakt ze swoim prawnikiem, który uznał, że wezwanie z Nettle to blef, i radził czekać: – Czekałem, aż w końcu usłyszałem pukanie niemieckiego komornika.

Później do Nettle wysyłano pisma w imieniu Janusza Biskupa, informując, że jest on gotów spłacać zobowiązanie, na pismach widniał jego sfałszowany podpis.

Dżentelmeńska umowa okazała się oszustwem, Biskup musiał wynająć adwokatów w Polsce i Niemczech. Wystąpił do Sądu Okręgowego we Wrocławiu, gdzie jest siedziba Nettle SA. – W 2014 r. sąd uznał, że pożyczka była czynnością prawną dokonaną dla pozoru i umowa od początku była nieważna, nie rodziła skutków prawnych, ale Nettle złożyła apelację i korzystny dla mnie wyrok został uchylony w 2017 r. w sądzie apelacyjnym.

Ryszard Kalisz: W tej sprawie przed wrocławskim sądem apelacyjnym doszło do rażącego naruszenia prawa materialnego i przepisów postępowania cywilnego.

Biskupowie dotąd znali sale sądowe z telewizji. Nagle znaleźli się w najgorszej wersji sądowych spektakli. Zdaniem przyjaciółki rodziny, która im towarzyszyła podczas rozprawy, a także pełnomocnika Biskupa, sędzia sądu apelacyjnego zachowywał się skandalicznie. – Był arogancki, wzywał mnie palcem, rzucał kartkami, nie wezwał mojej żony ani innych osób na świadków, choć sąd pierwszej instancji je przesłuchiwał. Pozwalał do woli mówić stronie przeciwnej, mnie zaś nie pozwalał się odnieść do obelżywych wypowiedzi, nie reagował, kiedy lichwiarz nazywał mnie oszustem. Kiedy ogłosił wyrok, byłem na wpół żywy. Powiedziałem, że moje życie legło w gruzach. Usłyszałem od sędziego, żebym się nie martwił, że państwo niemieckie o mnie bardzo dobrze zadba, nie umrę z głodu, bo sprawy socjalne są tam świetnie zapewnione. Nie mogłem dojść do siebie po tych słowach sędziego – powtarza Ślązak z Żor, obywatel Niemiec. Miał zwrócić dług, który nie istniał, oraz ponieść wszelkie koszty sądowe.

Olga S. bez wiedzy Biskupa wystąpiła o kredyt w wysokości ponad 1 mln zł.

Onkel i służebność

Zamożni dotąd Biskupowie wydali wszystkie oszczędności, spłacali kredyty i dom „przyjaciela" do 2015 r. Jerzy siedział, lichwiarz jeździł superautami, pomnażał swój majątek, na pożyczkach dorobił się dziesiątek nieruchomości. Chodził do kościoła i modlił się gorąco, opowiadał, że zbiera pieniądze, by zbudować dom dla sierot.

Pan Janusz przekazał matce Jerzego, że mu przykro, ale nie ma już pieniędzy i trzeba sprzedać dom, muszą się wyprowadzić. „Ale *Onkel* (wujek) ma służebność i może tu być", rzuciła matka. Znowu świat runął Biskupom na głowę. – Zostałem kolejny raz oszukany – kupiłem dom z wujkiem.

Służebność wobec wujka nie została wpisana do księgi wieczystej. Niektórzy notariusze są na to bardzo uczuleni, bo to chyba najczęstsza niezgodność, jaka pojawia się w dziale III księgi wieczystej. W akcie notarialnym lichwiarza z 2009 r., zawieranym w tej samej opolskiej kancelarii, w której Janusz i Yvonne Biskupowie finalizowali akt kupna feralnego domu, jest zapisana dożywotnia służebność wujka, w akcie Biskupów – nie ma żadnych obciążeń. – Sprzedający lichwiarz twierdził, że notariusz sprawdzał wszystko. Gdyby służebność była wpisana do księgi, nie dostałbym kredytu – mówi Biskup. Pewnie też nie kupiłby domu albo kupiłby za dużo mniejsze pieniądze, bo służebność obniża wartość nieruchomości. Czy notariusz wykazał się „tylko" niestarannością w wykonywaniu obowiązków? Izba Notarialna we Wrocławiu jest gotowa przyjrzeć się tym dokumentom i ocenić działanie kancelarii.

– Dochodziłem swoich praw, sąd przyznał mi rację, ale zobowiązał do zapewnienia staruszkowi mieszkania na określonych warunkach, co uczyniłem – kontynuuje Biskup.

Kalisz albo cud

Biskupowie wnosili zażalenia do prokuratury w Opolu. Prawników, którzy przyglądali się tej sprawie, zadziwia fakt umarzania wszystkich postępowań, mimo że jak najbardziej były przesłanki, by podejrzewać oszustwo wobec Biskupa. – Były kwestie ewidentne, które wprost wynikały z dokumentów, wystarczyło racjonalnie do tego podejść. Co do sądów – zaskakujące, że sąd okręgowy jako pierwsza instancja rozstrzygnął po

eprasa.pl 7de9e900b2

myśli Biskupa, a sąd apelacyjny bez żadnych nowych dowodów zmienił to rozstrzygnięcie. Po raz kolejny zeznawały te same osoby i ich zeznania były całkowicie odmienne od poprzednich. Nawet sąd we Wrocławiu, rozpatrując zażalenie po umorzeniu postępowania karnego w sprawie składania fałszywych zeznań przez lichwiarza, uznał, że doszło tam do obrazy wymiaru sprawiedliwości i że nie było podstaw do umorzenia – mówi jeden z prawników dawniej zaangażowanych w sprawę Biskupa. – Co z tego, lichwiarz jest bezkarny. Majątek przepisuje na bliskich. Odsprzedał im za grosze „dług" Biskupa, który na powrót przejął od Nettle SA. Prokuratura Rejonowa w Opolu aktualnie nadzoruje śledztwo z zawiadomienia Biskupa w sprawie podejrzenia podrabiania jego podpisów oraz przestępstwa lichwiarza wobec skarbu państwa.

Na mieszkaniu Biskupów w Heidelbergu nadal ciąży wpis o wierzytelności. – Zostały mi bezużyteczne weksle Jerzego na 1,5 mln zł i akt notarialny, w którym rodzina Jerzego zobowiązała się do spłacania kredytów – pan Janusz pokazuje dokumenty; zajmują spory stolik. Dom w Opolu niedawno został zlicytowany za 528 tys., Biskupowie nie mogli go sprzedać, bo rodzina lichwiarza zdążyła się dopisać do księgi wieczystej. Wcześniej wyraziła chęć ugody i przyjęcia 150 tys. zł, ale się wycofała. – Mamy wciąż niespłacone mieszkanie, niemiecki bank poszedł mi na rękę i na jakiś czas zawiesił raty. Banki w Polsce wymawiały mi te kredyty dla Jerzego, musiałem płacić wszystko z odsetkami karnymi, spore sumy, do tego ten dom. Rodzina, przyjaciele mi pomogli, było bardzo ciężko, na granicy przetrwania. Wciąż zwracam pieniądze, ale nie narzekam. Jestem już emerytem. Kiedyś byłem zamożny i fajnie nam się żyło – mówi Janusz Biskup ze smutnym uśmiechem, żona go przytula.

Biskupowie szukali sprawiedliwości w Sądzie Najwyższym, Trybunale Sprawiedliwości UE, bez skutku. – Zwróciłem się o pomoc do kancelarii mecenasa Ryszarda Kalisza. Wystąpił do rzecznika praw obywatelskich z wnioskiem o wniesienie skargi nadzwyczajnej, reprezentuje mnie w dalszym postępowaniu.

– W tej sprawie przed wrocławskim sądem apelacyjnym doszło do rażącego naruszenia prawa materialnego i przepisów postępowania cywilnego mających istotny wpływ na wynik sprawy, ponadto doszło do naruszenia konstytucyjnej zasady zaufania do państwa oraz zasady bezpieczeństwa prawnego. W związku z powyższym skarżącemu została wyrządzona szkoda, a zmiana lub uchylenie orzeczenia w drodze przysługujących środków prawnych nie są możliwe, stąd wniosek do RPO – mówi mecenas Kalisz.

Wniosek jednak został odrzucony. – Czasem myślę, że mogę liczyć tylko na cud – przyznaje Janusz Biskup. Szkody są nie do naprawienia, ale chodzi o odzyskanie poczucia bezpieczeństwa i sprawiedliwości, a to wiele znaczy, podkreślają Biskupowie. Wiedzą, że wielu się dziwi, jak dorośli ludzie mogli dać się tak wrobić. Rozumie to Ślązaczka, ich stara przyjaciółka: – Ślązak ufa ludziom. Ty wiesz, ja wiem i Pan Bóg wie, to była reguła i zobowiązanie pośród Ślązaków. A ci od Jerzego oszukiwali jak się dało, gdzie się dało i liczyli na ludzką dobroć. I u Biskupów ją znaleźli.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

TOKSYCZNA MIŁOŚĆ

Jakub Dymek

Nasz obraz Ameryki jest oparty na mitach, w które nie wierzą już sami Amerykanie

Latem 2020 r. George Packer, jeden z najbardziej cenionych amerykańskich reportażystów, doszedł do wniosku, że żyje w „państwie upadłym". Na łamach magazynu „The Atlantic" użył dokładnie tego określenia – *failed state* – którym opisuje się takie kraje jak Libia czy Somalia. Prezydent to skorumpowany bufon oligarcha, edukacja czy ochrona zdrowia pozostawione są dzikim siłom rynku i nie mogą liczyć na żadną sensowną politykę rządu centralnego. Obywatele sami szyją maseczki, a personel medyczny owija się workami na śmieci, bo w szpitalach brakuje ubrań ochronnych i środków higieny osobistej – wyliczał po kolei kompromitujące porażki swojego kraju reportażysta. Poobrażane na siebie nawzajem dwie elity, republikańska i demokratyczna, nie są w stanie dojść do porozumienia nawet w sprawach fundamentalnych – kontynuował Packer – a media serwują tylko plemienne legendy dla wrogich obozów, zamiast informować. „Czy ufamy swojemu rządowi i sobie nawzajem choć na tyle, by przeciwstawić się śmiertelnemu zagrożeniu? – pytał dramatycznie. – Czy jesteśmy w ogóle zdolni do tego, by sami sobą rządzić?".

Packer nie był w tej opinii odosobniony, choć pewnie najdosadniej wyraził pogląd o upadku instytucji amerykańskiego państwa. Ale od wiosny 2020 r. przekonanie o głębokim kryzysie Ameryki dochodziło do głosu częściej. Na fali protestów po śmierci George'a Floyda oceniano historię i teraźniejszość przede wszystkim przez pryzmat rasizmu. Krytyce poddano nawet fundamentalne mity Ameryki i biografie jej ojców założycieli. Nagrodzony Pulitzerem projekt „1619" dziennikarki Nikole Hannah-Jones przekonywał, że to niewolnictwo, a nie Deklaracja niepodległości, dało początek Stanom Zjednoczonym. Słowem, USA to kraj zniewolenia, a nie wolności.

Gdy amerykański mainstream zajmuje się „zarządzaniem kryzysem", większość komentatorów i polityków nad Wisłą zajmuje się tego kryzysu pudrowaniem.

Z drugiej strony olbrzymia kariera teorii spiskowych kazała myśleć, że poziom debaty publicznej sięgnął już dna, a wielbiona amerykańska wolność słowa zamieniła się we własną karykaturę. Głośno mówiono też o końcu amerykańskiej hegemonii na świecie – prezydentura Trumpa obniżyła wiarygodność USA na arenie międzynarodowej. Państwo z największym na świecie budżetem obronnym, wciąż niekwestionowana militarna potęga, nie było w stanie obronić się przed szturmem motłochu na własny Kapitol – który 6 stycznia 2021 r. został „zdobyty", zdewastowany i dosłownie obrzucony fekaliami przez zwolenników odchodzącego w niesławie prezydenta. Kolejne ciosy spadły po bezładnym wycofywaniu się Amerykanów z Kabulu i przejęciu Afganistanu przez talibów.

20 lat po zamachach z 11 września, po czasie pandemii i chaotycznej

eprasa.pl 7de9e900b2

prezydenturze Trumpa Ameryka nie jest – wbrew słowom Packera – państwem upadłym. Ale nie jest też tym samym, pewnym siebie, zadowolonym i przewidywalnym „dobrotliwym hegemonem".

Zarządzanie kryzysem

Choć cała Ameryka boleśnie przeżywała w ostatnich latach utratę wiarygodności, prestiżu i realne osłabienie globalnych wpływów, są takie miejsca na świecie, gdzie świadomość tych zjawisk nie dotarła. Na przykład Polska. Jeśli chodzi o debatę publiczną, to Warszawa jest dziś bardziej proamerykańska niż Waszyngton.

Gdy bowiem od dobrych kilku lat amerykański mainstream zajmuje się „zarządzaniem kryzysem", zdecydowana większość komentatorów i polityków nad Wisłą zajmuje się tego kryzysu pudrowaniem albo celowo wypacza jego prawdziwe przyczyny i skalę. Pytanie, przed którym stoi amerykańska opinia publiczna, brzmi dziś: jak słabnąca i targana wewnętrznymi napięciami Ameryka ma pozostać światowym liderem i zapewnić swoim obywatelom poprawę poziomu życia? W Polsce to niekontrowersyjne przecież pytanie wciąż nie przechodzi przez gardło wielu ekspertom.

Bezalternatywne i wiernopoddańcze oparcie polityki zagranicznej na USA – a tak naprawdę na prezydencie Trumpie – było świadomym wyborem rządu PiS. Najlepszymi ilustracjami tego podejścia były wizyty w Waszyngtonie prezydenta Andrzeja Dudy, który, stojąc przy biurku Trumpa, podpisywał niewiele znaczące deklaracje. A później wygłaszał obietnice, nierealistyczne i sprzeczne z faktycznymi zamiarami Trumpowskiej administracji. Kto dziś pamięta, że według rządowej propagandy rzekomo załatwiono Polsce „priorytetowy" dostęp do amerykańskich szczepionek na COVID-19? Symptomatyczna była opinia czołowego doradcy PiS w sprawach zagranicznych, Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego, który pisał w 2020 r., że „wszystko wskazuje na to, że prezydent Trump uzyska reelekcję" i „ten scenariusz Polska powinna przyjąć za podstawę swojej polityki zagranicznej". A inne scenariusze – czyli, mówiąc wprost, zwycięstwo Bidena i demokratów – „należy zignorować". Tak zresztą się stało. Polska rzeczywiście zignorowała zwycięstwo Bidena, zwlekając z przekazaniem mu prezydenckich gratulacji nawet dłużej niż Rosja. Publiczne media promowały zaś pogląd, że wybory wcale nie są rozstrzygnięte, a prawnicy Trumpa jeszcze odwrócą w sądach ich wynik na korzyść swojego szefa.

> Bezalternatywne i wiernopoddańcze oparcie polityki zagranicznej na USA – a tak naprawdę na Trumpie – było świadomym wyborem rządu PiS.

Gdy Biden wygrał wybory, prawicowe tygodniki i liderzy opinii zaczęli oczywiście przestrzegać przed „lewactwem" i „marksizmem kulturowym" nowej administracji. Ale bardziej dziś konfrontacyjna polityka PiS nie jest odpowiedzią na zmieniające się okoliczności i rolę Ameryki – wypływa z chęci odegrania się na prezydencie, który pokonał faworyta polskiej prawicy.

Krzywe zwierciadło

O ile jednak prawica realizowała w ostatnich latach politykę wręcz karykaturalną, o tyle nawet liberalna opozycja nie jest wolna od złudzeń i cierpi na syndrom wyparcia. Jak bowiem PiS było naiwnie protrumpowskie, tak zdecydowana większość autorytetów anty-PiS była antytrumpowska, ale podobnie bezkrytyczna wobec Ameryki i niesklonna zauważyć, że dawne paradygmaty zdążyły już skruszeć.

Donald Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej wielokrotnie ironizował lub rzucał krytyczne aluzje wobec Trumpa na swoim Twitterze. „Kto potrzebuje wrogów, gdy ma się takich ludzi za przyjaciół?", pisał o prezydencie USA w 2018 r. Rok później krytykował Trumpa – choć bez wymieniania jego nazwiska – podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, rodzinnym mieście prezydenta. Tusk zarzucał Trumpowi m.in. zaniedbywanie kwestii wolnego handlu z Europą i porzucenie Ukrainy. Gdy jednak okazało się, że prezydent Biden utrzymał wprowadzone przez Trumpa cła i taryfy handlowe, za to zniósł sankcje na rurociąg Nord Stream 2, Donald Tusk i jego doradcy nie mieli na tę okoliczność celnej riposty. Wyobraźnią polskich elit zawładnęło przekonanie, że wszystkie niekorzystne z punktu widzenia Europy decyzje mógł podejmować tylko Trump, więc siłą rzeczy są one wyjątkiem od reguły i błędem, który Biden z całą pewnością naprawi.

Tymczasem jedyną regułą, jaką kieruje się amerykańska polityka zagraniczna, jest stanie na straży bezpieczeństwa i przewag, którymi cieszą się w świecie Stany Zjednoczone. Naiwnością byłoby oczekiwać, że Biden zrezygnuje z nich na złość zwolennikom swojego poprzednika. Wszystko to wynika nie z jakiegoś szczególnego amerykańskiego egoizmu, ale z logiki – prawie nigdy przecież przywódcy nie przedkładają zobowiązań sojuszniczych czy wspólnoty wartości nad pozycję ich własnego państwa. W to zaś, że Biden będzie prostą antytezą Trumpa, nie wierzą już nawet najbliżsi doradcy samego prezydenta. Ludzie pełniący dziś najwyższe funkcje w aparacie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej Waszyngtonu pogodzili się z tym, że USA prowadzą bardziej dynamiczną, jednostronną i odartą ze złudzeń grę niż za czasów Baracka Obamy.

> Najbardziej rozczarowanym USA politykiem PO jest Radosław Sikorski. Zwraca uwagę choćby na szkodliwą rolę znajdujących się poza demokratyczną kontrolą koncernów technologicznych.

Teraz, gdy Stany Zjednoczone chcą coś zrobić ponad głowami natowskich sojuszników, po prostu to robią – czy chodzi o zerwanie umowy z Iranem (Trump), czy podpisanie nowej umowy sojuszniczej AUKUS z Australią i Wielką Brytanią (Biden).

FOT. SHEALAH CRAIGHEAD/WHITE HOUSE

eprasa.pl 7de9e900b2

To ostatnie wiązało się z zerwaniem umowy na dostarczenie przez Francuzów łodzi podwodnych do Australii i tak rozwścieczyło Paryż, że prezydent Macron kazał wrócić do kraju ambasadorom z Waszyngtonu i Canberry.

W Polsce bez zmian?

Wydarzenia te zdają się nie mieć większego wpływu na główny nurt debaty o polityce zagranicznej w naszym kraju. Podczas niedawnej dyskusji panelowej w trakcie łódzkich Igrzysk Wolności – i to mimo że wstęp do dyskusji wygłosił prezydent Aleksander Kwaśniewski, a rozmowę moderował lewicowy ekspert Adam Traczyk – rozmówcy ani o centymetr nie wykroczyli poza proamerykański konsensus lat 90. i późniejszych. Jak gdyby przez ostatnie dwie dekady nic nie zmieniło w istotny sposób globalnych problemów i polskiej perspektywy na politykę transatlantycką. Jedynym mówcą, który wyłamał się z tej konwencji, był Jacek Bartosiak, ekspert tyleż popularny, co kontrowersyjny – a jego prowadzona nieprzejrzystym żargonem polemika z pozostałymi dyskutantami nie posunęła rozmowy do przodu. Zewnętrzny obserwator, nieznający biografii rozmówców ani kontekstów, zrozumie tyle, że Polska to kraj, gdzie na sceptyczne wobec polityki USA opinie pozwala się wyłącznie błaznom lub heretykom.

Nie jest na szczęście aż tak źle. Ale głosy odmienne można wyliczyć z pamięci. „Pragmatyzm w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi podpowiada, że nie należy wikłać się w próby udowadniania, że Stany Zjednoczone zawsze czynią dobro. Nawet tam, gdzie błądzą. Idealizacja USA uniemożliwia nam bowiem pragmatyczne – tj. korzystne dla Polski – ułożenie relacji ze Stanami Zjednoczonymi. USA są sojusznikiem Polski, ale nie jest tak, że wszędzie nasze interesy są zbieżne", pisał w 2018 r. na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" Witold Jurasz. Na tych samych łamach niedawno Zbigniew Parafianowicz przypominał, że nie jesteśmy już w 1989 r. i nie potrzebujemy na każdym kroku uwiarygodniać się przed Waszyngtonem, realizując bezkrytycznie wszystkie oczekiwania sojuszników. Ameryka także popełnia błędy, pisał Parafianowicz.

A po stronie liderów opozycji paradoksalnie najbardziej rozczarowanym USA politykiem jest Radosław Sikorski. I to nie ze względu na słynne słowa o „robieniu laski Amerykanom", ale dlatego, że zwraca uwagę choćby na szkodliwą rolę wielkich i znajdujących się poza demokratyczną kontrolą koncernów technologicznych. Sikorski był jednym z nielicznych przedstawicieli platformerskiej opozycji, którzy krytycznie wypowiadali się o roli amerykańskiej polityki w sprawie reprywatyzacji i restytucji mienia bezspadkowego.

Największą konsekwencją w sprawie Ameryki wykazują się jednak politycy młodszego pokolenia lewicy – Adrian Zandberg czy Maciej Konieczny. Ten pierwszy głośno wzywa do wprowadzenia podatku cyfrowego, a naszą rolę w globalnej polityce za PiS określa mianem osła trojańskiego. Zandberg był też jednym z nielicznych polityków, którzy przekonywali, że zwycięstwo Trumpa jest objawem szerszego kryzysu systemu demokratycznego w USA, a nie wypadkiem przy pracy. Problem w tym, że wyrazistość wypowiedzi polityków lewicy jest odwrotnie proporcjonalna do ich wpływu na rzeczywistość w Polsce.

Największą konsekwencją w sprawie Ameryki wykazują się politycy młodszego pokolenia lewicy – Adrian Zandberg czy Maciej Konieczny.

Idealizacja szkodzi

Odpowiedzią na ten stan rzeczy nie jest oczywiście porzucenie zachodniego wektora polskiej polityki zagranicznej. Główny problem polega na tym, że Polska z prawdziwie neofickim zapałem dobudowała do tego wielki mit Ameryki. Opiera się on na trzech założeniach: że USA są państwem prawdziwie ideowym, a nie pragmatycznym; że w związku z tym nigdy nie porzucają swoich sojuszników; że wśród tych sojuszników Polska zajmuje ważne lub wręcz „strategiczne" miejsce. Wszystkie trzy są nieprawdziwe. W kwestii tego ostatniego różnice między prawicą a centrum w Polsce są takie, że prawica naprawdę wierzy w to, że Polska jest dla obronności i strategii USA istotnym miejscem, a centrum jedynie chciałoby, aby tak było.

Powtórzmy: nie chodzi o to, że Ameryka jest imperium zła. Z pewnością jednak od kilku lat (i tendencja ta będzie się zaostrzać) USA rozwiązują coraz więcej spraw jednostronnie. O ile George'owi Bushowi zależało na akceptacji opinii międzynarodowej dla wojny z terroryzmem – więc posuwał się w tej sprawie do kłamstw – o tyle Barack Obama nie szukał dla swoich wojen międzynarodowej aprobaty, a Trump już otwarcie ignorował wrażliwość, życzenia i interesy wcześniejszych partnerów. Z kolei alternatywa, którą obecnie USA proponują partnerom – albo my, albo Chiny – będzie pociągać za sobą koszty bez względu na to, kogo (choć raczej Amerykę) obstawiać będą dotychczasowi sojusznicy Waszyngtonu. Dziś z nowego sojuszu wojskowego cieszą się Brytyjczycy, a wściekli są Francuzi. Choć przecież jedni i drudzy walczyli u boku Ameryki w niedawnych konfliktach zbrojnych. Historia z Nord Stream 2 i Bidenem też pokazała, jak szybko i gorzko można się rozczarować.

Idealizowanie USA – z którego wychodzą nawet sami Amerykanie – na dłuższą metę będzie debacie publicznej i polityce zagranicznej Polski szkodzić. Gdy bowiem cokolwiek pójdzie nie po naszej myśli, Amerykanie zaś znów zachowają się w zgodzie z własnym, a nie cudzym najlepszym interesem – to nie ich podłość, ale jedynie własną krótkowzroczność będziemy mogli winić.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Mam gdzieś wolność słowa Ziemkiewicza

Sam incydencik niewpuszczenia do Wielkiej Brytanii skrajnie prawicowego polskiego publicysty Rafała Ziemkiewicza (dopowiedzmy, żeby nie bawić się w fałszywą elegancję, kindersztubę: faszyzującego rasisty, mizogina i homofoba) nie jest wart nie tylko mszy, ale nawet pochylania się nad nim. Systematycznie i świadomie przez kilka dekad publicyzowania i felietonowania wypracował sobie Ziemkiewicz obraz samego siebie zarysowany jak powyżej. I doskonale z tego żyje, równocześnie dojąc państwo socjalne (z dumą opowiada o swoim „krusowaniu" przez życie). Peroruje od dekad, że wszystko socjalne jest złe, bo lewicowe, ale jeśli z tego socjalnego on sam może uszczknąć pinć złotych – to to zrobi. Podobnie zresztą jest z wieloma innymi regułami życia społecznego, które można mieszać z błotem i na tym mieszaniu doskonale zarabiać. Ziemkiewicz zbudował swoją pozycję na głoszeniu tez, które odmawiają podstawowych praw innym. Kiedy takiego prawa – wolności – odmawia się jemu, oburza się i pała świętym jak jego legendarny „risercz ziemkiewiczowski" (dziesiątki przypadków mijania się z prawdą w tekstach, mylenia podstawowych faktów, nieweryfikowania ich w jakikolwiek sposób, zmyślania, bajdurzenia, otumaniania) oburzeniem. W największym skrócie, jest doskonałym wcieleniem sienkiewiczowskiego kalizmu: on kraść KRUS, *sorry* krowę – dobrze; ktoś potrzebujący chce pomocy, opieki, wsparcia – skandal, komunizm, stalinizm, Beria i gułag.

Dlaczego więc o niewpuszczeniu (po raz kolejny) Ziemkiewicza do Wielkiej Brytanii warto w ogóle mówić? Otóż mam głębokie przekonanie, że dlatego, gdyż ten śmieszny widok (wielki, zwalisty, prawdziwy Polak, u nas, w Warszawie, światowej sławy, siedzi kilka godzin w ciepłym pokoiku na Heathrow z grupą obcych mu ludzi z całego świata, którzy nawet nie wiedzą, że siedzą z rasistą) zmusza nas do skonfrontowania się z fundamentalnym fetyszem naszej kultury politycznej – wolnością słowa. Żeby się pożegnać z Ziemkiewiczem i jego szybującą bez kontaktu z realem frazą, to zapamiętajmy, że w jego mniemaniu, czekając na samolot powrotny do Warszawy, był więźniem politycznym (!). Trzy godziny.

Ale wróćmy do naszej wolności słowa jako wartości założycielskiej III RP. Rzeczywiście, po doświadczeniach z instytucjonalną cenzurą zapanował w Polsce potransformacyjnej dogmat (pozornie) wszechwładnej wolności słowa. I problemem nie jest nawet to, że ani on taki wszechwładny i równoobowiązujący dla wszystkich (rozejrzyjcie się, ile jest spraw prokuratorskich i procesów o obrazę uczuć religijnych), ani realnie funkcjonujący, gdyż niesamowicie rozrosły się nieformalne mechanizmy zamykania ust, uciszania niewygodnych, wymazywania całych połaci tematycznych z debaty. Problemem jest to, że kiedy jakiś faszysta, protofaszysta, neofaszysta, kryptofaszysta (przykładów setki, jeśli chce się poszukać) nagle napotka opór, a niekiedy i państwo zareaguje, rozlega się wycie: „A co z wolnością słowa i tolerancją?!". Wycie kogoś, kto realnie wyklucza innych, atakuje, istnieje w systemie, który dzień po dniu za dobre pieniądze pozbawia głosu słabszych, nieuprzywilejowanych, inaczej myślących, żyjących, mówiących, wierzących, piszących. I wtedy nasz cywilizowany głównonurtowy tłum nagle staje się świętszy od papieża i przywołuje słowa Woltera, które nie były słowami Woltera: „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale do końca życia będę walczył o to, abyś miał prawo je głosić". Otóż nie mam zamiaru ani przez dzień, miesiąc, chwilę walczyć o prawo głoszenia poglądów nienawistnych, rasistowskich, faszystowskich, antysemickich, islamofobicznych, mizoginicznych, homofobicznych tylko dlatego, że są z punktu widzenia logiki „poglądami". To liberalna mantra, która jest bezradna wobec paradoksu „ile wolności dla wrogów wolności".

Ziemkiewicz jest od dekad beneficjentem skrajnie prawicowego dyskursu publicznego, jednym z tych, którzy stopniowo oswajali nas z radykalnym językiem, postulatami i prawicową, dominującą ideologią. W niej nie ma miejsca na inne poglądy, w szczególności lewicowe. Tak dzisiaj myśli, mówi i działa *mainstream*, który nawet nie zauważył, że to, co nad Wisłą jest akceptowalnym przekazem „uznanego" prawicowego centrum, w Europie jest nieakceptowalnym radykalizmem, postrzeganym, słusznie zresztą, jako realny krok ku przemocy, terroryzmowi, wykluczeniu i stygmatyzacji. Nie chcę dłużej być zakładnikiem fałszywej tezy, że najświętszą wartością naszego życia publicznego jest nieokiełznana i niczym nieograniczona wolność słowa, jeśli tylko dotyczy wygłaszania poglądów skrajnie prawicowych. Mam nadzieję, że takich nieprzekraczalnych granic jak ta na londyńskim lotnisku Ziemkiewicz i inni napotykać będą coraz więcej.

W takim momencie często pada pytanie: a co, jeśli ciebie i twoje poglądy dotkną takie restrykcje? Odpowiem: a co robi tu czas przyszły? To się dzieje cały czas, niezauważalnie, systemowo, a ostatnią rzeczą, która mogłaby się wydarzyć, będzie to, że Ziemkiewicz i jemu podobni upomną się o moje prawo głosu. Wszystko, co robią od lat, z wykorzystaniem instytucji państwa, służy temu, żeby ten głos skutecznie uciszyć i wykluczyć.

Może najwyższa pora oduczyć się bezradności w nazywaniu rzeczy po imieniu; faszyzm i antyfaszyzm to nie dwa „odmienne" równoważne poglądy. W świecie antyfaszyzmu nie ma miejsca tylko dla faszystów. Faszyści natomiast odmawiają prawa głosu (najpierw) czy istnienia całym grupom, społecznościom. Faszyści przejmują liberalne zaklęcia i zamieniają w pałki, którymi walą nas po głowach. A liberałowie kiwają ze zrozumieniem głową: „Tak, tak, wolność słowa to wolność słowa, tylko ta lewica zła".

Jak dobrze nie być liberałem.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Zuzanna Muszyńska

Oksford dla wybranych

Liczba młodych Europejczyków próbujących dostać się na studia w Wielkiej Brytanii spadła o co najmniej 40%

Po wydaleniu Rafała Ziemkiewicza z Wielkiej Brytanii w mediach społecznościowych zaroiło się od wyrazów sympatii dla Anglików. Chwalono ich za zdecydowane działanie wobec szerzącego mowę nienawiści dziennikarza. Padły również pytania o to, skąd redaktor Ziemkiewicz wziął astronomiczną sumę na kształcenie córki w Anglii. Odpowiedź brzmi: pojechała, bo jest wybitnie zdolna albo bogata. Wraz z wejściem w życie pobrexitowej umowy handlowej skończył się czas licznych wypraw młodych Polaków na Wyspy, na uniwersytetach nadeszły zmiany – na gorsze.

Liczba młodych Europejczyków próbujących dostać się na studia w Wielkiej Brytanii spadła o co najmniej 40% (dane z UCAS – Universities and Colleges Admissions Service). DataHE podaje, że studia na pierwszym roku rozpocznie 11 390 studentów z Unii Europejskiej, czyli o 59% mniej niż w roku ubiegłym. Mark Corver, jeden z założycieli DataHE, twierdzi, że rekrutacja z takich krajów jak Polska czy Bułgaria zmalała aż o 80%.

Rekrutacja z takich krajów jak Polska czy Bułgaria zmalała aż o 80%.

Diabeł tkwi w taryfikatorach opłat za studia, w których młodzież z krajów unijnych przeniesiono z rubryki „Home/EU" do „Overseas". Dla Polaków, Bułgarów, Niemców, Szwajcarów i innych przybyszów zza Kanału Angielskiego oznacza to nawet czterokrotny wzrost czesnego. Dotychczas płacili tyle samo, ile musieli płacić studenci krajowi, nieco ponad 9 tys. funtów za rok lub więcej w zależności od kierunku studiów i uczelni (w Anglii nie ma studiów za darmo). Teraz zapłacą tak jak Chińczycy, Hindusi, Amerykanie czy Australijczycy – od 10 tys. do 38 tys. funtów rocznie, i to z własnej kieszeni, gdyż rząd brytyjski wstrzymał udzielanie Europejczykom preferencyjnych pożyczek studenckich. Tym samym przed wieloma chętnymi na studia furtka się zatrzasnęła. Na placu boju pozostali studenci krajowi, absolwenci elitarnych liceów z całego świata, bogacze oraz grupa aktywistów z Polski i Węgier, którym chce się walczyć o wspólną przyszłość dla młodych ludzi po obu stronach kanału.

Świetlana przyszłość nie dla wszystkich

W 2003 r., przed wejściem Polski do Unii Europejskiej, studia w Wielkiej Brytanii rozpoczęło 85 Polaków. Rok później przyjęto na brytyjskie uczelnie 499 osób z Polski. W roku akademickim 2018-2019 liczba polskich studentów doszła do 7,5 tys. Na 2,38 mln studiujących 140 tys. pochodziło z krajów Unii Europejskiej, Europejskiego Obszaru Gospodarczego lub Szwajcarii, 340 tys. z innych części świata.

Polaków przyciąga luźne podejście brytyjskich wykładowców do studiujących, chwalą też doskonałe wyposażenie uczelni i dużą liczbę zajęć praktycznych. Wielu korzysta z możliwości rocznego stażu w trakcie studiów w takich firmach jak BBC, Google czy Rolls-Royce. Zajęcia odbywają się najczęściej przez trzy dni w tygodniu, można więc pogodzić studia z pracą. Sesje egzaminacyjne zastępują eseje lub projekty zaliczeniowe, często grupowe. Można rozwijać zainteresowania w legendarnych *societies* lub udzielać się w prężnie działających zrzeszeniach studenckich. Wysoko punktowane szkoły wyższe z Russell Group są w ścisłej czołówce tych, które wybierają prymusi z Polski. Z roku na rok przybywa Polaków studiujących na Oxbridge (Oxford/Cambridge Universities) i innych przodujących uczelniach.

Liczba studentów zagranicznych w Wielkiej Brytanii rośnie nieprzerwanie od początku tego wieku. W pierwszej dekadzie podwoiła się do 240 tys. osób, pozostając na tym poziomie przez kolejne dziesięć lat. Od 2000 r. na brytyjskich kampusach dominują Chińczycy, w tej chwili uczy się ich na Wyspach 100 tys. Przy napiętych relacjach z Chinami można się spodziewać nacisków na rząd brytyjski, by przymknął oko na pacyfikację Hongkongu czy złe traktowanie muzułmańskich Ujgurów – w przeciwnym razie chińska młodzież dostanie nakaz powrotu do kraju.

Edukacja to doskonały towar eksportowy, jej wkład w brytyjską gospodarkę wynosi obecnie 19,9 mld funtów, z czego dwie trzecie pochodzi ze szkolnictwa wyższego i w dużej mierze wiąże się z kształceniem studentów zagranicznych. Rząd Borisa Johnsona zakłada w Planie Edukacji Międzynarodowej, że do 2030 r. Wielka Brytania będzie przyjmować 600 tys. studentów zagranicznych rocznie, co przyniesie dochody w wysokości 35 mld funtów.

W 2016 r., po referendum brexitowym, zanotowano spadek dochodów uczelni, co skłoniło je do szukania nowych kontaktów w krajach pozaunijnych. Od roku akademickiego 2018/2019 liczba studentów z Unii Europejskiej zaczęła maleć. Przewidywano, że po brexicie liczba studiujących na pierwszym roku Europejczyków spadnie o połowę i tak teraz się dzieje. Jak podaje Study.eu, młodzi ludzie ruszają w kierunku Holandii, Niemiec, Francji, Irlandii i Szwecji, aby tam studiować.

Większe wpłaty od mniejszej liczby studentów to dla uczelni relatywnie mało bolesna strata (w tym roku mówi się o spadku dochodów o ok. 60 mln funtów), za to wyższy komfort nauczania – tak bronią pobrexitowego systemu opłat jego zwolennicy. Podkreślają też, że przybędzie miejsc w brytyjskich szkołach dla Brytyjczyków. Jakie argumenty kładli na stole

eprasa.pl 7de9e900b2

Studenci cenią sobie atmosferę uniwersyteckiego kampusu Oksfordu.

młodzi Polacy, których Anglia chciała, a teraz już nie chce?

Do Anglii za wszelką cenę?

Przede wszystkim słusznie zabiegali o to, by aktualnie studiujący nie znaleźli się w brexitowym potrzasku: albo wydajesz od nowego roku akademickiego majątek na dalszą naukę, albo przenosisz się na studia gdzie indziej. W 2020 r., kiedy decydowały się losy zarówno polskich, jak i europejskich studentów, o ich prawa upominały się rozmaite organizacje studenckie, a wśród nich #SaveEUStudents, której przewodniczył Dominik Frej, ówczesny prezydent Federacji Polskich Stowarzyszeń Studenckich w Wielkiej Brytanii. Działania #SaveEUStudents oparto na trzech filarach – polskim, europejskim i brytyjskim. – Próbowaliśmy stworzyć pilotażowy program finansowania studiów w Wielkiej Brytanii przez polski rząd – mówi Dominik. – Prowadziliśmy rozmowy ze spółkami skarbu państwa, niestety bez większego sukcesu.

Z pomocą ambasady RP w Londynie studenci wywierali naciski na rząd brytyjski, który nie śpieszył się z publikacją planów na kolejne lata akademickie. W połowie 2020 r. minister ds. uniwersyteckich Michelle Donelan ogłosiła, że od roku akademickiego 2021/2022 nowym studentom z Unii nie będzie przysługiwać status krajowych, zapłacą więcej, stracą dostęp do pożyczek i nie wjadą bez wiz. Już studiującym przyznano ciągłość praw do maksymalnie pięciu lat nauki pod warunkiem posiadania statusu tzw. osoby wstępnie osiedlonej (ang. *pre-settled status*).

Ci, których nie objęły powyższe zasady, zapłacą w przeliczeniu na złotówki od 54 tys. do ponad 200 tys. za rok studiów (na kierunkach medycznych ponad 300 tys.). – Należy pamiętać, że studenci muszą jeszcze z czegoś się utrzymać, opłacić wizę i ubezpieczenie zdrowotne – wylicza Antoni Prus, obecny prezydent Federacji Polskich Stowarzyszeń Studenckich w UK. – W zależności od miasta koszty utrzymania to 6-10 tys. funtów rocznie. Już w tym roku zaobserwowaliśmy znaczny spadek liczby studiujących. Klub polskich studentów w Cambridge co roku organizuje wrześniowe spotkania dla rozpoczynających studia. Przed brexitem pojawiało się na nich ok. 40 osób. W tym roku przyszło pięć. To mówi samo za siebie.

Organizacja #SaveEUStudents przy okazji nagłaśniania swojej kampanii w Brukseli występowała również w obronie studentów brytyjskich, którym groziła utrata dostępu do europejskiego programu wymiany międzyuczelnianej. Aktywistom pomogła prof. Danuta Hübner, przy jej udziale powstał list, pod którym podpisało się ponad 100 europosłów. – Wielka Brytania korzystała z niemałych funduszy na badania naukowe. Postulowaliśmy, aby część tych pieniędzy dalej płynęła do brytyjskich szkół wyższych w zamian za korzystne warunki studiowania dla Europejczyków. Nic za darmo – tłumaczy Dominik Frej.

Pod koniec grudnia 2020 r. rząd miał dla brytyjskiego świata nauki złą wiadomość: koniec z Erasmusem.

Turing zamiast Erasmusa

– Erasmus pozwala poznawać nowe kultury, uczy samodzielności, inspiruje – podkreśla Dominik. – Co będzie, jeśli każdy zostanie u siebie? Bez dialogu nie ma współpracy, a bez współpracy – rozwoju.

Sam stawia na mobilność, obecnie uczy się na Uniwersytecie Teksańskim w Austin. Wróci do Anglii dokończyć studia inżynieryjne na Queen Mary University w Londynie. – Studenci korzystają z kontaktów, które ponawiązywali – mówi. – Ale brexit to również ogromna strata dla Wielkiej Brytanii, odpływ potencjału młodych z Europy. Tak nie powinna wyglądać polityka w XXI w.

Młodzież z krajów unijnych przeniesiono z rubryki „Home/EU" do „Overseas". Oznacza to nawet czterokrotny wzrost czesnego.

Erasmus funkcjonuje od 1987 r. Oferuje wymianę studentom i pracownikom naukowym, kształcenie zawodowe, wolontariaty i programy sportowe. Do 2020 r. na program wydano 15 mld euro, z czego miliard trafił do UK. Tyle samo przyznano Wielkiej Brytanii na kolejne siedem lat, do wykorzystania przez 250 tys. studentów. Brytyjczycy jednak nie ulegli pokusie.

Tej jesieni rusza Turing, pilotażowy program brytyjski ze 100-milionowym budżetem i 35 tys. miejsc na całym świecie. Wyjadą studenci, ale nie nauczyciele akademiccy, chyba że jako osoby towarzyszące. Inna niekorzystna zmiana to wycofanie z programu

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7de9e900b2

wsparcia dla kursów zawodowych. Nie ma w nim miejsc dla tancerzy, kucharzy, rzeźbiarzy. Nie ma też wymiany – to program jednostronny, fundusz rządowy, z którego wypłacane są stypendia na przejazd, wizę i pobyt, ewentualnie czesne na płatnej uczelni. Program nie obejmuje studiujących w Anglii Europejczyków. W organizowaniu wyjazdów ma pomagać British Council dzięki swoim placówkom na całym świecie. Boris Johnson zachwycał się globalnością brytyjskiego Turinga, tymczasem Unia Europejska już rozszerza swojego Erasmusa+ na cały świat.

W tworzenie Erasmusa bardzo angażowali się Irlandczycy. Będąc członkami Unii, pozostaną w programie, a swoim szczęściem chcą się podzielić z resztą wyspy. Rząd irlandzki sfinansuje uczestnictwo studentów z Irlandii Północnej w Erasmusie+, przeznaczając na to 2,1 mln euro rocznie. – Inwestujemy w relacje pomiędzy północą a południem, w następne pokolenia i – jak sądzę – w sensowne metody współpracy po brexicie – mówił Simon Harris, minister ds. szkolnictwa wyższego, innowacji i badań naukowych w Dublinie.

Szkotów nikt nie przygarnął. Pobrexitowe zmiany na szkockich uczelniach najbardziej zabolą studentów unijnych, którzy nie płacili nic, a teraz ich czesne wzrośnie do sum opłacanych przez resztę studentów zagranicznych. Już zanotowano spadek rekrutacji z UE o 64%. Ale nie wszystkich to martwi. Napływ Europejczyków od lat zamykał wielu Szkotom drogę do darmowej nauki. Teraz nadchodzi dla nich era „studiów narodowych", oczywiście w towarzystwie bogaczy z zagranicy, jak w Anglii.

Rząd brytyjski wstrzymał udzielanie Europejczykom preferencyjnych pożyczek studenckich.

Polacy nie ustają w walce. Antoni Prus: – Przygotowaliśmy razem z węgierskimi studentami petycję do Parlamentu Europejskiego. Prosimy w niej o stworzenie programu na wzór Erasmusa dla studentów z UK i UE. Rządy Wielkiej Brytanii i Unia Europejska miałyby pokryć koszty czesnego, wizy i ubezpieczenia oraz pomóc studentom w kosztach życia na kampusie. Petycja zyskała aprobatę Komisji Petycji PE. Kolejnym krokiem jest zbieranie dla niej społecznego poparcia, potem nastąpi głosowanie nad petycją w europarlamencie. Według naszych ustaleń ma to nastąpić na przełomie roku. Jesteśmy dobrej myśli co do losów petycji w PE, natomiast nie wiemy, jak do tego rozwiązania odniesie się Komisja Europejska.

Na korytarzach Oksfordu

Wiosną 2020 r. Paweł Piwek wrócił z Anglii. Przyleciał wyczarterowanym przez polski rząd samolotem, by podczas pandemii studiować z domu. Zdalnie skończył kurs matematyki na King's College w Cambridge. Potem zajął się nową dziedziną – programowaniem i uczył matematyki polskich 11-latków. Wolny czas poświęcał na podróże ze znajomymi. W tym czasie w Anglii na dobre rozkręcał się brexit.

Kilka lat wcześniej jako stypendysta ADAMED SmartUp i uczestnik prestiżowego obozu Canada/USA Mathcamp Paweł przebierał w ofertach edukacyjnych. Nie brakowało chętnych do pozyskania jego talentu i sponsorowania dalszego rozwoju. Na kurs matematyki w Cambridge, uważany za najlepszy w Europie, dostał się bez problemu. Brytyjską akademię ocenia wysoko za doskonały poziom nauczania i bogatą ofertę życia studenckiego. Za otwartość i tolerancję. Po roku w Polsce zdecydował, że wraca do Anglii. Tym razem wybrał Uniwersytet Oksfordzki, a na nim studia doktoranckie.

Jako działacz studencki główny organizator XIII Kongresu Polskich Stowarzyszeń Studenckich w Wielkiej Brytanii powinien pamiętać, że nie dla Polaka Oksfordy, jeśli nie zadba o papierki. Ale on cieszył się życiem, Polską, rozwijał się... Nie pojawił się w Anglii w drugim półroczu 2020 r. i – choć mieszkał tam wcześniej kilka lat – nie mógł się ubiegać o *pre-settled status*, a bez niego o pożyczkę. Trafił na listę rezerwową kandydatów, bo kilkuset tysięcy złotych na czesne też nie mógł wyłożyć. W końcu uniwersytet przyznał mu wystarczająco wysokie stypendia, ale o wizę i ubezpieczenie zdrowotne musiał starać się sam. Koszt – 15 tys. zł.

Paweł i córka redaktora Ziemkiewicza być może spotkają się na korytarzach Oksfordu. Obojgu udało się przekroczyć granice, które rząd brytyjski przesunął dokładnie tam, gdzie chciał. Z pozdrowieniami od populistów znad Tamizy – dla populistów nad Wisłą.

Zuzanna Muszyńska

eprasa.pl 7de9e900b2

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Pająk

Alfred Łaszowski był przed wojną działaczem Obozu Narodowo-Radykalnego i krytykiem literackim, który współpracował z czasopismem „Prosto z mostu". Podobno nawet uczestniczył w antyżydowskich pogromach. Napisał sensacyjną powieść o szefie warszawskiego gestapo, który wszedł w sieć powiązań z pewnym Polakiem. Okazuje się, że powieść nie jest czystą fikcją. W odnalezionych niedawno w archiwum Stasi aktach Alfreda Spilkera, szefa niemieckiego wywiadu, odpowiedzialnego za rozbicie wielu warszawskich struktur AK, Łaszowski wymieniany jest jako cenny agent gestapo. Ojciec znał go dobrze jeszcze z jego ONR-owskich czasów i długo nie mógł mu wybaczyć przeszłości, w końcu jednak mu wybaczył, bo uznał, że się zmienił. Łaszowski pisał z entuzjazmem o moich wierszach. Sto lat temu piłem z nim herbatę, kawy jeszcze nie pijałem, w kawiarni na placu Unii Lubelskiej. Wielu niedawnych zdarzeń nie pamiętam, a to świetnie, jakbym zrobił nam kilka zdjęć (poznałbym go na ulicy, teraz już na Polach Elizejskich). Jakie to szczury wychodzą z nor odległej przeszłości, czuję dreszcz przerażenia i obrzydzenia.

Na tym samym placu Unii, ale po drugiej stronie, spotykam się teraz w kawiarni z ukraińskim wydawcą, chce opublikować wiersze ojca. I upamiętnić miejsce jego narodzin we wsi Korolówka, blisko Tarnopola, gdzie mieszka. Rozmawiamy o Ukrainie, która jakoś daje sobie radę ekonomicznie, jest silny podział na ukraiński wschód, niekoniecznie prorosyjski, tylko niezdeklarowany narodowo, oraz ukraińskie ziemie dawnej Galicji i zachód. Ale u nas też jest wyraźny podział na wschód i zachód, ten zachód jest liberalny, a wschód konserwatywno-prawicowy, to nawet uwidacznia się w procentach zaszczepionej populacji, a spiskowe teorie i ruchy antyszczepionkowe dobrze się mają na wschodzie, podobnie jak wiara w spisek smoleński.

•

W przychodni na pobliskiej Strusiej; przyjaźnię się z lekarzem internistą, co trochę łagodzi stres tego tłocznego i mało przychylnego człowiekowi miejsca. Ale i tak na USG brzucha zapisano mnie na marzec przyszłego roku. Dobre! Trochę się sypię, ale delikatnie i stopniowo, za wysoki cukier, ale nie drastycznie, w biodrach zmiany, będą do wymiany, wymieniłbym głowę, męczę się z nią, jestem jednak do niej przywiązany.

•

Zaskakująca przesyłka. Czytelniczka moich felietonów w PRZEGLĄDZIE przez redakcję tygodnika przesłała mi tom wojennych dzienników Zofii Nałkowskiej. Pisałem, jak je cenię i jak je straciłem, pożyczając komuś, i jak cierpię z tego powodu. Podobnie przesłano mi kiedyś „Spiżową bramę" Tadeusza Brezy, to był z kolei czytelnik. Wzruszające.

•

Na granicy białorusko-polskiej spotykają się dwie podłości – żulika Łukaszenki i ojczysta pisowska. To nie jest dla Polski łatwa sytuacja, granica nie może być otwarta, ale to, co robi PiS, jest w fatalnym, niegodziwym stylu. Polska Jana Pawła II, kraj Solidarności – i co? To wielka sztuka pogodzić ochronę granic i pomagać potrzebującym, do tego trzeba delikatnych narzędzi, a PiS to krokodyl. Przy tym okazuje się, że nie mamy żadnej polityki imigracyjnej. A przecież gwałtownie potrzeba nam przybyszy ze świata, bo Polska się starzeje, wyludnia i brakuje rąk do pracy. Upodabniamy się w tym do krajów Europy Zachodniej, które musiały przyjąć miliony ludzi z całego świata, by nie podupaść ekonomicznie. Na razie sytuację u nas ratują Ukraińcy. Z punktu widzenia przyszłości kraju bardzo by się przydali przybysze z odległych regionów świata, różnorodność to bogactwo. Polska jest nudna w swojej jedności etnicznej, pomyśleć – przed wojną Rzeczpospolita wielu narodów. Ale PiS boi się ludzi odmiennych, że zabrudzą Polaka słowiańskiego i narodowego.

•

R. poznałem dzięki depresji, moje z nią problemy zbliżyły go do mnie, też się z tym boryka. Młodszy ode mnie, ciekawy, poszukujący, wybitny specjalista od samochodów. Niemal codziennie wymienialiśmy się listami na Messengerze. Od trzech tygodni milczy, jego telefon też milczy. Nie mam kontaktu z jego partnerką, nie mamy wspólnych znajomych, nie wiem, jaki jest jego adres zamieszkania, nie mogę więc pojechać do jego domu z czarną kropką niepokoju pod znakiem zapytania. Dzisiaj, gdy przez wiele dni nie można z kimś się skontaktować, przychodzą do głowy najgorsze myśli. A wszyscy jesteśmy zagrożeni nieistnieniem. Przemykamy się chyłkiem przez życie. Kiedy przystajemy, śmierć łasi się do nas jak czarny kot, który chodzi własnymi drogami.

•

Idąc spać, zobaczyłem na prześcieradle pająka tak wielkich rozmiarów, że zastygłem ze zdumienia, nie wierząc własnym oczom. On też zastygł. Patrzyliśmy przez chwilę na siebie zdumieni sobą. Dwie nagie i bezbronne istoty na jednej planecie, która kręci się wokół własnej osi i nic o nas nie wie.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

POTĘGA BEZ MILITARNYCH AKTYWÓW

Jak Angela Merkel rozbrajała niemiecką armię

Marcin Ogdowski

Przekonanie o sile niemieckiej gospodarki jest w Polsce powszechne i niezależne od preferencji wyborczych. Towarzyszy mu pewność, że tak było „od zawsze". Tymczasem 16 lat temu – gdy urząd kanclerza obejmowała Angela Merkel – Niemcy pozostawały najwolniej rozwijającym się krajem grupy G7. Miały 11-procentowe bezrobocie i strukturę gospodarki w dużym stopniu opartą na tradycyjnym przemyśle. Władze federalne zdawały się przytłoczone finansowymi skutkami zjednoczenia, wydatki publiczne z trudem dźwigały – jak z przyganą mówiono w niemal całej Europie – „rozbudowany socjal". Sami Niemcy widzieli przyszłość w ciemnych barwach, bardziej przejęci wizją niedostatku niż słabnącej pozycji międzynarodowej ich państwa. Ono jednak okazało się zadziwiająco wytrzymałe i nieźle przygotowane na trudne czasy, jakie nastały wraz z globalnym kryzysem z 2008 r. Państwowy interwencjonizm uratował gospodarkę przed większymi kłopotami, pozwalając jej ponowie rozwinąć skrzydła. Dziś bezrobocie utrzymuje się poniżej 6%, a niemieckie firmy – mimo pandemii – wciąż otwierają kolejne biznesy za granicą. Specjaliści widzą w tym zasługę ustępującej kanclerz i dodają, że Merkel umiejętnie przekuła sukcesy gospodarcze w polityczne korzyści. RFN znów bowiem cieszy się niekwestionowaną pozycją europejskiego lidera i gracza wagi światowej. W tym samym czasie większość niemieckich żołnierzy opuszcza szeregi armii. Wielu ma dość służby w siłach zbrojnych będących cieniem samych siebie sprzed lat.

Bundeswehra w dniu zjednoczenia Niemiec miała 585 tys. żołnierzy – trzy razy więcej niż obecnie.

Afgański test i parodia wojska

Bundeswehra powstała w 1955 r. i przez ponad 40 lat funkcjonowała jako armia przewidziana do obrony przed zmasowanym atakiem ze wschodu. W dniu zjednoczenia Niemiec miała 585 tys. żołnierzy – trzy razy więcej niż obecnie. Dysponowała silnym lotnictwem i potężnymi wojskami pancernymi. Wraz z końcem zimnej wojny siły zbrojne zaczęto poddawać redukcjom, zmieniono też ich charakter.

eprasa.pl 7de9e900b2

Jeszcze w 1991 r. Berlin nie zdecydował się na udział w antyirackiej koalicji; rząd bał się reakcji pacyfistycznie nastawionego społeczeństwa. Rok później – gdy wojna zawitała do Europy – Niemcy posłały żołnierzy w ramach sił pokojowych do Bośni. Ówczesny kanclerz Helmut Kohl zapowiedział zwiększanie zaangażowania armii w misje międzynarodowe, co skutkowało przebudową Bundeswehry w formację w większym stopniu ekspedycyjną. Rozpoczęta w 2001 r. operacja NATO w Afganistanie okazała się ogromnym wyzwaniem. Armia, której kilka dekad wcześniej bał się cały świat, nie była w stanie skompletować wyposażenia dla kilku tysięcy żołnierzy. Ze sprzętu ogałacano więc jednostki, które pozostały w kraju. A i tak część wyposażenia wojskowi nabywali za własne pieniądze, narzekając na magazynowe sorty jeszcze z lat 60. Na miejscu Niemcom długo doskwierał brak odpowiedniej broni – dopiero po kilku latach rząd zdecydował się wysłać do Afganistanu haubice, którymi można było odpowiadać na talibskie ataki rakietowe.

Do problemów z ekwipunkiem doszły jeszcze koszmarne wpadki. We wrześniu 2009 r., na rozkaz niemieckiego oficera, amerykańskie samoloty zbombardowały w Kunduzie dwie cysterny uprowadzone wcześniej przez rebeliantów. Nim bomby spadły, talibowie się wynieśli – wybuchy zabiły 142 cywilnych Afgańczyków. Rok później, we wsi Mula Kuli, nieopodal bazy z ponad tysiącem Niemców, rebelianci ukamienowali parę młodych ludzi. Ich związek uznano za nieobyczajny, pastwiono się nad nimi kilkadziesiąt minut. Wojskowi z Bundeswehry nie wytknęli nosa z obozowiska.

„Po co tam jesteśmy?", pytały niemieckie media. 59 żołnierzy Bundeswehry poległo, tylko niewielu w bezpośredniej walce. Wedle własnych zasad Niemcy mogli co najwyżej się bronić. Jeden z amerykańskich generałów nazwał ów stan „parodią wojska", co w gruncie rzeczy bliskie było prawdy. Lecz dużo gorsze – z perspektywy mundurowych – procesy zachodziły w kraju. Pod pozorem kryzysowych oszczędności w latach 2010-2014 budżet armii obcięto o ponad 8 mld euro. A od 2011 r. było to już wojsko zawodowe, wymagające zatem większych wydatków osobowych. Finansową zapaść najlepiej oddają liczby (z uwagi na historyczny kontekst podane w dolarach) – w 1980 r. RFN przeznaczyła na siły zbrojne 25,5 mld dol., co stanowiło 3% PKB. W 1990 r. było to odpowiednio 40,4 mld i 2,6%, w 2000 r. 26,9 mld i 1,4%, a w 2010 r. 44,8 mld i 1,3%. Wielkość wydatków na obronność względem PKB zmniejszyła się zatem niemal dwuipółkrotnie, co przy spadku siły nabywczej pieniądza oznaczało coraz mniejszą pulę dostępnych środków. Kilka lat później stało się to przedmiotem międzynarodowych kontrowersji, prezydent Donald Trump mówił wprost: „Niemcy (…) są bardzo nieuczciwe w swoim finansowym wkładzie w NATO, bo przeznaczają tylko 1% PKB na obronność, a powinne przeznaczać 2%. A nawet te 2% to bardzo mało. (…) Oszukują nas na miliardy dolarów już od lat".

W świecie dyplomacji problem niemieckiej armii definiowano jako „jazdę na gapę".

Rząd w Berlinie planuje przeznaczyć na wojsko 1,57% PKB.

Skala technicznej degrengolady

Donald Trump nie był wzorem powściągliwości, ale miał sporo racji. W świecie dyplomacji problem niemieckiej armii definiowano jako „jazdę na gapę". „Niemcy czerpią z dywidendy pokoju", mówiono w NATO, oczekując od Berlina większego wkładu we wspólne wysiłki obronne. Wspomniane 2% PKB ustalono jako wymóg w 2014 r., po rosyjskiej agresji na Krym i wschodnią Ukrainę. Działania Moskwy – choć nie zagroziły bezpośrednio żadnemu krajowi Sojuszu – zinterpretowano jako powrót na ścieżkę zimnowojennej konfrontacji. „NATO musi się obudzić i ponownie uzbroić", zadeklarowano na szczycie państw członkowskich w Walii. Poza USA – które tradycyjnie łożyły na wojsko gigantyczne kwoty – poziom 2% PKB zdołały przekroczyć Bułgaria (3,2%), Grecja (2,3%), Wielka Brytania i Estonia (2,1%), a osiągnąć Rumunia, Litwa, Łotwa i Polska. W Niemczech wydatki również zaczęły rosnąć (w 2014 r. wynosiły 33 mld euro), lecz masę pieniędzy przeznaczano na zakup nowego sprzętu – samolotów Eurofighter, wielozadaniowych okrętów MKS-180 czy śmigłowców NH-90. Koszty tych programów były na tyle wysokie, że Bundeswehra na kilka lat zrezygnowała z nabywania części zamiennych, niezbędnych do utrzymania już posiadanego wyposażenia.

„Armia jest w złym stanie", alarmował w 2017 r. Jochen Both, emerytowany niemiecki generał. „Czy dalibyśmy radę obronić własny kraj i sojuszników? Oczywiście, że nie. W przypadku rosyjskiego ataku bez ogromnego wsparcia Amerykanów nie przetrwalibyśmy", przekonywał w magazynowym wydaniu „Bilda". Fakt, iż głosu udzieliła mu bulwarówka, służby prasowe rządu wykorzystały do zdeprecjonowania tej opinii. Szczególnie że Both wprost zaatakował niemiecką kanclerz. „Jestem rozczarowany Angelą Merkel. W czasie jej rządów została zaniedbana poważna i długotrwała debata o tym, co może i musi robić Bundeswehra. Przez te lata nie wzrosło też społeczne zaufanie do armii", mówił. Czas przyznał mu rację.

Raport, którego fragmenty ujawniono w 2018 r., pokazywał porażkę polityki kadrowej. Nieobsadzonych pozostawało 10% etatów – wojsku, postrzeganemu jako niezbyt atrakcyjne miejsce pracy, brakowało ponad 20 tys. ludzi. Dokument obnażył jednocześnie skalę technicznej degrengolady Bundeswehry. Oficjalnie armia posiadała 244 czołgi Leopard 2, ale tylko 176 znajdowało się w jednostkach, a przeciętnie 105 wozów miało pełną zdolność operacyjną. W tym miejscu warto przypomnieć, że 249 czołgów

FOT. BUNDESWEHR/TOM TWARDY

eprasa.pl 7de9e900b2

przekazano Polsce (pierwszą partię w latach 2002-2003, drugą – 2014-2015), gdzie stanowią one trzon sił pancernych. Wozy starszej generacji (A4) trafiły do Wojska Polskiego za symboliczną kwotę, nowsze (A5 z drugiej transzy) kosztowały budżet Rzeczypospolitej 180 mln euro. Niezależnie od tego oba zakupy należy rozpatrywać w kategoriach niezwykłej okazji, Niemcy pozbyły się bowiem pełnowartościowego sprzętu. Wróćmy jednak do raportu – w przypadku haubic PzH 2000 na stanach konkretnych oddziałów spośród nominalnych 121 egzemplarzy znajdowało się 75 sztuk, w gotowości do użycia zaledwie 42. Imponująca flotylla eurofighterów (128 maszyn) w dwóch trzecich okazała się nielotna. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja w przypadku uderzeniowych samolotów Tornado – spośród 93 będących rzekomo w linii latało przeciętnie 26. Z 52 szturmowych śmigłowców Tiger o pełnej sprawności można było mówić w przypadku 12 helikopterów. Dodajmy do tego chlubę niemieckiej marynarki wojennej – okręty podwodne typu 212. Żaden z czterech u-bootów nie był w stanie wypłynąć w samodzielny rejs. A to tylko przykłady.

„Jest źle, trzeba to zmienić", przyznała wówczas Angela Merkel. Wydatki wzrosły – w 2019 r. osiągnęły poziom 51,4 mld euro, w kolejnym roku – 53 mld. W przyszłorocznym budżecie rząd w Berlinie planuje przeznaczyć na cele obronne równie pokaźną sumę, ale to wciąż ledwie 1,57% PKB. Widać wyraźnie, że niemiecka kanclerz nawet w perspektywie odejścia z urzędu tylko nieznacznie koryguje jedną ze swoich politycznych zasad – schlebianie pacyfistycznym nastrojom większości niemieckiego społeczeństwa.

Bundeswehra w służbie… Polski

W przyszłości raczej nie należy spodziewać się kolejnych budżetów na poziomie 2% PKB. Kształt polityki bezpieczeństwa będzie efektem kompromisów, a i socjaldemokraci, i Zieloni opowiadają się za utrzymaniem obecnej skali wydatków, zbliżonych do 1,6%. Co więcej, Zieloni i część SDP sprzeciwiają się dalszemu udziałowi Niemiec w tzw. nuklearnej partycypacji (ang. *nuclear sharing*). To stary natowski program, wywodzący się jeszcze z czasów zimnej wojny. USA rozlokowały wówczas w Europie Zachodniej broń atomową jako straszak na Związek Radziecki. Po 1991 r. większość głowic wróciła za ocean, ale ponad setka bomb pozostała we Włoszech, w Turcji, w Belgii, Holandii i w Niemczech. Kontrolę nad nimi sprawują Amerykanie, jednak w razie potrzeby ładunki zostaną przekazane miejscowym siłom powietrznym. W przypadku RFN 33. Pułkowi Lotnictwa Taktycznego Luftwaffe, stacjonującemu w bazie lotniczej Büchel w Nadrenii-Palatynacie. Piloci tej elitarnej jednostki od dekad szkolą się w zrzucaniu „atomówek". W latach 80. XX w. pułk wyposażono w samoloty Tornado, które mają zostać wycofane ze służby do 2030 r. Berlin zapowiedział już kupno następców – 45 amerykańskich F-18 – ale nie sposób wykluczyć, że z tej decyzji się wycofa. Otwarte wypowiedzenie udziału w *nuclear sharing* jest mało prawdopodobne z uwagi na koszty wizerunkowe (pozostali sojusznicy odebraliby to jako podważenie jednej z fundamentalnych zasad NATO – koncepcji kolektywnej obrony). Co innego stopniowa redukcja personelu, spowodowana brakiem odpowiednich nośników, której towarzyszyłyby zapewne zakulisowe próby podważania sensowności projektu. Na marginesie warto wspomnieć, że niemiecką niechęć do atomu skwapliwie wykorzystałaby Polska, której obecne władze widziałyby u siebie amerykańskie głowice, w „czasie W" przeznaczone do podwieszenia pod samoloty z biało-czerwoną szachownicą.

Czyżby więc zanosiło się na ciąg dalszy „jazdy na gapę"? W niemieckiej polityce możliwe są również inne scenariusze, łącznie z wielką koalicją wygranych (SPD-CDU/CSU). I w tym kontekście warto wspomnieć o deklaracji obecnej minister obrony RFN. Annegret Kramp-Karrenbauer podczas spotkania z polskim odpowiednikiem przyznała, że ambicją Niemiec jest posiadanie do 2030 r. sił zbrojnych stanowiących 10% potencjału obronnego NATO. Specjaliści wątpią w tak szybką odbudowę Bundeswehry, co nie zmienia faktu, że dziś jest ona trzecią (po armiach Francji i Włoch) siłą wojskową w zjednoczonej Europie. I choć wcale nie odpowiada to politycznej pozycji Berlina, nie zapominajmy o potencjale ludnościowym, bazie przemysłowej oraz możliwościach inwestycyjnych Niemiec. Zwłaszcza dwa ostatnie czynniki sprawiają, że RFN – w razie realnego zagrożenia – byłaby zdolna stosunkowo szybko osiągnąć pozycję wojskowego lidera w Unii Europejskiej.

48% Polaków i 51% Niemców jest przekonanych, że zwiększenie niemieckich wydatków na obronność przysłuży się bezpieczeństwu Polski.

Czy stanie się to ze szkodą dla Polski? Jak zauważa „Die Welt", w 2020 r. Polska wyeksportowała do Niemiec towary i usługi o wartości 58,1 mld euro. Obroty handlowe między oboma krajami wyniosły 122,9 mld euro i stale rosną. Te dane nie pozostają bez wpływu na wyniki Barometru Polsko-Niemieckiego, reprezentatywnego badania postaw obywateli obu krajów. Wynika z nich, że 57% Niemców i 65% Polaków ocenia wzajemne stosunki jako bardzo dobre lub raczej dobre. Połowa tych respondentów przyczynę widzi we wspólnych interesach gospodarczych. Co istotne, obie nacje są niemal w równym stopniu zgodne w kwestii niemieckiej armii: 48% Polaków i 51% Niemców jest przekonanych, że zwiększenie niemieckich wydatków na obronność przysłuży się bezpieczeństwu Polski. „Jest to spory wyraz zaufania, bo przecież zbrodnie popełnione przez Niemców na Polakach w czasie II wojny światowej są wciąż obecne w polskiej świadomości", pisze gazeta. Jak widać, większą moc mają podzielane przez oba narody lęki związane z poczynaniami Rosji i Chin. Niewykluczone też, że Polacy nie ufają w zdolności własnej armii, od lat trapionej permanentnym kryzysem. Ale to już zupełnie inna historia…

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

Kad MERAD

David AYALA · Lamine CISSOKHO · Sofian KHAMMES · Pierre LOTTIN · Wabinlé NABIE · Alexandre MEDVEDEV · Saïd BENCHNAFA

Marina HANDS
COMÉDIE FRANÇAISE

Laurent STOCKER
COMÉDIE FRANÇAISE

FESTIVAL DE CANNES
OFFICIAL SELECTION
2020

KOMEDIANCI DEBIUTANCI

film
Emmanuela COURCOLA

W KINACH

movies room · FACETPO40.pl · BOOKLIPS.PL · Przegląd · INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl 7de9e900b2

Papiery Pandory

Obok nas istnieje równoległy świat, w którym znani i bogaci mogą omijać prawo obowiązujące zwykłych śmiertelników

Kamienica Tony'ego Blaira przy Harcourt Street 30 w Londynie.

Jakub Katulski

Zamek Andreja Babiša na Riwierze Francuskiej, londyńskie posiadłości Wołodymyra Zełenskiego czy kamienica Tony'ego Blaira – to tylko kilka odkryć dziennikarskiego śledztwa Międzynarodowego Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ), nazwanego Pandora Papers. Po raz kolejny przekonaliśmy się, że obok nas istnieje równoległy świat, w którym znani i bogaci mogą operować poza prawem obowiązującym zwykłych śmiertelników. Dziennikarze dotarli do dokumentów wyraźnie pokazujących, że światowi przywódcy, miliarderzy i inne osoby publiczne ukrywają majątek za pośrednictwem spółek *offshore* zakładanych w rajach podatkowych. Wśród 400 nazwisk nie brakuje europejskich liderów, obecnych i byłych szefów rządów, koronowanych głów czy postaci świata rozrywki, takich jak Elton John, Ringo Starr, Shakira czy Claudia Schiffer.

Większość z nich zakładała spółki i fundusze powiernicze w takich krajach jak Brytyjskie Wyspy Dziewicze, Seszele czy Panama. Lokowane tam środki były różne, a celem zwykle było nabywanie drogich posiadłości czy luksusowych dóbr na całym świecie. Bezpośrednie dokonywanie takich zakupów wiązałoby się z koniecznością ich ujawnienia w zeznaniach podatkowych i majątkowych sporządzanych na potrzeby pełnionych funkcji publicznych.

Château Babiša

Szczególnie kontrowersyjne jest zakładanie takich spółek przez polityków, zwłaszcza deklarujących, że walczą z korupcją i chcą uszczelnienia systemów podatkowych. Jedną z takich postaci jest czeski premier Andrej Babiš, który właśnie na finiszu kampanii wyborczej walczy o reelekcję.

Dziennikarzom udało się ustalić, że Babiš w 2009 r. za 22 mln dol. nabył posiadłość Château Bigaud na Riwierze Francuskiej, niedaleko Cannes. Pieniądze przekierował przez fasadowe firmy na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, w Monako i amerykańskim Dystrykcie Kolumbii, skutecznie ukrywając fakt bycia ich właścicielem.

Kiedy w 2013 r. zdecydował się na wejście do polityki, firmy te wciąż były aktywne. Mimo to nie ujawnił ich w swoim oświadczeniu majątkowym, zatajając także posiadaną za ich pośrednictwem willę wyposażoną w salę kinową i dwa baseny.

Babiš odmówił udzielenia komentarza dziennikarzom ICIJ; kiedy został zaczepiony przez reporterkę, zbył ją chłodnym milczeniem, wsiadając do samochodu. „Czy posiadał pan kiedykolwiek firmę na Karaibach? Czy mówi panu coś nazwa Blakey Finance?", pytała reporterka, której drogę zastępowali ochroniarze Babiša, zamykając dyskusję stwierdzeniem, że konferencja prasowa się zakończyła.

Premier do wyników śledztwa postanowił się odnieść na własnych warunkach podczas przedwyborczej debaty w CNN Prima News. Zbył wszelkie oskarżenia, podkreślając, że to stara sprawa, którą dzisiaj gra „dziennikarska mafia" próbująca wpłynąć na wynik wyborów. To tłumaczenie nie przekonało jednak czeskiej policji, która podała, że „podejmie działania" w sprawie nie tylko premiera, lecz także innych Czechów, których nazwiska wypłynęły w dziennikarskim śledztwie.

Londyńskie inwestycje Zełenskiego…

Inną strategię obrony przyjął ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski. Dokumenty Pandora Papers ujawniły, że zanim zakończył karierę aktorską, by oddać się polityce, wraz z partnerami biznesowymi posiadał udziały w kilku fasadowych spółkach zarejestrowanych poza granicami Ukrainy, za pośrednictwem których nabyte zostały trzy luksusowe posiadłości w centrum Londynu.

Zełenski był wówczas gwiazdą komediowego serialu. Grał w nim

eprasa.pl 7de9e900b2

nauczyciela historii, który zostaje prezydentem Ukrainy, po tym jak obiecuje zwalczyć niszczącą kraj korupcję. W pełni skorzystał z tej postaci, nazywając nawet założoną przez siebie partię polityczną tytułem produkcji – Sługa Narodu. W kwietniu 2019 r., ostatnim miesiącu przed objęciem prezydentury, przepisał zarejestrowaną na Wyspach Dziewiczych firmę Maltex Multicapital Corp., zajmującą się gromadzeniem udziałów w rynku produkcji i dystrybucji filmów, na swojego przyjaciela, scenarzystę Serhija Szefira, którego mianował prezydenckim doradcą.

Michaił Podoliak, inny bliski doradca Zełenskiego, powiedział Agence France-Presse, że sieć spółek *offshore* została założona po to, by chronić interesy filmowców przed ówczesnym prezydentem Wiktorem Janukowyczem, a śledztwo ICIJ *„de facto* udowodniło" szacunek Zełenskiego do standardów walki z korupcją. Podoliak nie odniósł się jednak do innych doniesień, sugerujących, że żona ukraińskiego przywódcy wciąż pobiera dywidendy z jednej z założonych firm.

Trudno przewidzieć, jakie mogą być dla Zełenskiego skutki tej afery. Z pewnością jednak zagrają nią polityczni przeciwnicy prezydenta. Już teraz Irina Geraszczenko, związana z pokonanym w 2019 r. prezydentem Petrem Poroszenką, mówi, że jest to jasny dowód na unikanie podatków. W następnej kampanii wyborczej śledztwo ICIJ może się okazać skutecznym narzędziem dla opozycyjnych polityków.

…i Blaira

O swoją reelekcję nie musi się martwić były brytyjski premier z Partii Pracy, Tony Blair, choć jego reputacja może ucierpieć. Blair wraz z opuszczeniem Downing Street w 2007 r. żywo zainteresował się rynkiem nieruchomości. Jak donosi BBC, w ciągu dekady wraz z żoną miał wydać ponad 30 mln funtów na 38 nieruchomości, aż w 2017 r. w oko wpadła im kamienica przy Harcourt Street w londyńskiej dzielnicy Marylebone.

Wtedy, według ujawnionych dokumentów, Blairowie zarejestrowali w Wielkiej Brytanii spółkę Harcourt Ventures Ltd., która miała się zajmować wynajmem nieruchomości. Za jej pośrednictwem jeszcze w tym samym roku małżeństwo nabyło zarejestrowaną na Wyspach Dziewiczych firmę Romanstone International Ltd., w której posiadaniu znajdowała się warta 6,5 mln funtów czteropiętrowa kamienica. W kolejnym roku spółka Romanstone została rozwiązana, a budynek przeszedł na własność firmy zarejestrowanej przez Blairów.

Dzięki temu, że Blairowie nie nabyli kamienicy bezpośrednio, mogli uniknąć zapłacenia podatku od nieruchomości, oszczędzając tym samym ponad 300 tys. funtów, gdyż brytyjskie prawo podatkowe nie wymaga wnoszenia danin przy nabywaniu firmy. To jednak samo w sobie nie miało być celem. Według byłego premiera transakcja została przeprowadzona w ten sposób na życzenie sprzedawcy, którym okazał się Zaid ibn Raszid al-Zajani, minister przemysłu, handlu i turystyki Bahrajnu.

Blairowie twierdzą jednak, że kiedy nabywali Romanstone International, nie mieli pojęcia, kto jest rzeczywistym właścicielem firmy. Dzisiaj w zakupionym przez nich budynku mieści się siedziba firmy doradczej Cherie Blair – Omnia Strategy.

Żadne prawo nie zostało złamane, ale media wytykają Blairowi, że gdy w 1994 r. został premierem, w pierwszej przemowie powiedział, że „milionerzy z odpowiednim prawnikiem nie płacą nic, podczas gdy emeryci płacą VAT, kupując paliwo".

Pożyczka „króla paczkomatów"

W aferze jest też wątek polski w postaci Rafała Brzoski, właściciela firmy InPost, której paczkomaty opanowały cały kraj. Według „Gazety Wyborczej" w dokumentach, w których pada nazwisko „króla paczkomatów", znaleźć można dowody choćby na pożyczkę 15,5 mln euro, której InPost Paczkomaty udzielił powiązanej z Brzoską zarejestrowanej na Cyprze spółce Granatana Limited w listopadzie 2018 r. Tylko po to, by miesiąc później pożyczkę umorzyć. Tym samym biznesmen sam sobie udzielił pożyczki i sam sobie umorzył dług, jak twierdzą autorzy tekstu na jego temat, Michał Kokot i Hubert Orzechowski. Celem miałoby być przeniesienie zysków na Cypr, gdzie podatki są o wiele niższe niż w Polsce.

Brzoska twierdzi zaś, że wszystkie podatki płaci w Polsce, a „ich wysokość tylko za rok 2021 wyniesie z tytułu PIT wiele milionów złotych". „Ciekaw jestem, ilu obywateli naszego kraju płaci taki podatek w macierzystym kraju", dodaje Brzoska w udostępnionym w mediach społecznościowych oświadczeniu. Zapowiedział poza tym, że podejmie kroki prawne przeciwko jego zdaniem nierzetelnym dziennikarzom.

Lista nazwisk w dokumentach Pandora Papers jest jednak o wiele dłuższa. Znajdują się na niej m.in. holenderski minister finansów Wopke Hoekstra, prezydent Czarnogóry Milo Đukanović, nowy premier Libanu Nadżib Mikati czy jordański król Abdullah II, który miał w ten sposób nabyć na całym świecie luksusowe nieruchomości warte łącznie ponad 100 mln dol.

Zatajanie majątku przed obywatelami czy wyborcami nie jest niczym nowym. Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych już w 2014 r. przedstawiło Lux Leaks, a w roku 2016 Panama Papers, które poskutkowało rezygnacją premiera Islandii, ponieważ przed objęciem urzędu nie zadeklarował on posiadanej przez siebie spółki. Kolejna tego typu afera pokazuje, że mimo deklaracji polityków, którzy zapowiadają uszczelnianie systemów podatkowych i walkę z wyprowadzaniem pieniędzy do rajów podatkowych, w istocie niewiele się zmienia.

Dopóki sami rządzący będą się włączać do systemu, z którym obiecują walczyć, pozostanie jedynie czekać na kolejny duży wyciek danych – bo ten prędzej czy później nastąpi. Na szczęście wciąż pracują dziennikarze, którzy patrzą politykom na ręce. ■

Czeska policja podała, że podejmie działania nie tylko w sprawie premiera, lecz także innych Czechów, których nazwiska wypłynęły w dziennikarskim śledztwie.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 7de9e900b2

Życie na popiołach

Czarny piasek na La Palmie pokrywa wszystko, ludzie przestali myć samochody czy zamiatać, bo to nie ma sensu

Iwona Chodorowska

Po 72 godzinach żeglowania z Madery na Wyspy Kanaryjskie nareszcie widać ląd. Pogoda nas nie rozpieszczała, mocno wiało, toteż z radością stawiam stopę na pierwszej wyspie, do której dopłynęliśmy. To znana mi z opowieści La Isla Bonita, La Palma. W porcie wita nas ognista muzyka – trafiliśmy w sam środek karnawału, zaraz po Rio najbardziej znanego na świecie. I... ostatniego, jak potem się okaże. Wybucha pandemia, rok 2021 przynosi upalne lato, a z nim pożary, wyspa płonie. Mieszkańcy są zmęczeni. I właśnie wtedy wybucha wulkan. – Czy w tym roku będzie karnawał, czy pozwoli nam na to sytuacja? Czy turystyka zamrze, czy przeciwnie, jak prognozują niektórzy, La Palma stanie się modną wyspą? Może wybierzemy opcję *carpe diem*? – rozważa jedna z wyspiarek. Tego nie wie nikt. Stary Szczyt, czyli La Cumbre Vieja, pomrukuje, chrapie, warczy. Jakkolwiek Los Palmeros zapatrywaliby się na swoje dalsze losy, dzielili na optymistów i pesymistów, to co do jednego są zgodni – tego głosu zapomnieć się nie da.

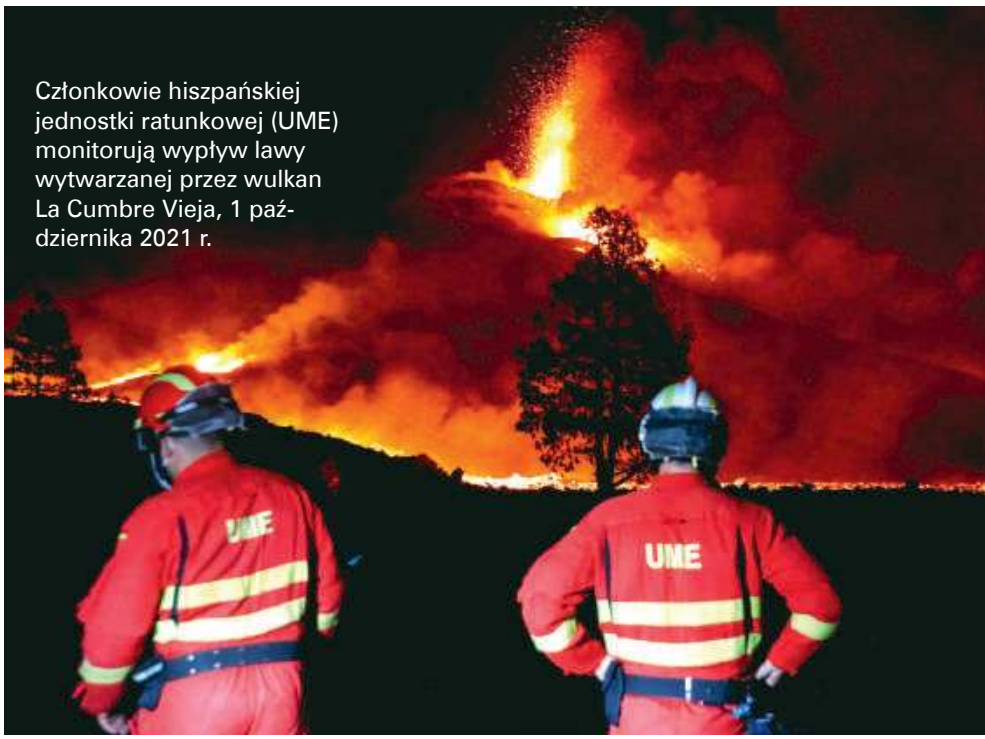

Członkowie hiszpańskiej jednostki ratunkowej (UME) monitorują wypływ lawy wytwarzanej przez wulkan La Cumbre Vieja, 1 października 2021 r.

W rytmie bum! bum!

„Wiadomości spod wulkanu 24.09. Po dość spokojnej nocy właśnie zaczęła się seria silnych wybuchów. Wyobraźcie sobie bardzo nisko lecący wielki samolot, który nagle wybucha – takie odgłosy słyszymy w Los Llanos. Krater otaczają kłęby dymu, więc widzi się tylko pomarańczową poświatę. Obawiamy się, że fale uderzeniowe mogą powybijać szyby, ale życie toczy się dalej. Szkoły zamknięte, ale restauracje i sklepy działają, ekipy pracują nad wykończeniem nowego ronda w Los Llanos. Czarny piasek pokrywa dosłownie wszystko, ludzie przestali już myć samochody czy zamiatać, bo to nie ma sensu", Sabina Barbara Lange z redakcji lapalma.pl stara się rzeczowo i bez zbytniej emfazy na facebookowej stronie grupy La Palma relacjonować dzień po dniu życie spod wulkanu. Mieszka tuż u jego stóp. Nocami wraz z innymi zahipnotyzowanymi ludźmi w milczeniu ogląda spektakl ognistych kul. Piękno i grozę.

Wulkan La Cumbre Vieja znajdujący się na zamieszkiwanej przez ok. 85 tys. osób wyspie La Palma wybuchł 19 września, wyrzucając z siebie rzeki lawy, która do dziś zdążyła dotrzeć do oceanu i utworzyć półwysep wielkości ponad 30 ha. Rozrasta się on nadal, mapy straciły zatem aktualność, zmieniła się linia brzegowa i topografia samej wyspy.

Na terenach zalanych przez lawę było kilkaset nieruchomości: domy, zabudowania gospodarcze, luksusowe wille... Jakie są dokładnie straty, na razie trudno oszacować; mówi się o prawie tysiącu budynków, lecz dopóki wulkan nie wygaśnie, rzeczoznawcy będą się wstrzymywać z oceną rozmiaru szkód. Zniszczone zostały drogi, winnice, plantacje bananów oraz rurociąg doprowadzający do nich wodę. Bliżej oceanu, na plantacjach, którym groziło wyschnięcie, trwa akcja ratowania tego, co się da, ruszają pompy odsalające morską wodę.

– Że wulkan się budzi, było wiadomo ponad tydzień przed tym, zanim zaczęła płynąć lawa. Wprowadzono żółty alert, ewakuowano osoby starsze i duże zwierzęta. Gdy góra otworzyła się i zaczęła wyrzucać lawę, ewakuowano resztę osób. Wszystko przebiegało sprawnie, panowała dyscyplina, bez paniki – mówi Karolina Bazydlo, mieszkająca 10 km od epicentrum wydarzeń.

Wyobraźcie sobie bardzo nisko lecący wielki samolot, który nagle wybucha – takie odgłosy słyszymy w Los llanos.

Ona sama została na miejscu. Mieszka w młodej wulkanicznie części wyspy, na spacery z psem

eprasa.pl 7de9e900b2

chodziła pod krater innego wulkanu, San Antonio. Teraz przestała czuć się bezpiecznie. – Wiem, że niepewność może potrwać. Zapadł się nowo powstały krater La Cumbre Vieja. Lawa, spływając, formuje wulkan od nowa, jest gorąca i świeża, tam wszystko buzuje, wszystko może się zdarzyć – opowiada Polka, która na wyspę przyjechała z Zakopanego. – Wulkan nie odpuszcza. Jest już prawie dziesięć szczelin w kraterze. W tej chwili istnieją dwa koryta, które, łącząc się w jedno, wpadają do oceanu. Najczarniejszym scenariuszem byłoby, gdyby wypłynęły kolejne strumienie lawy, zalewając następne tereny. Mamy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Żyjemy jak dawniej. U nas działają szkoły, bary, ludzie chodzą do pracy; czuć jednak narastające oczekiwanie – kiedy to się skończy. Wszędzie słychać jeden temat – wulkan. I ten odgłos. Drażniący dźwięk. Jak covidowe charczenie albo chrapanie. On warczy, pomrukuje. Szczury tresuje się falami radiowymi, czuję się teraz jak taki szczur. Ten głos słyszalny zewsząd wyprowadza mnie z równowagi. Żyję wciąż w tym samym rytmie: bum! bum! bum! bum! – kończy Karolina.

Rowerem pod kraterem?

Tuż po wybuchu wulkanu z terenów zagrożonych ewakuowano 6 tys. osób. Dlaczego aż tyle? – Część doliny Aridane połączona jest ze światem jedynie drogami na północ, teraz przeciętymi ścianą lawy – tłumaczy Sabina. – Do niektórych miejscowości nie można dotrzeć od południa. Od dawna planowano tam drogę, ale koszty przebijania tuneli były dla wyspy nie do udźwignięcia. Miejmy nadzieję, że teraz znajdą się środki.

Ewakuowano zatem ludzi nie tylko z terenów bezpośrednio zagrożonych wulkanem, ale też z części wybrzeża, która jest w tej chwili niedostępna, nie wiadomo, czy dociera tam woda i prąd.

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez, który trzykrotnie odwiedził wyspę, zapowiedział pomoc finansową dla terenów objętych stratami. Rząd w Madrycie zatwierdził dekret z dużym (niektórzy używają słowa rekordowy) pakietem pomocy, na kwotę 214 mln euro. Pieniądze zostaną wykorzystane do odbudowy infrastruktury, w tym zaopatrzenia w wodę, rolnictwa i turystyki oraz promocji zatrudnienia.

Pomoc materialna może m.in. posłużyć do wykupu mieszkań, które przeznaczone zostaną dla osób pozbawionych dachu nad głową, ale wcześniej wulkan musi się uspokoić, wtedy dopiero można będzie zrobić spis obiektów. Część mieszkańców straciła wszystko, jednak wielu mogło powrócić do ruin domów, aby zabrać pozostałości majątku, cenne przedmioty, meble itp. Ruszyła samopomoc, ludzie udostępniają pola dla zwierząt, szopy do przechowywania dobytku sąsiadów, większość osób znalazła miejsce u rodziny, reszta w koszarach. Rząd pomoże, lecz dla autochtonów najboleśniejsza jest utrata ziemi. Na Wyspach Kanaryjskich dominuje kultura rolnicza, ludzie są przywiązani do swoich włości, sąsiadów, sposobu życia. Tego już się nie da im zwrócić. Rząd sprowadził 15 psychologów, którzy będą udzielać pierwszej pomocy osobom potrzebującym. Plany pomocowe idą także w kierunku odbudowy sektora turystyki.

– Rejon pochłonięty przez lawę prawdopodobnie ma zostać uznany za park narodowy – opowiada José Hernández pracujący dotychczas w biurze podróży organizującym wycieczki. – Bardzo popularne były wyprawy łodziami motorowymi połączone z oglądaniem delfinów. To region, gdzie dużo było tych zwierząt. Na pewno prędko się nie pokażą. Turystyka, z której żyją Kanary, podupadła już podczas pandemii, teraz kolejni ludzie tracą pracę, ubożeją. Stworzenie parku narodowego zwiększy wartość obiektów uszkodzonych lub straconych. Jeśli teren doliny Aridane zostanie uznany za park narodowy, umożliwi to finansowe udogodnienia dla poszkodowanych.

Noelia García Leal, burmistrzyni Los Llanos, podkreśliła, że goście są mile widziani, a szef komitetu naukowego specjalnego planu ochrony ludności (PEVOLCA) zapewnił, że wyspa jest bezpieczna. Jednocześnie prezydent regionu Wysp Kanaryjskich Ángel Víctor Torres nie wyklucza kolejnych lockdownów w okolicach, gdzie lawa wpływa do oceanu i gdzie może dochodzić do emisji dwutlenku siarki.

La Palma zawsze będzie najpiękniejsza

Po drugiej stronie wyspy ludzie nie odczuli niemal żadnych skutków erupcji wulkanu. Notuje się trzęsienia ziemi, niektóre o magnitudzie 3,8, ale na Kanarach to nie rzadkość, teraz są tylko nieco silniejsze i liczniejsze. Zamknięto te szlaki turystyczne, na których istnieje ryzyko osuwania się ziemi. Pełne ludzi pozostały jednak bezpieczne szlaki, plaże, restauracje. Również w dolinie Aridane śmiałkowie jeżdżą na rowerach, spacerują, starają się żyć normalnie i nie panikować. Uciążliwy jest pył wulkaniczny, dlatego Palmeryjczycy dostali specjalne okulary i maseczki.

– Na szczęście wiatry wieją u nas od północy, więc pył z La Cumbre Vieja zawiewa nad ocean, a nie w stronę innych wysp – mówi Jerzy Dudek, żeglarz, dziennikarz i przewodnik po Teneryfie. – Dlatego na pozostałych wyspach archipelagu nie odczuliśmy skutków otwarcia się wulkanu. No, może jedynie... po 19 września firmy turystyczne poprzenosiły większość turystów z La Palmy m.in. do hoteli na Teneryfie, gdzie mieszkam. Nie żyjemy tym tematem. Rezydenci willi z basenami mają czasem obawy, że nasz wulkan Teide też może się obudzić i zagrozić ich luksusowym posiadłościom, ale poza tym życie toczy się normalnie.

Na La Palmie też chcieliby, żeby wszystko wróciło do normy i by wulkan wreszcie się uspokoił, ale na pewno nie nastąpi to lada dzień. Chór męski z Lanzarote zadedykował wyspie pieśń: „Nie ma morza tak szerokiego, by mogło rozdzielić serca Kanaryjczyków, La Palma jest i zawsze będzie najpiękniejsza”. ■

Ruszyła samopomoc, ludzie udostępniają pola dla zwierząt, szopy do przechowywania dobytku sąsiadów, większość osób znalazła miejsce u rodziny, reszta w koszarach.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7de9e900b2

Ewa Nowakowska

Socjalizm **tak**, Solidarność **nie**

Ci, którzy regularnie chodzili na pochody pierwszomajowe, zaczęli ostentacyjnie chodzić na pielgrzymki

Skrajna prawica nazywa komunistami wszystkich, którzy wyróżnili się podczas powojennej odbudowy i pracy na rzecz kraju przed 1989 r. Nieżyjącym odbiera dobre imię, „dekomunizuje" upamiętniające ich ulice, żyjących tropi. Przynależność do PZPR traktowana jest jak udział w organizacji przestępczej, stygmatyzujący na zawsze. Antykomunistyczne zamroczenie poznawcze trwa w najlepsze, jest jak choroba zakaźna, przekazywana młodym, niezaszczepionym przeciwko polityce historycznej. Niewielu ma odwagę mówić o tych sprawach rzeczowo i obiektywnie, jak choćby prof. Andrzej Mencwel, historyk kultury: „Do partii pod koniec lat 70. należało 3,5 mln Polaków i byli oni członkami szeregowymi. W większości byli to ludzie dobrej pracy, którzy zostawali członkami partii, żeby pracować dla Polski i dla siebie, bo takie były warunki ustrojowe. To oni też poparli Solidarność jako nadzieję na lepszą Polskę".

Dekomunizacja powinna zacząć się od cofnięcia reformy rolnej i odebrania ziemi chłopom.

Stefan Kisielewski, który regularnej dekomunizacji nie dożył, ale już ją wyczuwał w atmosferze początku lat 90., pisał zirytowany: „Słyszę, że w Polsce rządzą postkomuniści, że mamy do czynienia z jakimś tajemniczym spiskiem byłych funkcjonariuszy partii komunistycznej. A to przecież bzdura. (…) Ale żeby powiedzieć, że wszyscy oni mają teraz zostać wyklęci, skazani na niebyt – to trzeba mieć nie po kolei w głowie!".

Socjaldemokraci? Ktoś czasem składa taką deklarację, ale to słabo przebija się do kręgów opiniotwórczych. Przecież nie SLD, któremu nie da się zapomnieć służalczości wobec Kościoła, tajnego więzienia w Kiejkutach, wysłania wojska dla wsparcia amerykańskiej agresji w Iraku, wreszcie tragikomicznego forsowania niemądrej, acz cwanej Barbie na prezydenta państwa.

Związkowcy? Takich autentycznych nie widać i nie słychać, pracodawcy nie lubią ich u siebie. A przecież wolne, samorządne i niezależne związki zawodowe były pierwszym hasłem i celem robotniczego buntu w 1980 r. Obecnie prawie połowa zatrudnionych twierdzi, że w ich zakładach pracy nie ma możliwości tworzenia związków zawodowych. W demokratycznej Polsce poziom uzwiązkowienia należy do najniższych w Europie. Jerzy Borowczak, kiedyś szef Solidarności w Stoczni Gdańskiej, powiedział pod koniec pierwszej dekady nowego wieku: „Nic nie przetrwało. Związek wciąż jest, ale Solidarności już nie ma". A związkowi parodyści, którzy zawłaszczają szyld Solidarności, zapisali się do partii rządzącej, są jej przybudówką, więc po nich nie przyjdą.

Zatem kto następny? Poprzednicy obecnie rządzących, nazywani przez nich wzgardliwie elitami III RP. W większości nie protestowali przeciwko szykanom wobec wyżej wymienionych, a sporą część tych szykan sami zapoczątkowali.

Za historyczną cezurę uważa się 4 czerwca 1989 r., gdy Solidarność wygrała wybory do Sejmu nazwanego kontraktowym. Rewolucyjna przemiana ustrojowa nastąpiła bez przemocy, bez ofiar w ludziach i mieniu. W wyniku obrad Okrągłego Stołu Polakom udało się ze sobą porozumieć. PZPR dobrowolnie oddała władzę, a zaskoczona Solidarność ją wzięła. Fenomen, a już w polskich realiach historycznych i charakterologicznych cud prawdziwy. Im dalej od tego cudu, tym głośniej było słychać: „obaliliśmy komunizm!", „Kościół obalił komunizm!", „Ojciec Święty obalił komunizm!". Na to prof. Bronisław Łagowski pytał: „Czym obalił? Opozycja polityczna była czymś wtórnym. Sama siebie za włosy z błota nie wyciągnęła. Najważniejsza praca została wykonana wcześniej i przez kogoś innego".

Przeciwnicy Polski Ludowej zdeformowali pojęcie komunizmu w myśl orwellowskiego dążenia do kontroli nad językiem, aby narzucić ludziom własną ideologiczną wizję rzeczywistości. Przypomnę: jedną z pierwszych decyzji władz PRL była reforma rolna, czyli przyznanie chłopom znacjonalizowanych gruntów na własność. 82% ziemi ornej znalazło się w rękach rolników indywidualnych, ta forma własności wpisana została do konstytucji. Ludzie na wsi zbędni, a zarazem ambitni i ciekawi świata, przenieśli się do miast, do powstającego przemysłu. Ich dzieci i wnuki tworzą dzisiaj kościec nowego mieszczaństwa. Tak zwana prywatna inicjatywa w dziedzinie rzemiosła, drobnego handlu, usług i ogrodnictwa była najzamożniejszą grupą społeczną. Chociaż mówiono o tych ludziach pogardliwie: prywaciarze, badylarze, to szczerze im zazdroszczono. Kościół katolicki realizował swoją misję – kto chciał, uczestniczył w praktykach, a budownictwo sakralne wzbogaciło się w PRL o 1803 nowe świątynie. Państwo hojnie partycypowało w odbudowie kościołów zniszczonych podczas wojny. Katolicy świeccy zakładali swoje stowarzyszenia. Po 1956 r. partia stopniowo rezygnowała z podporządkowywania sobie wszystkich dziedzin życia. Ostatni

eprasa.pl 7de9e900b2

PRL-owski premier podpisał ustawy zwiększające przywileje i możliwość bogacenia się przez instytucje kościelne. Do wyborów 4 czerwca doszło dzięki staraniom dwóch stron – kierownictwa PZPR i Solidarności. A potem rządzący oddali władzę przeciwnikom politycznym. I to był komunizm? W takim razie dekomunizacja powinna zacząć się od cofnięcia reformy rolnej i odebrania ziemi chłopom. A potem, jak leci: powrót do zachodniej granicy sprzed 1945 r., cofnięcie przywilejów danych Kościołowi, unieważnienie dyplomów wydanych w PRL, a może i wyburzenie większości osiedli mieszkaniowych jako peerelowskich?

Po wygranych przez Solidarność wyborach zapanowała prawdziwa euforia. Już nic nie miało być takie samo. W nastroju święta działacze podziemia przechodzili do pełnienia funkcji państwowych. Od teraz rządzić mieli ludzie o czystych rękach, kierujący się sprawiedliwym prawem i dobrem obywateli. Obywatele zaś mieli być syci, pracowici i zadowoleni z życia. Po abdykacji partyjnej dyktatury bezgrzeszny i wolny naród miał stworzyć bezgrzeszne i praworządne państwo.

Sceptyk pytający, czy to aby nie kolejna utopia, narażał się na ostracyzm. Nie ukrywam, że należałam do sceptyków. Widziałam, jak wielu sfrustrowanych ludzi traktowało hałaśliwą obecność w Solidarności jako trampolinę do kariery, której nie mogli zrobić wcześniej z braku umiejętności lub pracowitości, a najczęściej jednego i drugiego. Oczywiście teraz za brak sukcesów w życiu obwiniali PRL. Widziałam, jak fala przemian wynosi na brzeg także szumowiny. Dlatego nie zapisałam się do Solidarności. Drugi powód był taki, że zawsze bałam się tłumu i odruchów stadnych. Wiedziałam, jak zachowania zbiorowe mogą być nieprzewidywalne i do jak groźnych skutków prowadzić. W końcu studiowałam socjologię. Istniał jeszcze trzeci powód. Na reformatorskim ruchu społecznym o lewicowych postulatach, jakim była Solidarność, coraz częściej i natrętniej zawieszano znak krzyża. Naklejano mu nacjonalistyczno-katolicką maskę. Imputowano niechęć do świeckiego państwa.

Widziałam, jak fala przemian wynosi na brzeg także szumowiny.

Wielu ludzi w ostatniej chwili doskakiwało do obozu zwycięzców i „uwiarygodniało się" w nim w paskudny sposób. A potem załatwiali własne porachunki z pozycji przedstawicieli nowego establishmentu. Rzucali się w oczy całkiem nowi nonkonformiści, opozycjoniści ostatniej minuty, gwałtownie nawróceni z marksizmu na katolicyzm. Niejeden z nich stał się wkrótce gorliwym dekomunizatorem. Ci, którzy regularnie chodzili na pochody pierwszomajowe, zaczęli teraz ostentacyjnie chodzić na pielgrzymki. Do zwycięskiego obozu dołączyli też ludzie z zaburzeniami osobowości: chorobliwie ambitni, żądni władzy za każdą cenę, mitomani i maniacy. Ludzie o osobowości narcystycznej, zorientowani na to, żeby błyszczeć, chociażby światłem odbitym od legend Solidarności. Cóż, gdy wieje wiatr historii, także śmiecie unoszą się do góry. A każda rewolucja stwarza liczne okazje do porachunków osobistych i plemiennych.

Nie wierzyłam też w cudowną przemianę w pracowite anioły tych całkiem licznych obywateli, których filozofią życiową było „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy". Sama zmiana ustroju nie mogła odmienić ludzi. (...) Poza tym długo nie było jasne, jaka to będzie zmiana. Chodziło o to, żeby było inaczej niż dotychczas, ale jak? Socjalizm z ludzką twarzą? W sali BHP, gdzie podpisano porozumienia Sierpnia '80, wisiało hasło „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie". Skrajnie rozgorączkowani aktywiści powtarzali, że „trzeba rozwalić system", a potem... się zobaczy! Komitet Obywatelski Solidarność nie przedstawił żadnego programu. „Mediewiści i elektrycy mieli tylko program na nie", napisał w autobiografii Andrzej Łapicki, gorzko rozczarowany parlamentarzysta z rekomendacji Wałęsy (były nią słynne zdjęcia kandydatów z Lechem).

Tekst jest fragmentem książki Ewy Nowakowskiej *Cierń szansy, nie przepraszamy za PRL!*, wydanej przez PRZEGLĄD. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

eprasa.pl 7de9e900b2

Maria Pasztor

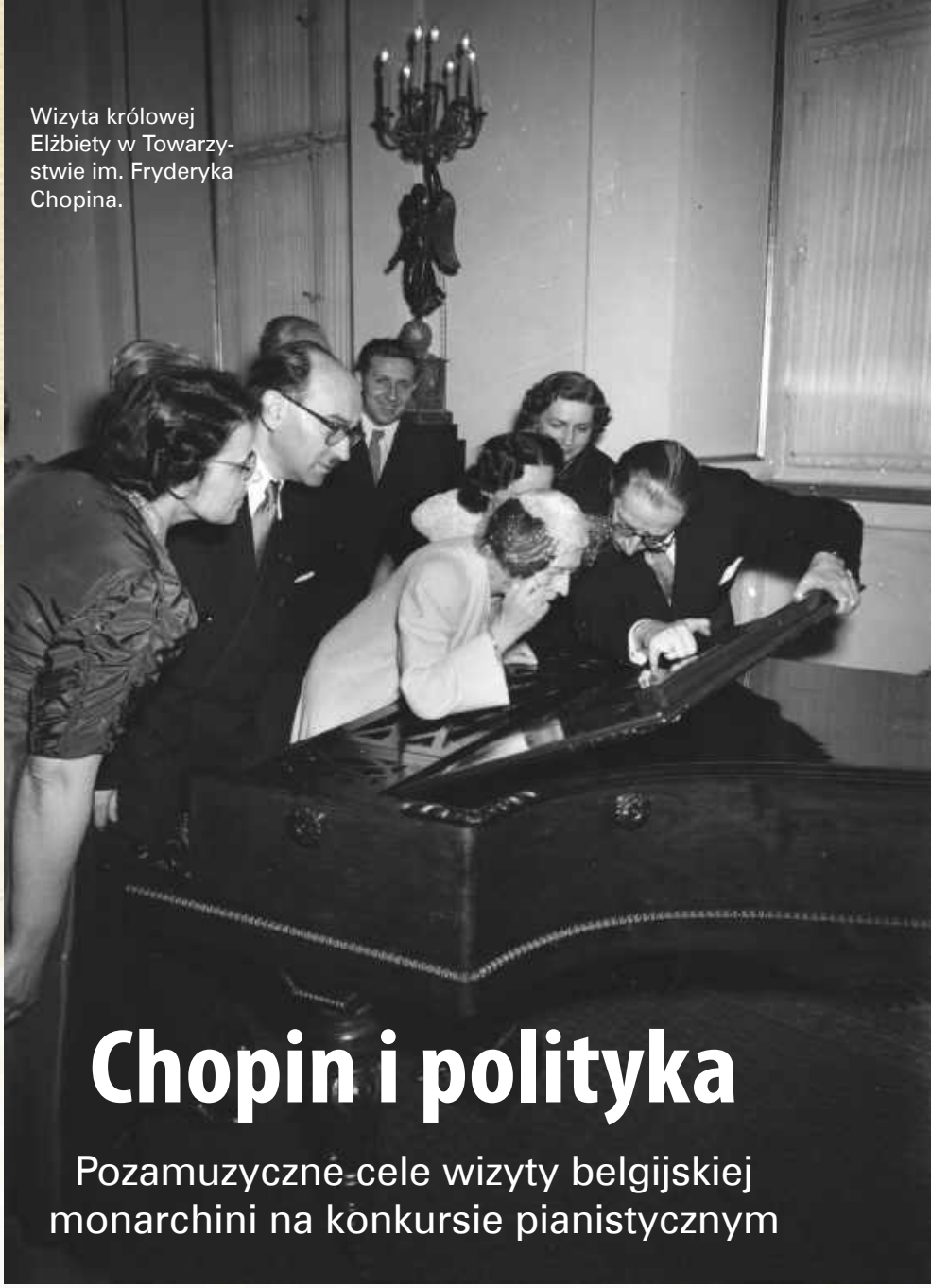

Wizyta królowej Elżbiety w Towarzystwie im. Fryderyka Chopina.

Chopin i polityka

Pozamuzyczne cele wizyty belgijskiej monarchini na konkursie pianistycznym

V Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, odbywający się od 21 lutego do 21 marca 1955 r. w salach uroczyście otwartego odbudowanego gmachu Filharmonii Narodowej w Warszawie był przede wszystkim wydarzeniem muzycznym – dla Polski tym ważniejszym, że zakończonym prestiżowym sukcesem. Jego zwycięzcą został urodzony w Chodzieży 23-letni Adam Harasiewicz, student w klasie fortepianu Zbigniewa Drzewieckiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie.

Ale konkurs miał również konteksty pozamuzyczne. Jego honorowym gościem była królowa Belgów, Elżbieta, która spędziła w Polsce prawie dwa tygodnie, od 12 do 23 marca, przysłuchując się artystom uczestniczącym w III etapie konkursowych zmagań. Jednak nie tylko to było celem jej wizyty.

Wyjątkowy gość

Decyzji królowej o przyjeździe do Polski władze belgijskie nie mogły się przeciwstawić ze względu na szacunek i autorytet, jakimi cieszyła się w swoim kraju. Elżbieta prowadziła szeroką działalność charytatywną, w czasie wojny angażowała się w ratowanie Żydów (w tym obywateli polskich narodowości żydowskiej), okazywała życzliwość dla ruchu obrońców pokoju. Warszawa, po początkowym zakłopotaniu, uznała, że wizyta może przynieść korzyści polityczne. W ocenie polskiej placówki dyplomatycznej w Brukseli królowa akcentowała swoje „postępowe poglądy" i przejawiała „niezmiennie szczere zainteresowanie i żywą sympatię dla spraw polskich".

Belgijska monarchini znana była z zamiłowania do muzyki klasycznej i z działalności na rzecz środowisk artystycznych. Niemniej jednak jej długi pobyt w komunistycznej Polsce nie tylko budził sensację wśród elity kulturalnej kraju, ale był też przedmiotem spekulacji dziennikarzy, polityków, dyplomatów oraz licznych kręgów społeczeństwa zarówno polskiego, jak i belgijskiego.

Na lotnisku 12 marca witali ją zastępca przewodniczącego Rady Państwa Wacław Barcikowski, minister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski, sekretarz Rady Państwa Marian Rybicki, wiceminister kultury i sztuki Jan Wilczek, prof. Zbigniew Drzewiecki, sekretarz jury konkursu Stanisław Szpinalski, dyrektor protokołu dyplomatycznego Edward Bartol oraz przewodniczący Komitetu Wykonawczego Konkursu Chopinowskiego Jarosław Iwaszkiewicz.

Program wizyty królowej Elżbiety nie ograniczył się do słuchania muzyki. Już 13 marca, zgodnie z ustalonym wcześniej harmonogramem, wzięła udział w porannym nabożeństwie w kościele św. Krzyża w Warszawie, wywołując według zgodnych doniesień prasy belgijskiej i posła belgijskiego w Warszawie Hadelina de Meeûs d'Argenteuil „entuzjazm, który sprawił, iż zarówno kler, jak i służba porządkowa z trudem ochroniły Jej Królewską Mość przed objawami serdeczności religijnych tłumów zgromadzonych przed kościołem". Sama zaś królewska obecność, według pompatycznej relacji de Meeûsa, „miała dla tych tłumów uosabiać nadzieję i symbolizować płynącą z Zachodu wolność, o której nie przestawali marzyć Polacy, a w każdym razie ich obecność w miejscach odwiedzanych przez Elżbietę zdawała się stanowić świadectwo zainteresowania i nieomal oddania się w opiekę królowej, wywołując instynktownie uczucia wypływające z porywu wdzięczności". Ten właśnie aspekt stanowił w jego

FOT. PAP/ARCHIWUM

eprasa.pl 7de9e900b2

ocenie „najbardziej ujmującą, a nawet poruszającą część wizyty", a entuzjazm zdawał się tym bardziej zrozumiały, że w polskim społeczeństwie krążyły (bezpodstawne) pogłoski, że królowa Elżbieta przybyła do Polski „wiedziona troską o los »nieszczęsnego« prymasa Wyszyńskiego".

Monarchini zwiedziła ponadto dworek Chopina w Żelazowej Woli i obejrzała zabytki Warszawy. Udała się też do Krakowa, gdzie była na Wawelu, w kościele Mariackim i Muzeum Czartoryskich. Poruszyło ją zwiedzanie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Prasa polska donosiła także o jej obecności na przedstawieniu „Halki" w Teatrze Wielkim oraz odwiedzinach w zespole Mazowsze w jego siedzibie w Karolinie. Elżbieta spotkała się również z twórcami kultury podczas przyjęcia wydanego na jej cześć w Poselstwie Królestwa Belgii.

Wydarzeniem szeroko komentowanym przez polskie elity kulturalne był udział królowej w śniadaniu wydanym na jej cześć w Stawisku przez Annę i Jarosława Iwaszkiewiczów, w którym uczestniczyli m.in. Maria Dąbrowska, prof. Kazimierz Michałowski, Jan Parandowski, Eugeniusz Eibisch, Witold Lutosławski i Zygmunt Mycielski. Jak pisał sam Iwaszkiewicz (w „Dzienniku"), „śniadanie było wspaniałe […]. Cóż za paradoks w naszej szarej, smutnej rzeczywistości. Przyjemne było tylko to, że mogłem razem z Hanią reprezentować starą, dobrą polską kulturę".

Jak donosił do swojej centrali cytowany już de Meeûs d'Argenteuil, królowa nie tylko spotykała się „wszędzie" z wyrazami szacunku i podziwu ze strony zwykłych ludzi, ale była też otaczana specjalnymi względami i atencją przez polskie władze, które w jego wstępnej ocenie „na ogół nie starały się wykorzystać osoby królewskiej do celów propagandowych w charakterystyczny dla siebie sposób". Belgijski dyplomata podkreślał, że sama obecność Elżbiety nadawała konkursowi chopinowskiemu „wyjątkowy rozgłos" i miała się przyczynić do wzrostu renomy tej instytucji artystycznej, a przez to „cel [propagandowy polskich władz] i tak został zrealizowany".

Zabiegi o uwolnienie szpiega

Największym jednak zaskoczeniem dla polskich gospodarzy, a zarazem najbardziej „donośnym efektem politycznym wizyty", przynajmniej w ocenie de Meeûsa, było wręczenie przez królową przewodniczącemu Rady Państwa, Aleksandrowi Zawadzkiemu, *aide-mémoire* rządu Królestwa Belgii skierowanego do rządu polskiego. W opinii belgijskiego posła, podejmując się misji o charakterze politycznym, monarchini zaznaczyła, że jej pobyt w Polsce miał „wymiar o charakterze humanitarnym". „Podejmując się tej misji, Elżbieta nie zawiodła – jak to formułował de Meeûs – oczekiwań pozbawionych głosu – w pewnym sensie niemych ofiar reżimu".

Królowa Belgów Elżbieta spędziła w Polsce prawie dwa tygodnie, nie tylko przysłuchując się artystom uczestniczącym w III etapie konkursu.

Aby zrozumieć treść i znaczenie belgijskiego *aide-mémoire*, trzeba wyjaśnić kilka kwestii w relacjach polsko-belgijskich tego okresu. Były one napięte z paru powodów. Rozwój relacji gospodarczych utrudniała niezałatwiona sprawa odszkodowań za mienie belgijskie znacjonalizowane na podstawie polskiej ustawy z 3 stycznia 1946 r. Bruksela uzależniała rozszerzenie wymiany handlowej z Polską od dojścia do satysfakcjonującego porozumienia. Sprawą sporną były oszacowanie wielkości odszkodowań i sposób ich spłaty.

Kolejna kwestia dotyczyła belgijskiego obywatela Alberta Snauwaerta. Ten marynarz na statkach operujących na Bałtyku miał w 1948 r. trzykrotnie odwiedzić ambasadę Wielkiej Brytanii w Kopenhadze i oferować swoje usługi wywiadowcze dotyczące portów polskich, radzieckich i wschodniej strefy okupacyjnej Niemiec. Jego propozycje zostały przyjęte z rezerwą, co jednak go nie zraziło. Zaciągnął się na szwedzki statek „Brittmari", na którym w lipcu 1948 r. dostał się do Szczecina. Tam został przyłapany na robieniu zdjęć statków w porcie. Ponadto próbował zwerbować do współpracy bosmana z portu szczecińskiego, ale ten, najpewniej przestraszony tą propozycją (pomijając kwestię zupełnie amatorskiego działania Snauwaerta), wydał Belga urzędowi bezpieczeństwa.

Belgowi wytoczono proces przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Szczecinie. Przewodniczącym składu orzekającego był ppłk Kazimierz Stojanowski, obrońcą – Edward Hausknecht. Wyrok zapadł 13 stycznia 1949 r. Sąd uznał, że Snauwaert, działając na szkodę państwa polskiego, gromadził informacje stanowiące tajemnicę wojskową w celu przekazania ich obcej organizacji, i skazał go na karę 15 lat więzienia. W 1954 r. przedstawiciel Poselstwa Belgii uzyskał zgodę na odwiedzenie więźnia w Rawiczu. Okazało się, że Snauwaert przebywał na izbie chorych z powodu choroby serca. W tej sytuacji Belgowie wystąpili do MSZ (a ono do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego) z prośbą o opinię w sprawie stanu zdrowia więźnia, w tym jego stanu psychicznego. Przeprowadzone w 1955 r. badanie kończyło się konkluzją: „Stan chorego wymaga leczenia ambulatoryjno-szpitalnego i w warunkach więziennych może ulegać pogorszeniu". Jego skargi lekarz określił jako hipochondryczne, miał wywoływać konflikty z powodu niezadowolenia z reżimu więziennego. Mimo zainteresowania strony belgijskiej zabiegi dotyczące uwolnienia Snauwaerta nie zakończyły się wówczas sukcesem. Rada Państwa 17 stycznia 1955 r. nie skorzystała wobec niego z prawa łaski.

Pomoc belgijskim żonom Polaków

Inną kwestią sporną w relacjach między Warszawą a Brukselą był problem Belgijek – żon Polaków, którym władze PRL odmawiały pozwoleń na odwiedzenie rodzin w kraju ojczystym. Według prawa belgijskiego *épouses belges* zachowały belgijskie obywatelstwo i władze belgijskie wydawały im paszporty. Natomiast zgodnie z polską ustawą o obywatelstwie cudzoziemki, poślubiając Polaków, stawały się wyłącznie obywatelkami polskimi. Paszporty wydane Belgijkom przez ich władze były im odbierane i zatrzymywane. Władze belgijskie twierdziły, że jest to działanie bezprawne, bo paszporty te są „własnością państwa belgijskiego

eprasa.pl 7de9e900b2

i niezależnie od stosunku polskich władz do problemu podwójnego obywatelstwa milicja polska nie ma prawa ich zatrzymywać".

To właśnie sprawy uwolnienia Snauwaerta i pozwolenia Belgijkom na odwiedzenie rodzin w ojczyźnie stały się przedmiotem owego *aide-mémoire*, wręczonego przez królową Elżbietę przewodniczącemu Rady Państwa.

Chociaż nie ma dokumentów dotyczących reakcji rządu polskiego na te dezyderaty, dalszy bieg wypadków wskazuje, że władze nie zdecydowały się na ich szybkie spełnienie. Jedną z przyczyn był niefortunny rozwój wydarzeń po powrocie królowej do Belgii. Oto 31 maja 1955 r. w porcie w Antwerpii wskutek decyzji prezesa sądu handlowego zatrzymano polski statek handlowy „Hel". Incydent ten doprowadził do wycofania 22 czerwca 1955 r. wniosku polskiego MSZ skierowanego 13 maja 1955 r. do Naczelnej Prokuratury Wojskowej o ponowne przedłożenie Radzie Państwa prośby o darowanie Snauwaertowi reszty kary. Pociągnęło to za sobą wzrost napięcia między Warszawą a Brukselą.

Aide-mémoire złożone przez królową Belgów w Warszawie jest wymieniane jako jedna z istotnych przyczyn odwilży w relacjach polsko-belgijskich.

Ale ten „przymrozek" w relacjach polsko-belgijskich nie trwał długo. Władze polskie stopniowo dojrzewały do złagodzenia kursu wobec Brukseli. Niebagatelną rolę odegrała tu wizyta belgijskich parlamentarzystów w Polsce w październiku 1955 r. Ich odwiedziny na Ziemiach Odzyskanych i przyjazne deklaracje niektórych co do trwałości granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej uznano w Warszawie za gesty, na które warto odpowiedzieć w duchu koncyliacyjnym. Zwłaszcza że oni również upominali się o Snauwaerta.

W tej sytuacji politycznej polskie MSZ poprosiło 5 listopada 1955 r. naczelnego prokuratora wojskowego o powtórne przedłożenie sprawy belgijskiego więźnia Radzie Państwa z wnioskiem o zastosowanie prawa łaski, a ta, decyzją z 16 listopada 1955 r., skorzystała z tego prawa, zarządzając zwolnienie go z więzienia i wydalenie z PRL. Mniej więcej w tym samym czasie udało się doprowadzić do pomyślnego finału kwestie odwiedzin w ojczyźnie przynajmniej części Belgijek zamężnych z Polakami.

Jak poświadczają polskie dokumenty dyplomatyczne, *aide-mémoire* złożone przez królową Belgów w Warszawie odegrało w rozwiązaniu tych spraw rolę na tyle ważną, że jest wymieniane jako jedna z istotnych przyczyn odwilży w relacjach polsko-belgijskich. Tylko tyle i aż tyle.

Dr hab. Maria Pasztor, profesor Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w stosunkach Polski z krajami romańskimi w XX w.

eprasa.pl 7de9e900b2

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Rzeźnia

Wojciech Smarzowski, zmyślnie nazywany przez krytyków „Wajdą z siekierą", zamienił ostrze na sztych łopaty. Niestety, nie tylko po to, by ekshumować szczątki, o których naród nie chce pamiętać, ale także w celu maksymalnego uproszczenia przekazu. „Wesele", jak rozumiem, miało stanowić obok „Róży" i „Wołynia" dopełnienie tryptyku pogromowego, ale jest osadzone na lichych zawiasach, ze swoją czytankową topornością pasuje do tamtych zniuansowanych dzieł jak fajans do porcelany. Nie chcę się pastwić, bo Smarzowskiemu kibicuję, a na wojnie, którą wypowiedział pisowskiej polityce historycznej, jestem po jego stronie barykady. Spośród demonów historii, z którymi brał się za bary, polski antysemityzm jest może najstraszliwszy, a na pewno najlepiej udokumentowany i nagłośniony – być może tu kryła się pułapka, w którą reżyser wpadł. Z faktu, że księża gadają Międlarem i Jędraszewskim, nie wynika nic poza nieznośną publicystyką, z przeplatanki planów czasowych niewiele ponad powszechnie znany i nielubiany fakt, że polskie żydożerstwo jest wiecznie żywe, a Kościół sankcjonuje mechanizm wyłaniania coraz to nowych kozłów ofiarnych, aby spajać naród nienawiścią.

Moje zażenowanie łatwizną, na jaką poszedł Smarzowski, by nie rzec reżyserskim fajansiarstwem, niech zobrazuje mała filmoznawcza komparatystyka. W nowym „Weselu" oficerowie niemieccy, nadzorujący eksterminację Żydów w stodole podpalanej rękami polskich chłopów, gawędzą o Wagnerze – to jest klisza z elementarza wykopiowana, za którą autora zrugano by w szkole filmowej. W analogicznej scenie Elem Klimow, reżyser jednego z najwybitniejszych filmów „wyreżyserowanych siekierą", umieścił na ramieniu esesmana dowodzącego pacyfikacją lori – małpiatkę, czule głaskaną przez właściciela; w słodkich, niewinnych oczętach zwierzaka odbija się piekło ludobójstwa – i to jest zaiste demoniczny kontrapunkt. Smarzowski, psiekrwio, przecież wiesz, jak to się robi!

Mam z „Weselem" podobny kłopot jak z „Niefortunnym numerkiem…", ostatnim dziełem Radu Jude – jak dotąd mojego ulubionego przedstawiciela nowej fali kina rumuńskiego. Niewyszukana karykatura ksenofobicznego społeczeństwa zostaje tam spuentowana apokaliptyczno-pornograficzną sceną, która daje uciechę, a nawet przynosi ulgę. W „Weselu" jest podobnie, choć niebezpiecznie blisko estetyki Patryka Vegi: polski faszysta jest kryty przez knura – i jeśli założymy, że to świnia popularnej rasy hodowlanej o wdzięcznej nazwie Wielka Biała Polska, oglądamy nie torturę, ale po prostu akt strzelisty patriotyzmu, bezgraniczne oddanie fantazmatycznej ojczyźnie.

Czy film Smarzowskiego jest czymś więcej niż okrutnie dosłowną ilustracją historii spisanych przez Jana Tomasza Grossa w „Sąsiadach", zderzoną z przaśnymi obyczajami weselnymi polskich chamów? Czy oddało się w nim coś więcej niż błyskotliwa prowokacja muzyczna Mikołaja Trzaski, który motywem filmu uczynił melodię „Roty" granej po klezmersku na klarnecie (dla rodzimych nacków to może być mocniejsze niż tęczowa aureola Maryi)? Z jaką myślą człek wychodzi z tej projekcji oprócz zażenowania, że choć film słuszny, to subtelny jak hity festiwalu Niezłomni i Wyklęci?

Że jesteśmy narodem słabym, zalęknionym, niepewnym, rachityczną etnią, która w stanie nieustannego zagrożenia wciąż odtwarza mechanizm wyodrębniania i wykluczania Innych, o tym wiedziałem przed filmem. O tym, że lud polski biedny był i tak ciemny, że rodziny żydowskie straszyły swoje dzieci: „ucz się, bo będziesz głupia jak goj", też było mi wiadomo. Jako i o tym, że lud się potem za to zajadle mścił. Że przedwojenny antysemityzm w Polsce był bliźniaczo podobny do tego hitlerowskiego (akcja „nie kupuj u żyda", getta ławkowe etc.), tylko bardziej żywiołowy, gorzej zorganizowany – też wiedziałem z czytanek pozaszkolnych. Więcej nawet, być może nieprzepracowaną, wypartą traumą narodu polskiego jest rozczarowanie tym, że Hitler *a priori* uznał Polskę za kraj podludzi, zamiast uczynić nas przybocznymi w dziele Holokaustu? Może to nie alianci nas zdradzili, ale Trzecia Rzesza srodze zawiodła? Tak, to jest myśl straszliwa, jaką we mnie Smarzowski wywołał, być może warto było się przemęczyć wśród jego weselników, żeby tego demona nazwać i przyjrzeć mu się z bliska.

Może to nie alianci nas zdradzili, ale Trzecia Rzesza srodze zawiodła? Tak, to jest myśl straszliwa, jaką we mnie Smarzowski wywołał.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7de9e900b2

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tess Gerritsen, Gary Braver
Studentka
tłum. Andrzej Szulc
Albatros, Warszawa 2021

Abelard został wykastrowany – mężczyzna pewnie z miejsca powie, że stracił więcej niż Heloiza. Eneasz porzucił Dydonę i ruszył dokonywać czynów wiekopomnych… Na zajęciach u prof. Doriana pod kuszącym hasłem „Kochankowie spod nieszczęśliwej gwiazdy" studenci omawiają klasykę literatury. Stronę bohaterek zawsze żarliwie bierze Taryn Moore – wie, co znaczy być zdradzoną. Mimo że zakochuje się obsesyjnie i hoduje w sobie furię Medei, nie jest jednowymiarową *femme fatale*, która przywodzi profesorka do zguby. Ten, czując się zaniedbywany przez żonę, fantazjuje o ładnej dziewczynie, a potem – ojej, stało się. Gorzej, że stała się też śmierć... Kobiecy głos wybrzmiewa w napisanej w duecie „Studentce" najmocniej, szczególnie że w relacji dwie główne, silne bohaterki na jednego. Co ciekawe, Garry Braver, czyli Gary Goshgarian, sam prowadzi zajęcia na bostońskim Uniwersytecie Northeastern.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Andrzej Brzozowski
Piosenki z kapelusza 20-lecia międzywojennego
Kowalski Pro-Media

Współtwórca Kaczek z Nowej Paczki, które zakładał prawie 40 lat temu z nieżyjącymi już braćmi Zbigniewem i Andrzejem Rojkami, wciąż jest aktywny estradowo. Nieco wcześniej wydał, z pomocą Towarzystwa Miłośników Olsztyna, dwupłytowy album „Kaczki z Nowej Paczki. Benefis", na którym znalazło się aż 40 utworów zespołu. Rok później pokusił się o solowe nagranie takich przebojów 20-lecia międzywojennego jak „Umówiłem się z nią na dziewiątą", „Nie kochać w taką noc to grzech" czy „Już taki jestem zimny drań". Czyli w większości są to piosenki sentymentalne, co było ryzykowne w przypadku artysty utożsamianego z estradą kabaretową. Ale okazuje się, że dysponujący ciepłym głosem Brzozowski nadzwyczaj dobrze poradził sobie z tym zadaniem. Słucha się go z przyjemnością.

Marek Książek

NA EKRANACH

ŻEBY NIE BYŁO ŚLADÓW
reż. Jan P. Matuszyński, prod. Polska, już w kinach

O sprawie studenta Grzegorza Przemyka, który zmarł w 1983 r. w wyniku pobicia przez milicję, Jan P. Matuszyński opowiada tak, że ma się wrażenie, jakbyśmy oglądali film o 32-letnim Bartku z Lubina czy 25-letnim Igorze Stachowiaku, którzy niedawno zginęli z rąk policjantów. Tu mundurowi biją, bo mogą. To nic zaplanowanego, nic osobistego ani nic politycznego. Przynajmniej na początku, bo Matuszyński śledzi, jak zwykłe przekroczenie uprawnień zamienia się w sprawę wagi państwowej. W tłumienie społecznego gniewu, który zrodziła śmierć Przemyka, zaangażowany jest cały aparat władzy. Szkoda, że przedstawiciele MSW i prokuratury zostali odmalowani tak prześmiewczo, bo osłabia to grozę produkcji, która najciekawsza jest wtedy, gdy pokazuje, jak system zatruwa codzienność jednostki. Przekonujemy się o tym, śledząc losy Jurka (świetny Tomasz Ziętek), ostatniego świadka śmierci Przemyka. Gdy puszczają jego więzi z rodzicami, przyjaciółmi i kochanką, dobitnie przekonujemy się, co to znaczy być samemu przeciw wszystkim. Ważne kino, choć zdecydowanie za długie.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

BIG BANG, CZYLI UFO NAS PRZEŚWIETLA

Zjawili się, pobyli chwilę, nawet nie wysiedli i odlecieli. Zabrali tylko pastucha i tyle ich widziano. Tak można by streścić historię niezapowiedzianej wizyty UFO w mazowieckiej wsi, na polu Heli i Mietka Wrońskich, którą wypatrzył ich krewniak Janek i wszczął raban. Andrzej Kondratiuk niemal 40 lat temu miał świetny pomysł, aby ostrzegać ludzi przed zbliżającą się katastrofą ekologiczną (teraz to oczywista oczywistość) za pomocą języka komedii skrzyżowanego z motywem SF. Teraz Piotr Ratajczak wziął na warsztat scenariusz filmu „Big Bang" i przerobił go na powrót na sztukę teatralną. Dawne przestrogi zabrzmiały jak pisane dzisiaj, a język opowieści dostosowany do współczesnej wrażliwości nie tylko broni się na scenie, ale też potwierdza, że jest czego szukać w zasobach PRL-owskich scenariuszy i dramatów. W obsadzie rej wodzą Izabela Dąbrowska – Hela i Sławomir Pacek jako jej mąż. Znaczącą rolę skroił Michał Żurawski – Janek, który tak naprawdę jest tu *spiritus movens*. Na koniec UFO przekaże nam przesłanie: „Ludzie, opamiętajta się". Intelektualnie jest to myśl dość banalna, ale w filmie niezrównanie kwestię tę podawał Franciszek Pieczka, choć i w Och-Teatrze nie zginęła. Pytanie, czy ktoś to przyjmie do siebie.

Tomasz Miłkowski

Andrzej Kondratiuk, „Big Bang", reżyseria Piotr Ratajczak, Och-Teatr, premiera 10 września 2021

RODZINA JAKO WULKAN

Rzucanie mięsem w inteligenckiej rodzinie nie jest krzepiące. Jednak wulgaryzmy to tylko zewnętrzna powłoka tragikomedii napisanej przez czynnego zawodowo lekarza z talentem dramaturgicznym. Tematem głównym jest bowiem tolerancja (lub jej brak) dla odmienności – rasowych, seksualnych, narodowych. Rzecz podawana jest przez znakomitych aktorów w sposób ostry, bezceremonialny. A koniec jest wybuchem.

Bronisław Tumiłowicz

Marek Modzelewski, „Inteligenci", reżyser Wojciech Malajkat, Scena Spektaklove w Warszawie, premiera 17 września 2021

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ŁUKASZ BĄK

eprasa.pl 7de9e900b2

Opowieści z raju

Literacki noblista Abdulrazak Gurnah jest głosem naszych czasów – epoki wielkiej migracji ludzi, kultur i języka

Rafał Pikuła

Zanzibar przeciętnemu Polakowi kojarzy się z rajskimi plażami, dobrą zabawą, wypoczynkiem i naszymi celebrytami. W dobie koronawirusa rodzime gwiazdy i gwiazdeczki latały na tanzańską wyspę robić sobie zdjęcia na *social media*, zażywać kąpieli słonecznych i oceanicznych, uprawiać pod palmami jogę, odkrywać siebie... I zapewne nie pytały miejscowych o Abdulrazaka Gurnaha, który na Zanzibarze się urodził i tej wyspie, lokalnej kulturze i tradycji – ale nie takiej z folderu wczasowego – poświęcił sporą część swojej twórczości. Świeżo upieczony laureat Literackiej Nagrody Nobla niekoniecznie bywał punktem odniesienia dla turystów zalewających wyspę. Może teraz to się zmieni, bo Nobel dla afrykańskiego pisarza jest czytelnym znakiem, że narracja literacka z tego kontynentu jest interesująca, a tematy kolonializmu i neokolonializmu, migracji, mieszania się kultur są żywe jak nigdy. O ile bowiem personalnie tegoroczna nagroda z literatury mogła być zaskoczeniem, o tyle kontekstowo jak najbardziej można było tego się spodziewać.

– Przyznanie Literackiej Nagrody Nobla Abdulrazakowi Gurnahowi jest z jednej strony zaskoczeniem, nie braliśmy pod uwagę, że to on zostanie laureatem. Z drugiej strony wcale nie jest to niespodzianką. Uzasadnienie Komitetu Noblowskiego wskazuje na pewną decyzję aksjologiczną, to znaczy taką, że należy doceniać i dowartościowywać te elementy doświadczenia, wyobraźni literackiej i historii, które nie są związane wyłącznie z historią czy kulturą Europy Zachodniej. Patrzyłbym na ten werdykt optymistycznie. To gest otwarcia na doświadczenie świata, który nie jest nam dość dobrze znany, a który warto poznać – komentuje dr hab. Roman Chymkowski z Instytutu Kultury Polskiej na Wydziale Polonistyki UW.

Komitet Noblowski w uzasadnieniu ogłosił, że nagroda przyznana została „za bezkompromisową i pełną współczucia analizę skutków kolonializmu i losu uchodźców żyjących w przepaści między kulturami i kontynentami". Jak wyjaśnia na stronie Nagrody Nobla członek Akademii Szwedzkiej Anders Olsson, Abdulrazak Gurnah „świadomie łamie konwencje i podważa perspektywę kolonialną, aby uwypuklić punkt widzenia rdzennych populacji". Zdaniem Olssona „powieści Gurnaha odrzucają stereotypowe opisy i otwierają nasze spojrzenie na zróżnicowaną kulturowo Afrykę Wschodnią, nieznaną wielu osobom w innych częściach świata".

Zdecydowanie nieznana jest ta perspektywa nad Wisłą. Nie dość, że po polsku nie wyszła żadna książka noblisty, to na całym rynku wydawniczym niewielu mamy pisarzy z tamtego kręgu kulturowego. Afryka sprowadza się do kilku nazwisk, z Nadżibem Mahfuzem czy Johnem Maxwellem Coetzeem na czele. Tyle że pierwszy reprezentuje kulturę arabską, drugi zaś jest białym mieszkańcem RPA. Są oczywiście Nadine Gordimer, Wole Soyinka, Ngũgĩ wa Thiong'o (w tym roku właśnie on otwierał noblowski ranking u bukmacherów). Niemniej jednak Nobel dla Abdulrazaka Gurnaha może być wielką szansą dla literatury z serca Afryki.

– Abdulrazak Gurnah wydaje się idealnie reprezentatywny dla pewnej sfery nieznanego. Jest nosicielem innej kultury. Ma w biografii doświadczenie emigracji i swoistego wyciszenia głosu rodzimej kultury. To znaczy jest ona w jakimś sensie nagłośniona, ale ceną tego jest pewna adaptacja. Żeby autor został dostrzeżony, literatura musi wejść w jakąś bardzo mocną sieć kontaktu, np. na gruncie francuskim, amerykańskim czy brytyjskim. W tym sensie werdykt jest przewidywalny – mamy język kongresowy, mamy reprezentanta dwóch kultur – wyjaśnia dr hab. Żaneta Nalewajk-Turecka z Instytutu Literatury Polskiej na UW.

Pisarz od lat 60. mieszka w Wielkiej Brytanii, pisze w języku angielskim, jest cenionym wykładowcą akademickim w świecie białej, uprzywilejowanej klasy. W eseju „Abdulrazak Gurnah on Afterlives and Colonial Hypocrisy" opublikowanym na łamach „The London Magazine" Samir Jeraj przytacza historię Hany Alego, studenta Gurnaha, który przyznaje, że Gurnah z jednej strony był po prostu pierwszym czarnoskórym nauczycielem w jego życiu, z drugiej zaś ogromną gwiazdą świata akademickiego. Zarazem – jak zauważa autor eseju – literacko nie wychodził z przedkolonialnej Afryki i wspinał się na wyżyny języka angielskiego. Wybór tego języka był kwestią praktyczną – angielski pozwala na szersze dotarcie do czytelników. Sam Gurnah w wywiadzie dla BBC przyznał, że inspirował się poezją arabską, perską, Koranem w równym stopniu co klasyką literatury angielskiej z Szekspirem na czele.

Jest w końcu Gurnah głosem naszych czasów – epoki wielkiej migracji ludzi, kultur i języka. Można mieć nadzieję, że podróżujący na Zanzibar turyści wezmą do ręki „Paradise" (nominowana do Bookera w 1994 r.) albo inną książkę autora i zobaczą w „raju" zanzibarskiej plaży coś więcej niż siebie. ■

FOT. EYEVINE/EAST NEWS

eprasa.pl 7de9e900b2

Robot klasy olimpijskiej

Technologie wchodzą do sportu w ekspresowym tempie. To dobrze czy źle?

Mateusz Mazzini

Choć wieczór 29 marca 2017 r. nie był w Paryżu specjalnie przyjemny, wiele osób zapamiętało go na długo, a niektórzy nawet na zawsze. Pomimo chłodu wczesnej wiosny na trybunach stadionu narodowego w Saint-Denis na północnych przedmieściach stolicy Francji zjawiły się dziesiątki tysięcy fanów, gotowe oklaskiwać swoją reprezentację w prestiżowym meczu z Hiszpanią. Niewielu pewnie miało wtedy świadomość, że oglądanie piłkarskiego widowiska najwyższej klasy połączone będzie z uczestnictwem w wydarzeniu przełomowym dla całego sportu. Zaraz po rozpoczęciu drugiej połowy meczu Francuzi przypuścili atak na bramkę Hiszpanów. Przeprowadzili akcję, po której bramkę strzelił Antoine Griezmann. Trybuny były w ekstazie, piłkarze z radości rzucili się sobie w ramiona. Jednak niemiecki sędzia Felix Zwayer zatrzymał się i nie wskazywał, że padła bramka. Po chwili radość przekształciła się w konsternację, bo Zwayer podszedł do Francuzów i powiedział, że gola nie zaliczy – Griezmann był na minimalnym spalonym. A Niemiec dowiedział się o tym od sędziów siedzących przy monitorach, analizujących sytuację klatka po klatce. Gol strzelony przez Griezmanna stał się pierwszym w historii futbolu golem unieważnionym przez technologię.

W wielu ligach europejskich VAR to piłkarska codzienność. Nz. mecz Bundesligi.

Maradona przegrałby z VAR

Dziś, cztery lata później, tamten mecz wydaje się już prehistorią. VAR – *video assistant referee*, elektroniczny system wykorzystywany do weryfikacji kontrowersyjnych sytuacji na boisku, jest już w futbolu najwyższego szczebla codziennością. Przyzwyczaili się do niego piłkarze, przyzwyczaili sędziowie i fani. Czy dzięki VAR piłka nożna jest sportem uczciwszym? Trudno powiedzieć, bo system ma swoje wady i zalety, jest technologią jedynie częściowo zautomatyzowaną, sam z siebie rzadko podejmuje decyzje. Te wciąż należą do ludzi. A gdzie człowiek, tam zawsze ryzyko kontrowersji. Nie znaczy to jednak, że wprowadzenie VAR do powszechnego użycia w najważniejszych piłkarskich rozgrywkach przeszło bez echa. Wręcz przeciwnie – powiedzieć, że w tym przypadku technologia wpłynęła na sport, to nic nie powiedzieć.

Pojawienie się weryfikacji wideo w futbolu jest być może najbardziej medialnym przykładem coraz wyraźniejszej automatyzacji i komputeryzacji sportu. Dlaczego? Piłka nożna z jednej strony jest sportem absolutnie masowym, z drugiej – pozostawia wiele miejsca na interpretację zasad czy wręcz naciąganie przepisów. Gra na czas jako rozsądne zarządzanie siłami, bramki z minimalnych spalonych albo po przepychankach w polu karnym jako dowód boiskowego sprytu, długie dyskusje z sędzią i próby wywierania na nim presji jako stały element folkloru, symulowanie fauli jako cwaniactwo. Dość powiedzieć, że bodaj najsławniejsza, a już na pewno najbardziej romantyczna bramka w historii piłki – „ręka Boga" Diega Maradony z meczu z Anglią na mundialu w 1986 r., przez VAR zostałaby momentalnie anulowana.

Sędzia robot się nie myli

W innych dyscyplinach automatyzacja przebiega ciszej, choć wcale nie wolniej lub mniej efektywnie. Doskonałym tego przykładem jest bejsbol, dla Amerykanów sport narodowy, nierzadko przyciągający przed telewizory i na stadiony znacznie więcej ludzi niż piłka nożna, nawet w ujęciu globalnym. Od kilku lat w mniej ważnych, często wręcz półamatorskich ligach bejsbolowych testowany jest Automated Ball-Strike System (ABS) – technologia analizująca kluczowy dla meczu moment, w którym miotacz rzuca piłkę w kierunku pałkarza, a ten ma za zadanie trafić w nią kijem i odbić, najdalej jak się da. O tym, czy piłka dotyka ciała

FOT. IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 7de9e900b2

pałkarza, ociera się o sam kij albo czy pałkarz popełnia faul, do tej pory decydował stojący za nim sędzia. Tak naprawdę to wokół niego toczyła się gra, bo w praktyce był na boisku bogiem. Oceniał nie tylko samą grę, ale też zachowanie zawodników. Mógł ich wyrzucić za agresywne zachowanie, wulgarne komentarze, naruszenie własnej nietykalności. To sędzia pociągał za sznurki.

Z ABS sytuacja zmieniła się diametralnie. System analizuje rzucanie piłki z prawie 98-procentową dokładnością, więc o błędach w zasadzie nie ma mowy. Dane pobierane są przez mały, prostokątny aparat, blaszaną skrzynkę wielkości pudełka do pizzy. Stamtąd przekazywane są do komputera wyposażonego w oprogramowanie przypominające systemy obrony przeciwrakietowej – zjawisko jest w gruncie rzeczy podobne, w obu przypadkach chodzi przecież o analizowanie obiektu szybko przemieszczającego się w powietrzu. Na tej podstawie ABS komunikuje werdykt, niemal zawsze prawidłowy.

Władze amerykańskiego bejsbola na razie rewolucję technologiczną wprowadzają połowicznie. Choć to ABS podejmuje decyzje, są one wciąż ogłaszane przez arbitrów. Bo sędzia robot nie wyeliminował sędziego człowieka, przynajmniej na razie. W praktyce wygląda to dość kuriozalnie, bo sędzia stoi obok blaszaka, w uchu mając słuchawkę, przez którą blaszak wypluwa mu komendy. Zarządy lig, w których ABS jest testowany, tłumaczą to względami estetycznymi – ogłaszanie decyzji przez sędziego jest częścią bejsbolowej tradycji, kibice mogliby być zdezorientowani, gdyby zamiast komunikatów głosowych nagle wszystko było jedynie wyświetlane na monitorach. Dla samych sędziów oznacza to coś zupełnie innego – ich rola została zredukowana do teatralnego odgrywania, by utrzymać atmosferę widowiska. W dodatku bardzo wysoki odsetek poprawnych decyzji systemu elektronicznego sprawia, że ich obecność na boisku lada moment może się okazać kompletnie zbędna. Nieuchronnie zmierzają więc do sytuacji, w której bejsbol obserwować będą co najwyżej jako fani.

Challenge jak wytrych

Na pierwszy rzut oka ani z VAR, ani z ABS nie powinno być żadnych problemów. Oba systemy naprawiają ludzkie niedociągnięcia, a kto by nie chciał, żeby jego ukochany sport był uczciwszy? Problem w tym, że sporty ulegające coraz większej automatyzacji stają się innymi dyscyplinami. Zach Helfand, piszący o społecznych aspektach sportu reporter „New Yorkera", zwraca uwagę, że główna zmiana, jaka nastąpiła w ligach, w których już działa ABS, to bezwzględna, często wręcz krępująca cisza na trybunach. Ponieważ wszyscy wiedzą, że sędzią jest robot, a jego decyzja jest nieodwołalna, nikt w kierunku stanowiska sędziów nie krzyczy. Brakuje krytyki, nawet obraźliwych odzywek, nie ma wyzwisk. A przez to, pisze Helfand, jest na meczu o wiele mniej emocji.

Z oczywistych względów, jeśli ABS stanie się powszechny, do historii przejdą też kary za dyskusję z sędzią. Nikt przecież robota nie obrazi – a nawet jeśli, robot nie zareaguje. Piłkarski VAR nie ma aż takich problemów, bo mimo wszystko decyzje w nim często wciąż podejmują ludzie, przez co emocji akurat nie brakuje. Kontrowersje wzbudza natomiast aptekarstwo zautomatyzowanego sędziowania. Arbitrzy mają do dyspozycji 40 kamer, więc nie ucieknie im prawie nic – w tym zagrania, które może i naruszają przepisy, ale są przypadkowe, wynikają z przebiegu gry, w najlepszym razie bardzo trudne do jednoznacznego rozstrzygnięcia. VAR raczej nie myli się tylko przy spalonych, bo tutaj ocena jest binarna, a decyzja łatwiejsza do podjęcia. Inne sporne sytuacje, na czele z faulami, dalej bywają autostradą do kontrowersji. Z VAR nie brakuje ani ciszy, ani emocji.

Bejsbol i piłka nożna nie są jedynymi sportami, w których technologia zaczyna dominować na tyle, że praktycznie redefiniuje ich zasady, a już na pewno – sposób ich odczuwania. Siatkarska wideoweryfikacja, tzw. *challenge*, szybko stała się wytrychem dla trenerów. Proszą o nią, nawet kiedy wiedzą, że sędzia miał rację, wykorzystując przerwę w grze na dodatkową rozmowę z drużyną. Podobnie dzieje się w tenisie i wielu innych sportach, w których technologia daje bardziej obiektywny wynik, ale zawodnicy czy trenerzy używają jej także do własnych celów. Jak zauważają Christopher Higgins, Harry Collins i Robert Evans, brytyjscy badacze społeczni i autorzy książki „Bad Call" (ang. Zła decyzja), opisującej wpływ automatyzacji na świat sportu, w tej debacie nie chodzi bowiem tak naprawdę o to, czy kibice i zawodnicy samą technologię zaakceptują. Badania pokazują, że raczej nie mają z tym większego problemu. Dyskusja dotyczy jednak zjawiska znacznie szerszego, dotyka wręcz esencji sportu. Kwestii tego, co dla kogo jest w nim ważniejsze: wynik czy emocje. A tego nie rozstrzygnie żaden sędzia – ani człowiek, ani robot.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Jeśli ABS stanie się powszechny, do historii przejdą kary za dyskusję z sędzią.

Minister Mariusz Kamiński nie chce łapać ani handlarzy papierosów, ani terrorystów z Państwa Islamskiego.
Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE".

eprasa.pl 7de9e900b2

CERAMIKA lepiona przeszłością

Glina uczy pokory. Czasem dużo się nalepisz, nastarasz, a przy wypalaniu i tak wszystko popęka

Rozmawia Paula Leśniewska

Jak długo jesteś związana z rękodzielnictwem? Co cię do tego skłoniło?

– Zawsze lubiłam plastykę, lubiłam tworzyć, chociaż skończyłam szkołę budowlaną. Z wykształcenia jestem renowatorem zabytków. Po szkole średniej dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak Małopolski Uniwersytet Ludowy we Wzdowie, który kształci rzemieślników artystycznych. Wtedy uniwersytet mieścił się w pałacu hrabiego Adama Ostoi-Ostaszewskiego. Jak tylko zobaczyłam to miejsce, przepadłam. Zostałam we Wzdowie. To był piękny czas. Wokół mnie sztuka i ludzie zwariowani na jej punkcie.

Teraz ten uniwersytet przeniósł się do Woli Sękowej, tam, gdzie masz pracownię. Pojechałaś za nim?

– Trochę tak, przyznaję. Ten świat wciągnął mnie tak bardzo, że nie miałam możliwości powrotu do poprzedniego życia. Po skończeniu kursu rękodzielniczego we Wzdowie wróciłam na rodzinny Śląsk, ale nie mogłam tam się odnaleźć. Kilka lat pracowałam na etacie. W końcu postanowiłam wyjechać z Bytomia na stałe i założyć pracownię rękodzielniczą. I wtedy wszystko tak się poskładało, że moja przyjaciółka Ola kupiła mieszkanie w Sanoku i powiedziała, że jeden pokój jest dla mnie. Moja pierwsza pracownia ceramiczna była w jej piwnicy. A od Sanoka do Woli Sękowej jest tylko 15 km. Teraz mam pracownię właśnie tam.

Prowadzisz ją sama?

– Prawie sama, pomagają mi dwie dziewczyny.

Dlaczego wyjechałaś ze Śląska?

– Przez sześć lat prowadziłam ceramikę na warsztatach terapii zajęciowej z osobami z niepełnosprawnościami. To dało mi codzienny kontakt z gliną i pewność, że coś potrafię. Poczułam też, że jestem już po trzydziestce i jeżeli zostanę na tych warsztatach, to tak już po prostu będzie na zawsze, bo pewnie nie będzie mi się chciało niczego zmieniać. Chociaż kocham Śląsk, zawsze ciągnęło mnie do przyrody, dużej przestrzeni, a w mieście tego nie ma. Praca-dom – i tak ciągle. Pomyślałam sobie: nie mam kredytu, nie mam męża, nie mam dzieci – zaryzykuję. No i od tej pory siedzę i robię.

Co najbardziej lubisz tworzyć?

– Chyba przedmioty inspirowane sztuką Hucułów, rdzennych mieszkańców Karpat Wschodnich. Zajmowali się głównie pasterstwem, uprawą ziemi. Ich wzornictwo było wyjątkowe. Uwielbiam robić kafle huculskie, przenosić huculskie motywy na talerze albo na wielkie pisanki. Wtedy czuję, że dotykam prawdziwej historii ludzi, którzy mimo tego, że żyli skromnie i bardzo ciężko pracowali, potrafili tak fantastycznie ozdabiać przedmioty codziennego użytku. I biżuteria koralikowa, i haft krzyżykowy, i drewniane koronki na szczytach domów – to wszystko jest prawdziwą skarbnicą, w której można bez umiaru grzebać, by z niej czerpać.

Huculi malowali to, co mieli najbliżej – codzienne obowiązki, rozterki miłosne albo szalone imprezy, na niejednym kaflu pojawiają się kieliszki i zawiani ludzie.

Jak wyglądało huculskie wzornictwo?

– Jeżeli chodzi o ceramikę, była to sztuka prymitywna, jak teraz byśmy to określili. Bardzo prosta kreska, brak perspektywy, za to niesamowite bogactwo scenek rodzajowych. To szczególnie widoczne na kaflach – każdy jest inny, a razem tworzą całe opowiastki. Bardzo często są one zabawne, wyjęte z życia. Huculi nie silili się na jakiś patos, tylko malowali to, co mieli najbliżej – codzienne obowiązki, rozterki miłosne albo szalone imprezy, bo na niejednym kafelku pojawiają się kieliszki i zawiani ludzie. W ich wzornictwie jest także dużo symboliki związanej z tradycyjnymi motywami karpackimi – np. drzewo życia albo boża rączka, symbol bożej opatrzności. Jest bardzo dużo scen ze zwierzętami, przy czym niektóre są też symbolami – jeleń oznaczał płodność, życie, a wilk, zmora Hucułów pasterzy – siły nieczyste, diabła.

A technika?

– Huculi często w ceramice używali techniki majoliki. Najpierw kładli na czerwoną glinę pobiałkę, potem na to angoby, czyli kolorowe glinki, i dopiero to było wypalane. W huculskiej ceramice występują w zasadzie trzy kolory: żółty, zielony i brązowy. Czasami pojawia się trochę kobaltu, czyli niebieskiego. Inne barwy były trudno dostępne i za drogie.

eprasa.pl 7de9e900b2

KATARZYNA ZIOMEK vel PEPE

– rzemieślniczka artystyczna i właścicielka pracowni ceramicznej PePesza Ceramik

Ludzie nadal interesują się ich sztuką?

– Tak, natomiast koneserów nie jest tak wielu jak kilkadziesiąt lat temu. Mimo wszystko wychodzę z założenia, że skoro mieszkam na Podkarpaciu, będę przybliżać ludziom tradycyjne wzornictwo tego regionu. Kiedy zamieszkałam w Sanoku, od razu poczułam, że to bliski mi teren.

Dlaczego?

– Podobnie jak Śląsk to również pogranicze. W moim rodzinnym Bytomiu ciągle zdarzały się pytania: jesteś Polakiem czy Niemcem? Tymczasem jedyna dobra odpowiedź brzmi: jestem Ślązakiem. I tutaj, na Podkarpaciu pojawia się podobne pytanie. Dzieje tej ziemi są straszne, akcja „Wisła" i inne historie mocno mnie poruszają, czuję to wszystko gdzieś głęboko i chcę kultywować sztukę podkarpacką. No bo powiedzmy sobie szczerze – ciupagi z napisem „Solina" namiętnie sprzedawane w Bieszczadach są po prostu smutne. Kiedyś, przed wojną, granica Polski sięgała aż tam, gdzie żyli Huculi, teraz te tereny są już po stronie ukraińskiej. Myślę, że ich kiedyś pytano o to samo, co nas teraz: kim są, do jakiego narodu należą. A oni po prostu byli Hucułami. I są nadal.

Nadal tworzą tradycyjną sztukę?

– Na pewno nie na dużą skalę, ale w małym miasteczku Kosów na Ukrainie jest szkoła artystyczna, gdzie młodzież uczy się tradycyjnego wzornictwa i metod rękodzielniczych. Byłam tam niedawno w fabryce ceramiki, w której jeszcze 70 lat temu pracowało wielu ludzi, a teraz wszystkie narzędzia leżą po kątach, nie ma ich kto używać. Serce pęka, jak się tam chodzi. Tradycję kontynuuję ja, oczywiście na niewielką skalę.

Na twojej stronie są też prace niezwiązane z Hucułami. Widziałam np. kafle kuchenne inspirowane wierszem Tuwima, kosmosem…

– Tak. Pytałaś wcześniej, co najbardziej lubię robić. Oprócz Huculszczyzny właśnie aranżacje kuchni i łazienek. Marzy mi się robienie ich znacznie więcej. Projekt związany z Tuwimem był fajny, to moja pierwsza duża realizacja kuchenna. Klient powiedział tylko, że chciałby mieć w kuchni jakąś bajkową opowieść ze zwierzakami, z roślinami, żeby każdy kafel był inny. Którejś nocy po zamówieniu przyśnił mi się słowik z wiersza Tuwima i mówię: dobra, to jedziemy z tym. Pozbierałam truchełka owadzie, różne rośliny i poodciskałam w glinie, dodałam cytaty z wiersza i myślę, że wyszło ciekawie.

Ile ci to zajęło?

– W sumie projekt „Tuwim" zajął mi około miesiąca, ale robiłam też inne rzeczy. Tam rzeczywiście każdy kafel był inny, one wchodziły w siebie trochę jak puzzle, więc trzeba było całość tak obmyślić, żeby wszystko pasowało. Sama położyłam klientowi kafle, bo pomyślałam, że robotnicy mogą sobie nie poradzić z odpowiednim dopasowaniem. Tak przynajmniej nikt mnie nie wyklinał, że kafle są nierówne. „Małego Księcia" i huculską kuchnię też kładłam sama.

Bardzo mnie zaintrygowały czarne kafle kuchenne inspirowane zespołami Napalm Death i Full of Hell. To dość niecodzienny pomysł na wystrój mieszkania.

– Zamówił je Darek, mój stały klient, jest wielkim fanem tych zespołów. Na początku chciał kubki i miski, a później, przy większym remoncie, stwierdził, że cudownie byłoby mieć takie kafle w kuchni. No więc zrobiłam je, w różnych kształtach i odcieniach czerni, z różnymi fakturami, żeby nie było nudno. Dodałam motywy okładek Napalm Death i Full od Hell i gotowe. Ogromnie lubię Darka, bo jak wpada do mojej pracowni, cieszy się jak małe dziecko, aż podskakuje z radości. Jakiś czas temu zrobiłam mu czaszkę kozy. Niektóre zamówienia potrafią zaskoczyć.

Dlaczego tak lubisz robić kafle kuchenne?

– Bo zazwyczaj klienci zostawiają mi przestrzeń twórczą i mogę zaproponować, jak widzę cały projekt. Wysyłają mi wymiary miejsca, w którym kafle mają być, ja robię szkic, konsultujemy kolorystykę i wzór. Robienie kafli to o tyle trudne zadanie, że trzeba brać pod uwagę różne parametry techniczne, np. kurczenie się gliny w momencie schnięcia i potem podczas wypału. Wszystko trzeba tak obliczyć, żeby między kaflami zmieściły się jeszcze fugi. Jest z tym trochę główkowania, ale lubię to.

Jak powstaje np. ceramiczny kubek z odbitym liściem?

– My nie toczymy na kołach, wszystko lepimy ręcznie albo przy użyciu form gipsowych, które też

eprasa.pl 7de9e900b2

robimy sobie same. Słowem, tradycja pełną gębą. Proces wygląda tak: najpierw kupuję sprawdzoną glinę, rozwałkowuję ją, lepię z niej przedmiot, czyli w tym wypadku kubek, potem w miękkiej glinie odciskam roślinę albo kawałek siatki do łączenia kartongipsów – wtedy wychodzi piękna kratka inspirowana biżuterią koralikową Hucułów. Później kubek schnie i trafia do pieca na pierwszy wypał (tzw. biskwit) w jakichś 900 st. C – w ciągu 24 godzin glina się utwardza, robi się sztywna, ale nadal jest chropowata. W tym momencie zaczynam malować. W przypadku ceramiki inspirowanej sztuką huculską każdy mały kwadracik maluję osobno angobami. Potem wstawiam kubek z powrotem do pieca, na kolejne 24 godziny. Wypala się tam w temperaturze 1050-1080 st. C. A po wszystkim następuje najmilszy moment, kiedy otwiera się piec i zagląda do środka. Chociaż ceramiką zajmuję się już 13 lat, zawsze potrafi mnie zaskoczyć. Niby myślisz, że zrobiłaś wszystko tak samo, a bywa różnie. I to jest fajne. Ja, chociaż teoretycznie mam papiery mistrza, zawsze mówię, żeby nazywać mnie „miszczem", bo tak długo można się uczyć wszystkich technik ceramicznych, że życia nie starczy.

Co czasami zastajesz w piecu?

– Bywa, że przedmiot w kawałkach. Jeżeli w glinie został jakiś pęcherzyk powietrza, to może on kubek czy cokolwiek innego rozsadzić.

Biżuteria koralikowa, haft krzyżykowy, drewniane koronki na szczytach domów – to wszystko jest skarbnicą, z której można bez umiaru czerpać.

Może się zdarzyć, że jakieś nowe szkliwa, których wcześniej nie znałam, zostały potraktowane zbyt wysoką temperaturą i spłynęły w trakcie wypalania. Ale są i miłe niespodzianki – np. gdy na łączeniu kolorów pojawia się zupełnie nowa, piękna barwa.

Masz zamówienia z całej Polski?

– Tak, mam również trochę z zagranicy. Wysłałam już do Czech, Niemiec, Anglii. Kiedyś klient z Irlandii zamówił u mnie głowę psa rasy porcelaine. Dostałam zdjęcia głowy jego ukochanego pieska, zrobiłam, ale pękła w transporcie. Czasem niestety to się zdarza. Ostatnio dostałam nawet zapytanie, czy mogłabym wysłać ceramikę do Stanów, ale koszt przesyłki znacznie przewyższał koszt zamówienia, więc nie miało to sensu.

Pamiętasz jakieś zamówienia, które cię zaskoczyły albo rozśmieszyły?

– Ostatnio miałam np. wyrzeźbić mandragorę. Kiedyś zrobiłam maselniczkę, której uszkiem do podnoszenia był malutki ptaszek. Przyszedł mój kolega i powiedział, że chciałby, żeby zamiast ptaszka siedział tam jego husky. Zrobiłam mu taką maselniczkę, wrzuciłam ją na moje *social media* i rozpętało się szaleństwo. Większość zeszłego roku lepiłam pieskowe maselniczki. Ludzie przysyłali mi zdjęcia swoich pupili, a ja starałam się oddać je jak najwierniej. Potem pieski pojawiły się też na talerzach.

Widziałam w internecie, że zrobiłaś ceramiczną amebę.

– Tak! Kiedyś zadzwoniła do mnie klientka i powiedziała, że chce zamówić kubek amebę dla swojego przyjaciela biologa. Przysłała mi zdjęcia w powiększeniu – ameba wyglądała trochę jak szyszka na chudych nogach. Zrobiłam ją, można się z niej napić, tylko nóżki nie są tak cienkie, jak powinny być, bo bałam się, że mogą się połamać. Podobno jak ten człowiek dostał swoją amebę, od razu powiedział, jaki to gatunek, więc chyba nieźle mi poszło.

Chyba masz sporo zamówień okołoślubnych albo rocznicowych.

– Tak, myślę, że fajnie dać komuś na nowej drodze życia coś spersonalizowanego, od serca. To dla mnie największy atut PePeszy Ceramik – praca pod klienta. Chcę spełniać ceramiczne marzenia ludzi. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby klient się wycofał albo żeby nie zapłacił. Zawsze na samym początku omawiam każdy projekt, cenę. Jak ktoś dzwoni do mnie i mówi, że widział na stronie takie, a takie talerze, mówię, że jasne, mogę zrobić takie same, ale może masz jakieś inne marzenie, coś, dzięki czemu ten przedmiot będzie tylko twój, tylko w twoim domu. I wtedy ludzie bardzo szybko się otwierają i szukają w głowie pomysłów. Już na etapie zamawiania przedmiotu są z nim związani. I myślę, że właśnie z tego powodu pracownia działa już siedem lat.

Ile trzeba czekać np. na kubek?

– Jakieś dwa-trzy tygodnie. Klienci często do mnie wracają i zawsze ich pytam, jak moje przedmioty zachowują się po latach, żeby wiedzieć, ulepszać. Glina uczy pokory. Czasem dużo się nalepisz, nastarasz, a przy wypalaniu i tak wszystko popęka. Nie ma co nad tym płakać, tylko wywalić i lepić od nowa.

Paula Leśniewska
p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. JAKUB NOWOTYŃSKI, PAULA LEŚNIEWSKA (2)

eprasa.pl 7de9e900b2

(Bez)siła ministra

Minister Zbigniew Rau przekonał się o braku wpływu na swoich wiceministrów w bolesny sposób. Tym razem zawiódł go nadzorca z Nowogrodzkiej Szymon Szynkowski vel Sęk. Zaprosił on do MSZ RP ambasador Wielkiej Brytanii, panią Annę Clunes, by zapytać ją, czy wolność słowa nadal należy do podstawowych wartości brytyjskich. I oczywiście natychmiast umieścił informację o tym na Twitterze.

Otóż informujemy pana vel Sęka, że takt nadal należy do niezbywalnych wartości brytyjskich. Obok niechęci do rasizmu i do homofobii. Do tych wartości należy także brak uprzedzeń wobec wszelkich mniejszości, również etnicznych czy kulturowych.

Dlatego Brytyjczycy pilnują się, by nie wpuszczać na swoje terytorium mizoginów czy osoby nieszanujące niepełnosprawnych. Po prostu uważają, że wolność głoszenia poglądów to jedno, a odpowiedzialność za słowo – drugie. Tego ani Ziemkiewicz, ani jego koledzy nie rozumieją. I dlatego nie są pożądani w Zjednoczonym Królestwie. Cóż, „lewactwo" szerzy się też w tak szanowanej przez polską prawicę, rządzonej przez konserwatystów Wielkiej Brytanii.

Na marginesie – nie wiemy, czy brak zgody na wjazd Ziemkiewicza do Wielkiej Brytanii jest wynikiem wniosku w tej sprawie posłanki opozycyjnej Partii Pracy Rupy Huq. Faktem jest, że apelowała ona o taki ruch do władz brytyjskich już w 2018 r.

Reakcja vel Sęka potwierdza nasze, wielokrotnie tu wypowiadane obawy, że Zbigniew Rau nie panuje nad swoimi nadzorcami z KPRP, KPRM czy największego pałacu. Vel Sęk natomiast najwyraźniej nie panuje nad powierzonymi mu sprawami europejskimi. Gdyby wiedział, że jego szef kilka dni wcześniej rozmawiał z brytyjską minister spraw zagranicznych Liz Truss, że za kilka dni pani Truss przyjeżdża do Warszawy na spotkanie ministrów spraw zagranicznych Grupy Wyszehradzkiej, a dwa tygodnie temu na zaproszenie Kancelarii Prezydenta był w Warszawie dyrektor generalny ds. UE w gabinecie premiera, Julian Braithwaite, to może by się zastanowił nad sensem i treścią swojej dyplomacji twitterowej.

Za czasów mocnego ministra, czyli Cimoszewicza lub Sikorskiego, taki wiceminister byłby elegancko i nieoficjalnie odsunięty od obowiązków, a po kilku miesiącach zaproponowano by mu wyjazd na placówkę do San Escobar. Szczególnie że Zbigniew Rau określił inicjatywę swojego zastępcy jako „prywatną".

I jeszcze sprawa z czystej praktyki dyplomatycznej. Vel Sęk użył w swoim tweecie sformułowania, że zaprasza panią ambasador do ministerstwa. Takie zaproszenie i sposób jego wyjaśnienia, panie ministrze, jest niczym innym jak wezwaniem do ministerstwa. I tak zostało odebrane w Foreign and Commonwealth Office oraz przez brytyjskie media.

Panie ministrze Rau! Jeden pana zastępca (vel Sęk) rujnuje stosunki z Wielką Brytanią, bo broni swojego kolegi dziennikarza. Drugi rujnuje negocjacje z Czechami, bo obraża i dezinformuje partnerów i dziennikarzy, co wytyka mu pana czeski kolega. Trzeci nie nadaje się nawet do misji dyplomatycznych! Nie ze względu na brak umiejętności, bo tych po prostu nie ma. Otóż wiceminister Wawrzyk nie lata samolotami. Pana, panie ministrze Rau, słaba pozycja polityczna rujnuje polską politykę zagraniczną. I to wróży panu długie ministrowanie.

Attaché

Niemiec Benjamin List, który razem ze Szkotem Davidem MacMillanem dostał Nobla w dziedzinie chemii za opracowanie asymetrycznej organokatalizy, świętuje w Instytucie Badań Węgla im. Maxa Plancka w Mülheim, 6 października 2021 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7de9e900b2

JOLKA

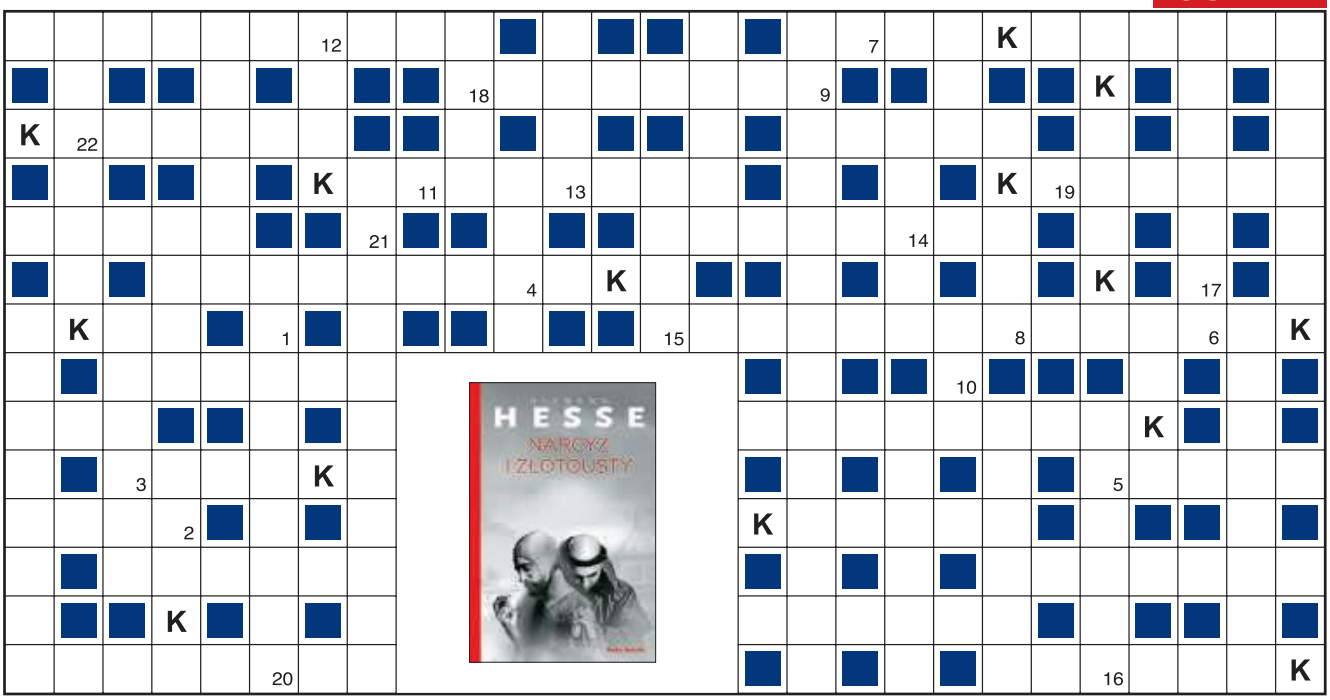

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- amerykańska – w Alejach Ujazdowskich w Warszawie
- nieorganiczny związek azotu i wodoru
- może prowadzić do szkorbutu lub beri-beri
- wąż trawiący słonia na rysunku w „Małym Księciu”
- „…walca”, operetka Oscara Strausa
- niezadowolenie, foch, fum
- właściwa żółwiom i Matuzalemowi
- pięcioosobowy organ rządowy I Republiki Francuskiej (1795-1799)
- „…na śmierć Zawiszy Czarnego” Przerwy-Tetmajera
- nielot i ciepłe buty z Australii
- rzymska epopeja narodowa
- ważna, wpływowa osoba
- chaos i zamęt
- obiekt zainteresowań fykologa
- otrzymamy go po przemnożeniu
- otrzymamy go po podzieleniu
- obniża poziom glukozy we krwi
- zawodnik w drużynie Paula Sousy lub Patryka Rombla
- wielki, gęsty las
- paliwowy albo farmaceutyczny gigant
- wybitna rola lub elegancka suknia
- Pranie albo serial w TVP 1
- popęd seksualny
- pochlebca, wazeliniarz
- majątek, czyjeś rzeczy
- z tym miastem związana pieśń „Santa Lucia”
- widz lub słuchacz, adresat
- miejsce obsługi interesantów w urzędzie
- może być panoramiczne, mansardowe
- …szary, ssak z podrodziny dydelfów
- bywa, że trzęsiemy się jak ona
- „Gdy… ujrzała anioła”, powieść Nicka Cave’a
- miele się nim lub go rozpuszcza
- mnóstwo ich na twarzy Pippi
- góralskie cyfrowane
- z pełnego mąka pełnoziarnista
- urządzenie do słuchania audycji
- …sądowe w dawnej Polsce
- anioł z najwyższego hierarchicznie chóru
- ukryte drogocenności
- „…na niedzielę”
- rozstrzygany przez rozjemcę
- bieliźniany lub francuski zna krawcowa
- sala dla uczniów nie na lekcjach
- nadwodna roślina aromatyczna
- dłużnik wekslowy
- na nim dywan dostanie lanie
- ironicznie o za mocnym makijażu
- bierze w czymś udział
- Sienkiewiczowski siłacz, opiekun Ligii
- wsparcie, zasiłek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1034”. Do rozlosowania książki „Narcyz i złotousty” ufundowane przez wydawnictwo Media Rodzina. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 października 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1031” z nr. 39: *Prawdy nie trzeba wymyślać.* Nagrody otrzymują: Stanisław Majda z Bydgoszczy, Ewa Popielewicz z Katowic, Elżbieta Urbańska-Galewska z Gdyni.

eprasa.pl 7de9e900b2

PENETRACJE

WITOLD BEREŚ, REDAKTOR NACZELNY

Polska jest państwem biednym. To może Polska jest chociaż państwem gościnnym? Znamy te wszystkie powiedzonka: „Gość w dom, Bóg w dom". Dla nieznanego wędrowca w Wigilię trzeba zachować miejsce przy stole, tradycyjna polska gościnność itd. Okazuje się, że gościnność to ostatnia rzecz, która jest w nas głęboko wbudowana. Ona jest tylko dla tych z naszej grupy etnicznej, a i to nie na zawsze. Obcy niech zdychają.

PROF. JOHN PROVAN, AMERYKAŃSKO-NIEMIECKI HISTORYK

Początkowo wojska amerykańskie zajmowały dawne koszary Wehrmachtu i pojedyncze obiekty konfiskowane na potrzeby armii, ale w latach 1951-1953 okazało się, że utrzymanie tych wiekowych budynków jest zbyt kosztowne i nie spełniają one wymogów. W nowym stylu zbudowano ok. 55 tys. mieszkań i wszystkie były niemal identyczne: dwie, trzy lub cztery sypialnie i salon. Do wszystkich lokali zamówiono meble, również identyczne, to były setki tysięcy zestawów łóżek, szaf, komód, półek na książki, krzeseł, stołów. Również całe pozostałe wyposażenie było standardowe, dosłownie wszystko.

ARKADIUS – ARKADIUSZ WEREMCZUK, PROJEKTANT MODY

Razem z przyjaciółką artystką po biennale w São Paulo przypadkowo trafiliśmy na wyspę, która wydała nam się rajem. Rzuciłem wszystko w kilka tygodni i rozpocząłem na niej nowe życie, zbudowałem dom, w którym mieszkałem przez lata. Teraz podnajmuję go na pensjonat. Dzięki temu płacę rachunki i mam czas, żeby tworzyć – fotografować, projektować wnętrza dla znajomych, podróżować. Nie chcę tworzyć w oderwaniu od przyrody. Czy jest piękniejsza rzeźba niż drzewo? Jaki obraz jest piękniejszy niż krajobraz?

4 października w Teatrze STU Stowarzyszenie Kuźnica uhonorowało Kowadłem Janusza Gajosa. Nagrodę, za „odważny i rozważny głos w przestrzeni publicznej" i jako wyraz uznania dla dorobku zawodowego, wręczył wybitnemu aktorowi prezes Kuźnicy dr Paweł Sękowski.

FOT. ANDRZEJ GŁUC

Aby język giętki…

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ O KONFEDERACJI

Partia polskiego kretyna, który nie ma pojęcia, jak funkcjonuje współczesny kapitalizm wielkich korporacji.

MAŁGORZATA WASSERMANN O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Nie rozmawiamy. Nie mamy okazji się spotykać. Nie mamy takiej potrzeby.

DOROTA WARAKOMSKA O ANGELI MERKEL

Nie urządzała przyjęć. Sama robiła zakupy. Obaliła stereotyp, że ludzie idą do władzy dla pieniędzy.

WOJCIECH SMARZOWSKI O LUDZIACH

Myślę, że człowiek jest bardziej zły niż dobry, że trzeba się naprawdę naharować, żeby być dobrym człowiekiem.

AGATA KULESZA O RODZINIE

Było nas osiem Kuleszanek. Moja siostra jest silna, moja córka też. Chyba nie boimy się być silne.

O. TOMASZ DOSTATNI O KRYZYSIE KOŚCIOŁA

Potrzebujemy więcej orłów duchowości, orłów intelektu, a mniej karłów biurokracji.

JERZY KISIELEWSKI O OJCU STEFANIE

Martwił się moją czasem bezczynnością, lenistwem i mówił, pisał też w „Dzienniku", że „Jerzyk przepieprza czas".

MAGDALENA CIELECKA O TEATRZE ROZMAITOŚCI

W naszych spektaklach były nagość, bluzgi, krew, krzyki, mnóstwo dragów. Nikt wcześniej nie robił takiego teatru.

KINGA DĘBSKA O RODZICACH

Wyposażyli mnie na życie w czułość i pewność siebie. A to bezcenne.

KAROLINA GRUSZKA O MARZENIACH

Ja nie porzucam marzeń. Najbardziej frustrowałoby mnie, gdybym z nich zrezygnowała ze strachu.

KATARZYNA BONDA O PLANACH

Chcę jeszcze pożyć jakieś 63 lata. I w każdym roku zamierzam wydać minimum jedną książkę.

eprasa.pl 7de9e900b2

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Jak zatytułował, tak zrobił

Duński artysta Jens Haaning przywłaszczył pieniądze muzeum Kunsten w Aalborgu i nazwał to dziełem sztuki. Placówka zamówiła u niego rekonstrukcję dwóch jego wcześniejszych prac, wykonanych z banknotów, i przekazała na ten cel równowartość 84 tys. dol. Haaning dostarczył muzeum gołe płótna, a powierzone środki zatrzymał, co zatytułował „Bierz pieniądze i w nogi". Wyjaśnił, że to reakcja na niskie honorarium zaproponowane mu za udział w wystawie. Odebrać mu kasę będzie teraz nie lada sztuką…

Nie chomikuje, lecz inwestuje

Niejaki Mr. Goxx, choć jest chomikiem, uzyskuje znacznie lepsze zwroty z inwestycji niż profesjonaliści. Otóż kołowrotek, w którym biega, jest podłączony do systemu informatycznego – gdy gryzoń zatrzymuje się na określonym polu, wyznaczana jest jedna z kryptowalut. Z kolei to, czy sprzedawać, czy kupować, zależy od tego, do którego z dwóch tuneli w swoim „biurze" wejdzie zwierzę. „Zaciekawiliśmy się, czy chomik jest w stanie podejmować mądrzejsze decyzje inwestycyjne od nas oraz innych graczy. Na razie okazuje się, że tak", komentują opiekunowie Goxxa. Może by sprawdzić, jak chłopak dałby sobie radę z głosowaniami w Sejmie?

MEMY BEZ ŚCIEMY

Kościotrupom wstęp wzbroniony

Chiński urząd zajmujący się dopuszczaniem gier wideo na tamtejszy rynek masowo odrzuca kolejne produkcje. Niemile widziane są choćby te ze „zniewieściałymi" mężczyznami, ale i takie, w których przeciwnikami gracza są szkielety – ze względu na zakaz propagowania przesądów i kultów religijnych. Zabronione jest nawet przedstawianie tatuaży, utożsamianych z symbolem przynależności do grup przestępczych. Studia, które chcą zaistnieć na ogromnym rynku Państwa Środka, muszą opracowywać wersje swoich dzieł dostosowane do ścisłych zasad regulatora. Cóż, gra się tak, jak urząd pozwala.

Uwaga, po(d)stęp!

Chilijscy deputowani w reakcji na postępy neurotechnologii przegłosowali ustawę wprowadzającą prawo do osobistej tożsamości, wolnej woli i prywatności psychicznej. Nowe przepisy stanowią, że rozwój technologiczny musi służyć ludziom i odbywać się z poszanowaniem ich „integralności fizycznej i psychicznej". Eksperci przypominają, że naukowcom udało się już wszczepić myszom do mózgu obrazy, których w rzeczywistości nie widziały, co wpłynęło na ich zachowanie. Na marginesie: „wszczepili mi obrazy, które wpłynęły na moje głosowanie" to idealna wymówka dla wyborców Dudy.

Bo kasa to nie wszystko

W Holandii sieć marketów Jumbo uruchamia 200 kas dla klientów, którym się nie śpieszy, a mają ochotę na pogawędkę z kasjerem czy kasjerką. Innowacja, uprzednio przetestowana w formie pilotażu, jest możliwa dzięki

eprasa.pl 7de9e900b2

Jogin na ulicy hinduskiego miasta Amritsar oraz palestyńska trenerka Esraa Abu Hadid w Future Fitness Center w Hebronie.

dofinansowaniu z rządowego programu wsparcia dla osób dotkniętych samotnością. Firma zapowiada kolejne kroki, m.in. tworzenie kącików rozmów dla kupujących oraz przekazywanie produktów spożywczych inicjatywie Oma's Soep (Zupa Babci), w ramach której seniorzy i studenci wspólnie gotują zupy. Ciekawe, co na to wszystko kasjerzy – całe szczęście będzie okazja ich spytać.

Za dużo Fejsa w Fejsie

Niedawna awaria Facebooka trwała tak długo, gdyż wszystkie systemy firmy działają, opierając się na serwerach Facebooka. Gdy pracownicy udali się do serwerowni, by dokonać ich restartu, otwarcie drzwi okazało się niemożliwe, ponieważ karty dostępu są obsługiwane właśnie przez te serwery. Pozostało użycie klucza, niestety system alarmowy, który służy do szybkiego kontaktu z szefem ochrony, wymaga prawidłowego funkcjonowania sami wiecie czego. Nie od dziś wiadomo, że nadmiar FB szkodzi!

Ahoj i do przodu!

We Francji powstała spółdzielnia żeglarska, która oferuje podróże jachtami rekreacyjnymi jako ekologiczną alternatywę dla transportu lotniczego. Punktem wyjścia jest obserwacja, że 207 tys. francuskich jednostek pływających tego typu stoi zacumowanych przez średnio 97,8% czasu. Sailcoop będzie czarterować nieużywane w danym momencie łajby i obsługiwać nimi sieć stałych tras w Europie, a nawet rejsy międzykontynentalne. Pomyślnych wiatrów!

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), AFP/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7de9e900b2

Wróżka bajecznych zaklęć

Cztery oblicza Leonarda

IMAGINARIUM

Obrazy, rzeźby i rysunki Tomasza Sętowskiego (ur. w 1961 r. w Częstochowie) przenoszą odbiorcę w skomplikowany wewnętrzny świat autora, gdzie rzeczywistość łączy się z wyobraźnią, a przedmioty i postacie znane nam ze świata sztuki czy literatury ożywają i snują własną opowieść. Artysta niczym magik za pomocą pędzla i dłuta tworzy nową rzeczywistość, staje się stwórcą powołującym do życia postacie i przedmioty. Wystawie towarzyszy album o takim samym tytule.

Galeria van Rij
Ćmielów, ul. Sandomierska 243
do 14 października

Dream Room

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7de9e90b2

FESTIVAL DE CANNES

tiff

Telluride Film Festival

New York Film Festival 59

"URZEKAJĄCY"
VARIETY

WYSPA BERGMANA

REŻYSERIA MIA HANSEN-LØVE

W KINACH

movies room

dla Lejdis.pl

BOOKLIPS.PL

Przegląd

INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl 7de9e900b2

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

Pustka

NA PODSTAWIE
SZTUKI „DREAM WORKS"
IWANA WYRYPAJEWA
W TŁUMACZENIU
KAROLINY GRUSZKI
ADAPTACJA I REŻYSERIA:
CEZARY KOSIŃSKI

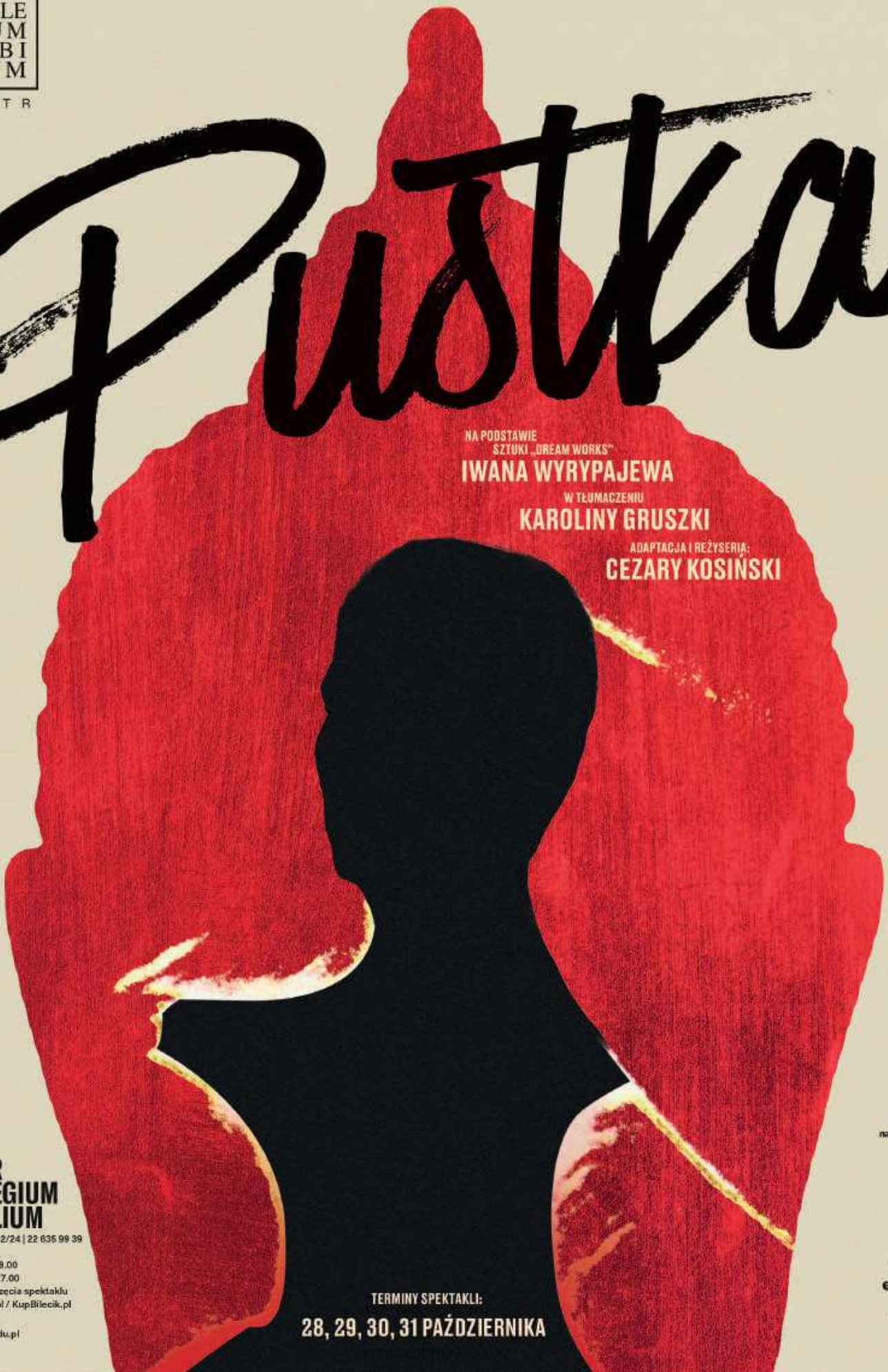

TERMINY SPEKTAKLI:
28, 29, 30, 31 PAŹDZIERNIKA

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM
ul. Miodowa 22/24 | 22 635 99 39
Kasa czynna:
pn-pt 11.00-19.00
sb-nd 13.00-17.00
lub do rozpoczęcia spektaklu
ewejsciowki.pl / KupBilecik.pl
eBilet.pl
www.tcn.at.edu.pl

KULTURA DOSTĘPNA
naszemiasto.
chilli zet
Przegląd
eBilet.pl